

Carey Basil

Prawo mórz południowych

Vivian Hunter porzuca wygodne, wielkomiejskie życie i przybywa na Wyspy Południowego Pacyfiku w poszukiwaniu ojca - kapitana pływającego tam skutnera. Zaskakuje ją i przeraża, ale też fascynuje świat awanturników prowadzących podejrzanе interesy. Mężczyźni, którzy ją otaczają - silni, okrutni, namiętni - niczym nie przypominają kolegów z nowojorskiej bohemy...

I

1

Gdyby nie ten list, Vivian nigdy by nie wyjechała. Żyłaby dalej wygodnie i bez trosk wśród małej grupki artystów, których nazywała swoimi przyjaciółmi. Zabawy, tańce, widowiska i konna jazda wystarczałyby jej nadal, tak jak wystarczały w ciągu ostatnich pięciu lat. Pozwoliłaby nawet łagodnemu flircikowi z Rodneyem Beringerem przekształcić się w zaręczyny, uświęcone pierścieniem z szafirami. Rodney twierdził, że najlepiej się wypowiada przy pomocy szafirów. Kolor niebieski jest przecież kolorem tak czystym! Zabawnie wyglądał. Mrugał małymi, słabymi oczkami, aż zachodziły łzami, a uszy mu się czerwieniły.

— Jest to kolor nieba — dowodził z powagą. — A zgodzi się pani chyba, że nic nie jest czystsze od nieba.

Wyglądał przy tym tak uroczyście i godnie, że wywarł nawet pewne wrażenie na Vivian. Przyrzekła, że zastanowi się nad tym, a Rodney opuścił pokój, trzymając głowę wysoko ponad szczupłymi ramionami.

Stojąc na pokładzie statku i patrząc na słońce zachodzące za skałami Kahina, Vivian myślała o Rodneyu. Dlaczego go nie poślubiła? Był bogaty, nieszkodliwy i bardzo w niej zakochany. Mając dwadzieścia pięć lat Vivian już przestała marzyć o dzielnym zdobywcy, który wkroczy w jej życie i pochwyti ją w mocne i prawdopodobnie doświadczone ramiona władcym gestem, podobno tak uwielbianym przez kobiety. Jak większość dziewcząt z jej kręgu, dobrze rozumiała wartość posiadania małżonka, którym można by było kierować bez wielkich trudności, Rodney był dobry. Był hojny. Inne kobiety zupełnie na niego nie działały. Chwilami Vivian czuła dla niego coś w rodzaju podziwu.

Bo nerwowe, niezgrabne ręce Rodneya umiały rysować. Był artystą grafikiem i jego łzawe oczy umiały często chwytać piękno, ukryte dla reszty otoczenia. Kiedy udało mu się je wydobyć i odtworzyć i gdy pokazywał je Vivian, nie dowierzając własnym siłom, skromny i zażenowany — doznawała uczucia pokory i zachwytu. W takich chwilach postanawiała ostatecznie, że wszystko jedno jak Rodney wygląda, poślubi go, bo po ślubie większość mężów i tak ma wygląd ot, po prostu — męża.

Przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie. Przyszedł w bardzo podniosłym nastroju, aby otrzymać to, co nazywał „odповідzią”. Starannie ubrany, z bławatką — najczystszej barwy — w kłapie marynarki, usiadł nerwowo na brzeżku trzciniowego szezlonga, zarzuconego masą czerwonych poduszek. Dziwna to była wizyta. Vivian siedziała również nieruchomo i oboje patrzyli na siebie jak obcy. Rodney poprawił kołnierzyk i ciągle dotykał mankietów. Po chwili uspokoił się i spojrzał na jej zakłopotaną twarz z nagłym postanowieniem.

— Rozumiem — odezwał się ochryplym głosem. — Dobrze.

Wstał i wyszedł potykając się, omal nie przewróciwszy służącej Anny, która właśnie wchodziła do pokoju z listem.

Ten list!

Vivian wyjęła go z kieszeni swego białego płaszcza i znowu go odczytała, w świetle ostatnich promieni zachodzącego słońca, rzucającego odblask na Kahinę i zdradzieckie rafy.

Spodziewamy się przybyć do Degas we właściwym czasie, tak że odbierzemy pocztę dwudziestego piątego przyszłego miesiąca — brzmiał tekst listu. — Nasze dalsze zamiary nie są jeszcze ustalone. Nie martw się, jeżeli przez pewien czas będziesz pozbawiona wiadomości o mnie. Spodziewam się, że dobrze Ci się powodzi. Możliwe, że kiedyś przyjadę, żeby zobaczyć się z Tobą. Piętnaście lat to kawał czasu.

Kochający Cię ojciec Charles Hunter

Piętnaście lat!... Tak, to kawał czasu. Vivian pozostało niejasne wspomnienie wysokiego, szczupłego mężczyzny, który w rzadkich odstępach czasu odwiedzał ją i jej matkę. Ostatni raz widziała go w gorący dzień lipcowy, kiedy bez uprzedzenia wrócił do domu z odległej morskiej podróży. Charles Hunter wycalował wtedy uradowane i wzruszone dziecko, trzymając je

w swych mocnych ramionach. Potem, ku wielkiej radości Vivian, wyniósł ją do czekającego przed domem samochodu i kazał szoferowi zawieźć do babci. Sam zawrócił do domu, z którego wyszedł dziesięć minut później, pozostawiając kochankę żony na podłodze, jak porzucony łachman. Od tego czasu unikał New Yorku.

Co skłoniło Vivian do podjęcia tak dalekiej podróży? Sama się nad tym zastanawiała. Gwałtowne pragnienie ujrzenia ojca górowało nad wszystkimi innymi uczuciami. Fala samotności ogarnęła ją po odejściu Rodneya Beringera. Miała dość krótkowłosych kobiet i źle ogolonych mężczyzn z jej małego, sztucznego światka. Gdzieś na świecie musiało być przecież jakieś miejsce, gdzie tak zwana sztuka nie góruje nad wszystkim, gdzie ludzie interesują się jeszcze czymś, poza opiniami krytyków i cenami obrazów. Zgrzyt tramwajów, huk kolei nadziemnej, nieustający ruch nie znającego spokoju miasta — szarpał jej nerwy. New York czyhał na nią jak tygrys, zagrażał jej marzeniom, czaił się w zakamarkach jej mózgu, wyczekując odpowiedniej chwili do skoku.

„Spodziewamy się przybyć do Degas...”

Degas! Powiało przygodą.

— Jadę! — zawiadomiła zdumionych przyjaciół. — Tak postanowiłam.

Jestem potrzebna ojcu. To... właśnie to mi napisał.

Patrzyli na nią z grzecznym niedowierzaniem. Wiedzieli, co myślała. Jak wszyscy im podobni, posiadali tylko jeden punkt widzenia. W ich młodym życiu wszystko podporządkowywało się tylko jednej rzeczy — płci.

Chociaż nigdy nie zdawali sobie z tego sprawy, cały ich dekadentyzm i poza na cyganerię sprowadzały ich powoli do poziomu prymitywnych ludzi jaskiniowych, gryzmołających na ścianach pieczar. Wystarczało spojrzenie na ich nieprzyzwoite pseudoarcydzieła — obrazki Gwen Rogers lub poematy Humphreya Spoonera.

Vivian wiedziała, że po jej odejściu zacznie się kiwanie głowami i znaczące uwagi: „Bez wątpienia kryje się za tym jakiś mężczyzna!”

I, rzeczywiście, tak mówili. Wiedzieli nawet, kim był ten mężczyzna, kiedy to się stało i co z tego wyniknie. Ale Vivian tego nie słyszała. Gorączkowo pakowała się, aby zdążyć na pierwszy statek odchodzący na Amanu. Z Amanu do Degas mogła dostać się statkiem, odchodzącym raz na miesiąc. Ułoży-

ła ten plan z pomocą młodego urzędnika w biurze okrętowym, być może tracąc na to więcej czasu niż było potrzeba, bo młodzieniec uległ czarowi niebieskich oczu swej klientki. Nawet jej niecierpliwość wydawała mu się zachwycająca, tak że jeszcze po odejściu Vivian stał pogrążony w zadumie, dopóki nie otrzeźwiły go złośliwe uwagi wszystkich widzących kolegów.

W gorączce pakowania i odjazdu Vivian zapomniała chwilowo o dręczącym ją pytaniu: jak Charles Hunter przyjmie swą córkę? Gdyby pragnął jej przyjazdu na wyspy, sam by jej to napisał. Ale czy uczyniłby to? Wydawało jej się, że z jego listu wycierało jakieś pragnienie, jakieś zwątpienie we własne siły... Może była mu potrzebna, ale nie chciał jej wzywać?... Może będzie rad ją widzieć, a może będzie się gniewał i odeśle ją do domu najbliższym statkiem? Och, wszystko jedno!...

Statek zbliżał się do Amanu. O świcie będzie w porcie. Vivian wyteżonym wzrokiem wpatrywała się w zamglony widnokrąg. Goją czeka podczas tej wyprawy, na którą się tak lekkomyślnie odważyła? Z kim będzie musiała stoczyć walkę? Jakich spotka nieprzyjaciół, jakich wielbicieli? Poddawała się już urokowi Południa; piękno morza i nieba i tych zielonych wysp było aż bolesne. Zachodni wiatr przemknął nad mieniącą się wodą i Vivian, przejęta chłodnym dreszczem, owinęła się mocniej płaszczem. Nagle ogarnął ją cień złego przecucia, od którego nie mogła się uwolnić. Próbowwała zwalczyć je śmiechem, uspokoić się. Ale przez całą noc zmora nie opuszczała jej i nie pozwalała zasnąć ani na chwilę.

Wreszcie Vivian usiadła na koi, podciągając kolana aż do podbródka. Dziewczyna, która dzieliła z nią kabinę, siedemnastoletnia ładna brunetka płynąca do Auckland, spała mocno. Vivian wpatrywała się w ciemność z uczuciem zbliżonym do lęku. Po co przyjechała tutaj? A jeżeli nie zastanie ojca w Degas? Może zmienił plan i wcale nie przybędzie do tego portu. Co wtedy?

— Wariatka ze mnie! — powiedziała na głos.

Ale przecież mogła powrócić do domu. Nie musi wcale jechać dalej; gdy „Argus” dopłynie do Amanu, może wysiąść, poczekać trzy dni i pierwszym statkiem powrócić do New Yorku. Doskonale... A później co? Znow to bezsensowne, nie dające zadowolenia życie pochwyci ją w swą sieć. Znow otoczą ją te same bezmyślne, głupio uśmiechnięte twarze, tchnące nieszczerą życzliwością. Jakiego szczęścia może oczekiwać zaniechawszy tej przygody?

Nie mogła już zasnąć. Gdy tylko zaczęło świtać, zeskoczyła z koi i pośpiesznie ubrała się. Jej towarzyszka na chwilę tylko otworzyła oczy i natychmiast odwróciła się na drugi bok, zwijając się w ciepły kłębuszek, żeby wyspać się do syta. Vivian wyszła na pokład popatrzeć na wschód słońca. Wynurzało się właśnie z morza, wtaczając się na płomienne niebo. Woda z szarej stawała się błękitna, przetykana złotem. W kierunku południowym zarysowywała się wyspa Amanu, otulona w niebieskie mgły, co dodawało jej uroku czegoś nierealnego. Nad nią cicho przelatywał ptak zwany fregatą, którego skrzydła płonęły od blasku wschodzącego słońca. Vivian odetchnęła pełną piersią. Cóż z tego, że za widnokregiem czeka ją milion niebezpieczeństw? Przeznaczenie rzuciło jej rękawicę. Ona ją podniesie.

2

„Argus” opuścił port po południu, a Vivian patrzyła ze smutkiem, jak się oddalał. Czuła się bardziej osamotniona niż kiedykolwiek. Przyznawała się otwarcie, że nie była przygotowana na to, co zastała na Amanu. Jako nałogowa czytelniczka powieści przygodowych spodziewała się zastać na wybrzeżu tłoczący się pstry i hałaśliwy tłum, z dumnymi i władczymi biało ubranymi Anglikami. Miały tam też być bezwarunkowo sklepy, osobliwe, podniecające ciekawość, należące do tajemniczych kupców. A hotel „Royal” zarejestrowany w księgach towarzystw okrętowych jako hotel z dwudziestoma sypialniami, pięcioma salonami, oddzielnymi łazienkami i wyborową kuchnią, miał jej dostarczyć miłego towarzystwa i nowych podniecających znajomości.

Cumowanie nie było zbyt przyjemne. Statek stanął na kotwicy daleko od wyspy. Tylko małe łodzie i stateczki mogły wpłynąć na lagunę. Kilka pojawiło się zaraz po przybyciu statku, a ich właściciele krzykliwie ofiarowali swoje usługi. Vivian z całym bagażem została wrzucona do jakiejś kiepsko wyglądającej łodzi, w której siedział człowiek o czerwonej twarzy i opierając się na wiosłach wpatrywał się w nią pytającym wzrokiem.

— Czy pani na pewno chce jechać na wyspę?

— Tak.

— A o jaką część wyspy pani chodzi?

— Chcę jechać do hotelu „Royal”. Splunął.

— Niech Pan Bóg ma panią w swej opiece — rzekł i zaczął wiosłować.

Łódź mknęła szybko po wodzie w kierunku wrót utworzonych przez rafy.

Woda laguny była spokojna jak lustro. Patrząc w dół, Vivian dostrzegła

dziwne, kolorowe ryby, snujące się między koralami a cieniem rzuconym

przez wiosła. Wijące się rośliny morskie chwiały się i kołysały w zielonej

wodzie, zmaconej ruchem łodzi. Przed nią leżała Amanu, z górującym nad nią

wieżeniem, położonym na wzgórzu nad brzegiem. W głębi wyspy stał biały

kwadratowy dom sir Henry'ego Patersona, gubernatora wyspy. Przewoźnik

wskazał głową w tym kierunku.

— Starowina sir Henry wyjechał — tłumaczył. — Ale wkrótce wróci, jeżeli się tak spodoba świętym Pańskim. Za tydzień będą wieszac.

— Wieszac?

— Nieczęsto się to u nas zdarza. Mieszkam tu już dwadzieścia jeden lat, a wieszali tylko siedemnaście razy.

— Siedemnaście?...

— Mówię przecież. Teraz będzie wisiał Kanak*, łotr, który zarznął kupca w zeszłym miesiącu. Aj, toż to kanalie ci Kanakowie. Te strony są nie bardzo bezpieczne dla młodych kobiet. Pani może ma się tu spotkać z narzeczonym?

— Nie. Jadę do Degas, mam się tam spotkać z ojcem.

— Doprawdy? A jak się nazywa, jeśli wolno spytać, ojciec pani?

— Charles Hunter.

— Aa... właściciel „Spindrifta”?**

— Pan go zna?

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, mrużąc oczy od słońca.

— Czy znam Dżentelmena Charlesa? Widziałem go tylko, no i słyszałem o nim. Ale znać go — nie, proszę pani, znać go bliżej nie znam.

— Czy często bywa tutaj?

*** Kanakowie — nazwa, którą nadają sobie mieszkańcy wysp hawajskich (Kanak = człowiek). Europejczycy rozciągnęli tę nazwę na inne ludy Polinezji i Melanezji.**

**** „Spindrifft” — „Pył Wodny”.**

— Tylko w razie potrzeby — odparł wioślarz. — Tu jest przecież siedziba, jak to mówią, władzy. Wątpię, aby Dzentelmen Charles chciał się znaleźć w tak bliskim jej sąsiedztwie.

— Ale... dlaczego nie?

— Dlaczego?... No, no, i pani naprawdę jedzie do Degas! Statek wyrusza tam pojutrze, jeżeli święci pozwolą, a Bill Porteous wytrzeźwieje. Niech się pani teraz mocno trzyma. Zaraz będziemy na miejscu.

Łódka zaryła się w piasek. Wygięte w łuk białe wybrzeże błyszczało w południowym słońcu. Dalej ciągnęła się w górę ulica. Na lewo widać było wioskę Kanaków, złożoną z kilku chat. Wiał południowy wiatr, wysokie palmy kołysały się od jego podmuchów. „Argus” już odpływał. Grupa pokieroszowanych łódek powracała do domu; trzy z nich naładowane były najróżniejszymi towarami, jedna wiozła pocztę.

— Ale dlaczego lądujemy właśnie w tym miejscu? — zapytała Vivian. — Gdzie jest miasto?

— Miasto? Przecież pani piękne oczy patrzą właśnie na miasto.

— Co takiego?!

Vivian z przerażeniem spoglądała na rozrzucone bez ładu zabudowania. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy wypłynęli w morze. W opuszczonych domostwach widać było jedynie kilku Kanaków i psa. Gdzież się podziało zaludnione wybrzeże, stworzone w jej wyobraźni? Gdzie się podzieli dzielni Anglicy w nieskazitelnie białych ubraniach? Czyż to była istotnie wyspa Amanu, siedziba zarządu archipelagu Pakahiki? Jeżeli tak, to jak musiało wyglądać Degas? Serce Vivian stało się ciężkie jak głaz.

— Czy pani gotowa już jest wysiąść? Pójdziemy do hotelu „Royal”. Dobrze się tam panią zaopiekują, gdy zobaczą, że ją przyprowadził Timmy Murphy. Pan Murphy nałożył na siebie, niby na wielbłąda, tyle bagażu, ile tylko mógł unieść. Vivian chwyciła pudło z kapeluszami oraz niewielką walizeczkę i udała się za nim wzdłuż wybrzeża. Gorący piasek przedostawał się do jej pantofelków. Grzęzła w nim, idąc z trudem. Kiedy nareszcie wydostali się na twardszy grunt, odetchnęła z ulgą. Pięciu Kanaków, utworzywszy uroczystą procesję, szło za nimi.

Hotel „Royal” zwrócony był frontem do morza. Była to dwupiętrowa rudera, która robiła wrażenie przywianej tu przez jakiś huragan. Spostrzegawcze oko od razu by zauważyło, że ogłoszenie o dwudziestu pokojach sypialnych jest wierutnym

kłamstwem. Drzwi frontowe były zamknięte. Nędzne okiennice pozamykano z powodu gorąca. Pan Murphy rzucił na ziemię bagaż i zaczął dobijać się do drzwi, waląc w nie swymi żelaznymi kułakami. Po kilkuminutowym milczeniu otworzono niechętnie drzwi, w których ukazała się rozczochrana głowa. Na widok Vivian zniknęła czym prędzej i dała się słyszeć bieganina i gwałtowne żądanie grzebienia. Pan Murphy usiadł na najbliższym stojącym kufrze. Pięciu Kanaków usadowiło się na ziemi, nie spuszczać oka z Vivian. Po pewnym czasie, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, drzwi otworzyły się ceremonialnie i na progu ukazała się właścicielka hotelu. Pani Mac Intyre miała przeszło pięćdziesiąt lat. Pomimo to włosy jej zdołały zachować jasnozłoty odcień, jaki posiadały przed trzydziestu laty, a nawet można było powiedzieć, że kolor ten stał się jeszcze jaśniejszy niż za czasów jej młodości. Cienkie wargi rozchylił uśmiech. Przenikliwe szare oczy złagodniały przy powitaniu, wyrażając jednocześnie pochlebną ocenę. Podchodząc do Vivian, pani Mac Intyre wyciągnęła do niej ręce pokryte pierścieniami. Różowe kimono, które z trudem dostosowywało się do jej figury, było zapięte pod szyją skromną agrafką.

— Witam panią — starała się o jak najuprzejmiejszy ton. — Bardzo się cieszę widokiem gości o tej porze roku. Proszę pofatygować się za mną.

Wprowadziła Vivian do chłodnego, przyciemnionego pokoju, w którym nie było nawet dywanu, a umeblowanie składało się z trzciniowych foteli, pochodzących z różnych kompletów, oraz z ciężkiego dębowego kredensu. Vivian opadła na najbliższy fotel i upuściła kapelusz na podłogę. Nie krępując się, ocierała twarz i szyję, a nawet piersi, do miejsca, do którego pozwalało jej sięgnąć wycięcie.

— Ach, pani bardzo cierpi z powodu upału, panno... e...e... ?

— Hunter.

— Hunter? — powtórzyła jak echo pani Mac Intyre. Rzuciła pytające spojrzenie w stronę pana Murphy'ego.

Skinął głową.

— Tak, to jego córka.

— Do-praw-dy?! No, no! Więc pani jest córką pana Huntera. Czy pani spodziewa się go tutaj?

— A to mi się podoba! — zawołał pan Murphy, ale zaraz zatkał sobie usta dłonią i przybrał minę bardzo uroczystą.

— Dlaczego nie? — spytała Vivian. — Nie widzę przyczyny, aby nie mógł tu przyjechać.

— Rozumie się — odezwała się pani Mac Intyre przymilnie. — Nie ma żadnej przyczyny, chyba ta, że pan Hunter... nie... nie bardzo lubi Amanu.

— Jadę do Degas, żeby tam się z nim spotkać — powiedziała Vivian. — Statek odpływa za dwa dni.

— I ojciec będzie panią oczekiwał w Degas?

— Mam nadzieję, że tak. Widzi pani, on nie wie, że przyjadę.

— Nie wie? — krzyknęli jednocześnie pan Murphy i pani Mac Intyre, po czym spojrzeli na siebie zdumieni.

— To ma być niespodzianka — dodała Vivian po krótkiej pauzie.

— No, niespodzianka to będzie na pewno! — zawołał Murphy. - - Ano dobrze, pani Mac Intyre, myślę, że będzie pani mogła ulokować tę młodą damę?

— Ależ naturalnie, teraz mamy martwy sezon. Gdyby pani przyjechała o miesiąc później, kiedy urzęduje sąd, wtedy byłaby to zupełnie inna sprawa. Murphy, bądźcie łaskawi zanieść bagaż do numeru trzeciego.

Murphy mruknął coś i wziął się do wypełniania swego obowiązku. Słyszały, jak przepychał się przez wąskie schody, a wkrótce kilka różnorodnych, ale silnych odgłosów, które rozległy się nad ich głowami, upewniło je, że Murphy przybył do numeru trzeciego. Pani Mac Intyre wstała.

— Pokażę pani jej pokój. Tej nocy będziemy same. Jutro albo pojutrze spodziewam się przybycia innych gości. Mój małżonek, pan Mac Intyre, niestety nas opuścił.

Głębokie westchnienie, towarzyszące tej uwadze, kazało przypuszczać, że pan Mac Intyre rozstał się z tym światem. Vivian wypowiedziała kilka słów współczucia. Pani Mac Intyre zatrzymała się na schodach.

— O, pani źle mnie zrozumiała. Pan Mac Intyre, przykro mi to powiedzieć, nie dostał jeszcze wiecznej chwały. Mąż mój gości u przyjaciół po drugiej stronie wyspy. Nie lubię, kiedy opuszcza dom, bo zawsze jest bezpieczniej, gdy w domu znajduje się mężczyzna. Otóż i apartament pani.

Otworzyła zielone okiennice i ostre światło słoneczne natychmiast wdarło się do pokoju, pełnego kurzu. W jednym kącie stało żelazne łóżko z dość czystą pościelą. Na podłodze leżały dwie niebieskie maty. Na stole stał dzban i miska. Kwadratowe,

niewielkie lusterko bez oprawy wisiało krzywo na jednej ze ścian. Były tam jeszcze dwa obrazki, z których jeden w sposób straszliwy przedstawiał potop. Kufry Vivian stały na środku pokoju w malowniczym nieładzie.

Pani Mac Intyre z zadowoleniem rozejrzała się wkoło.

— Będzie tu pani wygodnie, niech pani tylko ostrożnie zamyka okiennice. Ta na lewo nie jest pewna. Zejdę na dół, żeby przygotować pani coś do jedzenia. Jeżeli pani będzie potrzebowała czegoś, proszę zawołać. Postawię przy schodach Kalego, chłopca do posług, aby był gotów, gdy pani zawoła.

Z tymi słowami wyszła.

Vivian wlepiła wzrok w lustro. Dziewczyna, którą tam widziała, miała złotobrunatną czuprynę i zarumienioną twarz o zdziwionym wyrazie. Oczy Vivian spostrzegły w lustrze jeszcze pełne, czerwone usta i mocny podbródek.

— Czuję się jak obrośnięta brudem — powiedziała głośno, podeszła do stołu i podniosła dzbanek. Był pusty. Vivian wyszła na schody, żeby zawołać niewidzialnego Kalego. Usłyszała, szmer głosów. Przechyliła się przez poręcz i zobaczyła na dole dwie głowy, jedną rudą, drugą — bardzo żółtą.

— Dżentelmen Charles zdziwi się z pewnością — usłyszała stojąc ciągle w miejscu, z pustym dzbankiem w ręce.

— Biedne jagniątko, obawiam się, że będzie zaskoczona taką niespodzianką

— mówiła pani Mac Intyre. — Trzeba by ją uprzedzić.

— Hm! Weźmie to pani na siebie?

— Ja? Mam jej to powiedzieć o własnym ojcu?

— Jednakże musi się dowiedzieć...

— To niech pan jej powie.

II

1

Vivian mieszkała w hotelu „Royal” dwa dni. Pani Mac Intyre, szczęśliwa, że ma z kim porozmawiać, gadała nieustannie o rozmaitych rzeczach, prócz jednej, oczywiście. Opowiedziała Vivian historię całego swego życia, począwszy od drugiego roku, kiedy ją adoptowali jacyś cyrkowcy, aż do tej nieszczęsnej

chwili, kiedy poznała pana Mac Intyre'a. Tutaj pamięć zaczęła ją zawodzić, aż przeszła do opowiadania wydarzeń z niedawnej przeszłości. Mogła dać szczegółową charakterystykę każdego białego mieszkańca Amanu, obejmującą jego powierzchowność, przyzwyczajenia, interesy i moralność, jeżeli ją tylko posiadał. Na Amanu było wesoło podczas urzędowania gubernatora. Co prawda, była to wesołość względna, ale w każdym razie było wówczas więcej ludzi. Inna rzecz, że pozostawało to w związku z urzędowaniem sądu, co się kończyło źle dla niektórych. Ale zawsze zarabiano się więcej, było więcej gości, jakieś nowe twarze, a ostatecznie, różnorodność ma wielkie znaczenie...

Pani Mac Intyre wstała, żeby zamknąć okiennice. Była jedenasta. Z tyłu domu dochodziły głosy Kanaków. Gdzieś leniwie zaszczekał pies. Szum fal, rozbijających się o skały, brzmiał monotonnie. Pani Mac Intyre i Vivian siedziały w tym samym nędznie urządzonej pokoju, w którym przyjęto Vivian zaraz po przyjeździe. Starsza kobieta trochę zazdrośnie spoglądała na kostium dziewczyny, z lekkiego jedwabiu.

— Ładna sukienka — zachwyciła się. — Te wszystkie drobne zakładeczki... I wycięcie przy szyi takie głębokie i ładnie wykończone. Tak. Ale gdyby pani nie miała takiej białej skóry, nie wyglądałoby to tak uroczo. Ja sama miałam kiedyś ładną cerę. Często mi o tym mówiono. Rozumie się, w sposób bardzo przyzwoity.

— Czy Murphy był tutaj? — spytała Vivian. — Chciałabym się dowiedzieć, czy statek jutro odjeżdża?

— Pani tak pragnie stąd wyjechać? Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pani została tydzień albo i dłużej. Ale nie ze względu na zarobek, doprawdy nie dlatego! Nieczęsto zatrzymuje się u nas taka prawdziwa dama. Oglądanie ciągle samych mężczyzn znudzi się wreszcie. A na Amanu mało jest kobiet. Właściwie tylko żona misjonarza i siostra Jake'a Rafferty'ego — i to wszystko. Mężczyźni niechętnie przywożą tu żony. Klimat nie jest dobry, gorąco...

— To bardzo przyjemne — powiedziała Vivian żywo. — Mam ochotę chodzić bez ubrania. Lubię upały.

Ostre szare oczy spojrzały na dziewczynę z ciekawą życzliwością.

— Mam nadzieję, że pani się tu dobrze czuje i pragnę tego. Bardzo mi się pani podoba i byłoby mi niewymownie przykro, gdyby się pani przytrafiło tu coś złego.

— A co złego może mi się tu przytrafić? — zdziwiła się Vivian. — Pani Mac Intyre, niech mi pani powie, co właściwie dzieje się z moim ojcem? Nie widziałam go już piętnaście lat. Pisywał do mnie zawsze jednakowo wesołe listy, przysyłał zawsze dużo pieniędzy. Przyjechałam tutaj, żeby zobaczyć go, zostać przy nim. Ale i pani, i Murphy — wy coś przede mną ukrywacie, wiecie coś o nim, czego ja nie wiem.

— O! — pani Mac Intyre poruszyła się niespokojnie. — O, nie!... Jestem przekonana, że pani się myli... Muszę pobiec zobaczyć, co się dzieje z lunchem.

Różowe kimono zniknęło w otwartych drzwiach, a Vivian aż tupnęła nogą ze złości. Nie mieli zamiaru jej nic powiedzieć, to było jasne, ale oczywiste było również i to, że było coś do powiedzenia. Dlaczego jej ojca nazywano „Dzentelmen Charles”? Dziwne przezwisko dla kupca! Dlaczego nikt nie chciał mówić z nią o nim? Dlaczego pani Mac Intyre tak się obawiała, że jej, Vivian, może stać się coś złego?

Reszta dnia jakoś przeszła. Przed wieczorem Vivian poszła z panią Mac Intyre na spacer drogą wzdłuż wybrzeża, skąd patrzyły na zachód słońca i purpurowe niebo. Od palm padały na ścieżkę długie cienie. Ochryple głosy małych papużek brzmiały dziwnie posępnie w spokojnym powietrzu. Na dole przy brzegu Kanakowie rozpalili ogniska. Dochodziły stamtąd urywane odgłosy ich pieśni. Na lagunie kiwało się kilka stateczków, były to przeważnie szalupy handlarzy — pani Mac Intyre знаła ich nazwy oraz wygląd i osobiste przyzwyczajenia właścicieli. Po drugiej stronie rafy stał nędzny statek, mający zawieźć Vivian do Degas — o ile Bóg pozwoli, a pan Porteous wytrzeźwieje. Pani Mac Intyre wskazała go Vivian.

— To właśnie ten statek. Nazywa się „Go down, Moses”*, należy do Billa Porteousa. Bill to dziwak. O, wielki dziwak! Kiedyś, dawno, pewna kobieta zdradziła go i to pomieszało mu trochę klepki. Pije, moja droga, pije — jak smok. A przy tym jest z niego wielki mruk, bardzo zgryźliwy. Można powiedzieć — wprost chorobliwie. Murphy mówił mu, że pani z nim pojedzie. Wszystko będzie w porządku. Jeżeli pani wyjedzie jutro o dziesiątej, to wieczorem będzie pani już w Degas.

— Dziwna nazwa dla statku — powiedziała Vivian.

* „Utop się, Mojżesz”.

— O, to cały on. Właśnie przed kilku laty, kiedy spotkał go ten zawód, kupił statek i powiedział, że ma nadzieję, iż kiedyś razem z nim zatonie. Widzi pani, statek nazywał się „Moses”. Co robi Bill? Każe wymalować przed tym słowem jeszcze dwa wyrazy, po prostu prowokując przeznaczenie. Ale dotychczas nie miał nigdy żadnego wypadku. Ten „Go down, Moses”, to — jak zwykł mawiać mój mąż — najpewniejszy statek znajdujący się na morzu. Pani Mac Intyre otarła twarz chusteczką obszytą tanią koronką. Zamiast różowego kimona miała na sobie ciemnogrnatowy strój, który sama sobie uszyła i nazywała „robe-manteau”. Obie kobiety spacerowały w tę i tamtą stronę, dopóki na niebie nie ukazały się gwiazdy, a w oknach szynku Jake'a nie zabłysło światło. Pani Mac Intyre stała się milcząca, jak gdyby przy goty wy wuj ąc się do udzielenia jakichś informacji.

— Droga pani — odezwała się wreszcie, przyciskając ramię Vivian — w tym kraju wszystko jest zupełnie inne niż to, do czego pani była przyzwyczajona. Sądzę, że w New Yorku ludzie... no, nie mogliby zrozumieć tego, co tutaj się dzieje. Wszystko to jest tak dalekie i tak różne od tego, co się u was nazywa normalnym życiem. Ale nie trzeba się tym martwić. Pani jest młoda. Młódzież wszystkim przejmuję się głęboko, ale też potrafi wiele znieść. Więc cokolwiek nastąpi, niech się pani nie lęka. Strach jest jedynym zagrożeniem tutaj, na wyspach... Niech pani tylko nie okazuje strachu przed nikim, bez względu na to co powie i co zrobi. A jeżeli pani potrafi, to lepiej samej wszcząć awanturę. Niech nikt nie myśli, że może nad panią górować. Przyglądała żółtą czuprynę i wyzywająco podniosła głowę.

— A przede wszystkim, droga pani, proszę nie wierzyć powiedzeniu, że czysta dusza pozwoli dziewczynie przejść przez wszystko. Pomoże jej, na pewno, znieść dużo, ale na drodze może, niestety, pojawić się mężczyzna. Niech pani nie pozwoli żadnemu myśleć, że może panią owładnać.

Starła się poprzez mrok dojrzeć twarz dziewczyny.

— Czy umie pani strzelać?

— Tak — odparła zdumiona Vivian.

— To dobrze. Murphy zdobędzie dla pani rewolwer. Pani prędko nauczy się z nim obchodzić.

— Ależ...

— Cicho — przerwała pani Mac Intyre gwałtownie. — Pani nie rozumie, na co się naraziła, przyjeżdżając tutaj. Nigdy nie podburzałam dzieci przeciw rodzicom i odwrotnie, więc od swego ojca dowie się pani, co powinna pani wiedzieć o nim samym i o jego towarzyszach. Ale patrzeć, jak pani niby baranek idzie w paszczę smoka — na to się nie zgodzę. Opiekę pani musi mieć, bez względu na to, czy to się pani podoba, czy nie, a nie ma lepszej opieki od kawałka zimnej stali. Chodźmy, już trzeba wracać.

Zawróciła szybko i doprowadziła swą oszołomioną towarzyszkę z powrotem do hotelu „Royal”. Spieszyła się tak bardzo, że wróciły do hotelu czerwone i tak zadyszane, że nie mogły wymówić słowa. I o to prawdopodobnie chodziło. Pan Murphy zaszedł po kolacji i został natychmiast wysłany do Jake'a, żeby zdobył tani rewolwer — mały, lekki, odpowiedni dla kobiety.

— A targujcie się ostro, Murphy — krzyczała pani Mac Intyre w ślad za swym wysłannikiem.

Vivian rozejrzała się wokoło. Pokój przy świetle lampy wydawał się przytulniejszy. Na stole leżały słodkie pomarańcze, nektaryny, żółte śliwki. W powietrzu unosił się zapach kawy. Kali wynosił półmisek z resztkami delikatnych ryb „kuka”, przybranych korzeniami i cytryną. Przez otwarte okna wpadały nie kończącym się strumieniem śmy, zwabione światłem. Ich miękkie skrzydełka trzepotały wokół policzków Vivian, a pani Mac Intyre kazała chłopcu stać przy oknie i odganiać śmy przy pomocy palmowego wachlarza. Do uszu dolatywał, zmieszany z dalekim pluskiem fal, śpiew Kanaków siedzących grupami przy ogniskach na wybrzeżu. Vivian doznawała wrażenia ogromnego spokoju.

Ale Murphy poszedł kupić rewolwer...

Wrócił właśnie i przedstawił swój nabytek krytycznym oczom pani Mac Intyre.

— Udało mi się wytargować go za grosze — oświadczył dumnie. — Ten Jake Rafferty to niezły cwaniak. Niech no pani to obejrzy.

Vivian wzięła błyszczący przedmiot. Czy możliwe, żeby była zmuszona kiedyś go użyć? Gdy palce dotknęły zimnego metalu, przebiegł przez nią dreszcz. Murphy coś mówił, ale go nie słuchała. Serce jej biło w przyśpieszonym rytmie. Dlaczego ta para była tak pewna, że wkrótce będzie jej potrzebna broń?

Ogarnęło ją przecucie nadchodzącego nieszczęścia. Machinalnie odpowiadała „tak... tak” na gadaninę Murphy'ego.

— Teraz niech go pani schowa — poradziła pani Mac Intyre. — Murphy, mam nadzieję, że nie odmówicie jeszcze szklaneczki. Wyjmijcie stamtąd butelkę. A jak będziecie przechodzili obok Jake'a, każcie przysłać nowe. O której odpływa statek?

— O dziesiątej.

— Spodziewam się, kochanie, że nic złego pani nie spotka — powiedziała pani Mac Intyre żalonym głosem. — Na pani miejscu, natychmiast położyłabym się spać. Mówią, że mocny sen krzepi.

Pan Murphy podniósł szklanę, aby wypić na pożegnanie.

— Będę tutaj jutro — obiecał — i zabiorę pani bagaż. Pożegnawszy go, obie kobiety udały się na górę do pokoju

Vivian. Pani Mac Intyre postawiła lampę na umywalce i zaczęła zamykać okiennice.

— Rachunek ureguluje pani jutro. Chciałabym uważać panią za swego osobistego gościa, ale zarobki są nędzne, a pan Mac Intyre jest bardzo skąpy, nawet więcej niż bardzo. Ludziom się zdaje, że życie tutaj nic nie kosztuje. Ogromnie się mylą. No, moja droga, nie przeszkadzam. Niech pani prędko się położy, bo wygląda pani mizernie. Przede wszystkim proszę pamiętać o tym, co mówiłam dzisiaj; nie okazywać nigdy strachu. I nigdy nie czekać, aż ktoś zacznie awanturę. Zawsze zaczynać samej. Zobaczysz pani, że wtedy zdobędzie tu ogólny szacunek.

— Pani Mac Intyre — poprosiła Vivian z rozpaczą w głosie — czy nie powie mi pani, co mnie czeka?

— Przyjedzie pani do Degas i sama się przekona — co powiedziawszy, zamknęła za sobą drzwi.

2

„Go down, Moses” odpłynął do Degas rano. Bill Porteous obejrzał swą pasażerkę od stóp do głów, zażądał zapłaty z góry i wskazał jej duszną komórkę, którą bez uzasadnienia nazwał zarezerwowaną kabiną. Po poinformowaniu Vivian o godzinach posiłków przestał się nią zajmować. Dla niego, jak to często powtarzał, wszystkie kobiety były bydlętami. Bill był małym, krępyim człowiekiem, o gęstym zaroście, zapadniętych oczach i guzowatym łbie. Mówił ochrypłym, zgryźliwym głosem

i patrzył podejrzliwie na każdego, kto się do niego zbliżał. Ale swą starą balią kierował znakomicie. Pomimo całej niezdarno-ści tego grata wydobywał z jego rozklekotanych maszyn wcale niezłą szybkość. Krypa przetrwała burze, podczas których tonęły statki znacznie lepsze; przybijała zawsze do portu, pokieroszowana, ale niezwyciężona.

Vivian spędzała czas głównie na pokładzie. Nie można było myśleć o najmniejszych wygodach w wąskiej dziurze, przeznaczonej dla niej i uważanej za najlepsze miejsce na statku. „Go down, Moses” był statkiem handlowym. Pasażerów przyjmowano z łaski i to jedynie takich, którzy byli przygotowani na znoszenie niewygód. Z dołu dochodziły najdziwniejsze zapachy. Cała rodzina kóz jechała do Degas i marynarze bardzo byli nimi zajęci. Odbiorca, niejaki Sam Horton, kazał im dobrze opiekować się kozami, w przeciwnym razie obiecał urządzić im piekło. Stary Sam nie liczył się ze słowami ani nie starał się, żeby brzmiały wytwornie. Bill zachował żywe wspomnienie o wypadku z okazową świnią, której złamano nogę, zanim ją dowieziono do Sama.

Vivian słyszała, jak Bill upominał Henry'ego Jonesa, chudego młodzieńca, o włosach koloru marchwi i zaczerwienionych oczach, który zdawał się nigdy nie jadać i nie wypoczywać, tak był zawałony robotą.

— Te kozy śmierdzą, Henry!

— Wiem o tym, kapitanie — odpowiedział przeciągły głos. — To przecież naturalne.

— Możliwe. Tylko niech im się nie dzieje zbyt źle. Wiesz przecież, jaki jest Sam.

— Wiem — westchnął Henry. — W każdym razie nie sądzę, aby któraś zdechła.

— Spodziewam się!

— A ta młoda dama — powiedział Henry niby obojętnym tonem człowieka, który jest kimś mocno zainteresowany, ale raczej wolałby umrzeć, niż to okazać — mam nadzieję, że także będzie czuła się dobrze, gdy dopłyniemy do Degas.

— Hm. Tak sądzisz?

— Dokąd ona jedzie, kapitanie?

— Do Dżentelmena Charlesa.

— Nie, to niemożliwe!

— Tak. To jej ojciec. Sama to powiedziała Timowi Murphy'emu.

— Na Boga! — zawołał Henry. — Ten drań!

— Zdaje mi się, że przyszła kolej na niego — Porteous wybuchnął szczerą niechęcią. — Słyszałeś o Shotterym? Wypuścili go z więzienia. Tak, naprawdę. O tym mało kto wie, ale ja wiem. Widziałem go na Amanu.

— Shottery? Powinien siedzieć jeszcze sześć tygodni.

— Prowadził się tak dobrze, że go wczoraj wypuścili.

— O, Boże! — zawołał Henry. — A ona właśnie jedzie do Dzentelmena Charlesa!

Zabrzmiały oddalające się kroki. Vivian także opuściła swe miejsce i rozpoczęła powolny spacer po pokładzie. Głowę trzymała wysoko, ale kolana drżały pod nią. Choć zachowała dumny wyraz twarzy, myśli plątały jej się po głowie w zupełnym nieładzie. Co to była za tajemnica?

Była zgnębiona. Przypuśćmy, że Charles Hunter wcale nie chce jej widzieć? Co zrobi wtedy? Na myśl o New Yorku zrobiło jej się zimno. Magiczny czar Południa pochwyił ją już w swą sieć. Wszystko jedno, co ją czeka — nie cofnie się. Spojrzała na wodę za rufą. „Go down, Moses” zataczał się trochę, jak pijana baba wracająca do domu. Po lewej stronie burty zarysowywała się niejasno jakaś wyspa, oznaczona tylko białą linią rozbijających się o skały fal. Degas wkrótce już będzie widoczne. Vivian wiedziała, że dopłyną do portu o zmroku. Była trzecia. Jeszcze sześć, siedem godzin — co wtedy nastąpi?

Henry przebiegł obok niej. Gdyby nie obecność Porteousa, który mógł doskonale widzieć ich oboje, rzuciłaby zniecierpliwiona chłopcu pytanie i wy dostała od niego prawdę. Henry, zaczerwieniony, odwrócił od niej wzrok. Gdyby śmiał, przemówiłby do niej, ale bał się Porteousa.

Słońce niechętnie pograżyło się w rozpalonym morzu i zapadł szybki zmrok. Po bokach statku zapalono światła, a gdzieś daleko światełko, maleńkie jak główka od szpilki, wskazywało miejsce, gdzie leżało Degas. Vivian patrzyła w tę stronę jak urzeczona. Nie zważając na chłód, który następował zwykle po zachodzie słońca, nie poszła po płaszc. Statek przechylił się na jedną stronę i fontanna piany rozprysnęła się tuż koło jej lewej ręki. Odskoczyła i wpadła na jakąś niemą postać, która podała jej płaszc.

— Dziękuję. Czy to wy, Henry?

Zduszony dźwięk oznaczał potwierdzenie.

— Niech pani włoży płaszcz. Przyniosłem z kabiny. Wieczorem robi się zimno.

— Henry — odezwała się Vivian — znacie dobrze Degas?

— Dostyc dobrze, proszę pani.

— Czy znacie „Spindrifta”?

— Tak... Już muszę odejść.

Uciekł, a ona tylko wzruszyła ramionami. Widocznie nie zda się na nic żadna próba wydostania jakiejś informacji. Machnęła na to ręką i udała się do swej kabiny przygotować bagaż do wyładowania.

Kiedy dopłynęli do Degas, noc była czarna jak aksamit, bezksiężycowa.

Degas dumnie jest z portu i mola, przy którym statki mogą wyładowywać towary. Zamiast latarek używało się tutaj pochodni. Naokoło słychać było męskie głosy i chrzęst naciągniętych lin. W powietrzu unosił się zapach korzeni — dziwny, zmysłowy, drażniący. „Go down, Moses” otarł się bokiem o molo, a Porteous dawał spóźnione rozkazy. Skrzypnął trap przerzucony na nabrzeże i rozległy się obce głosy powitalne. Stojąc na pokładzie, Vivian widziała pogmatwaną płataninę masztów i żagli po prawej stronie, rysującą się w niepewnym świetle pochodni. Bill Porteous zszedł po trapie sprawdzić, czy statek jest dobrze zacumowany. Kilku portowych łazików plątało się, poprawiając zacumowanie, zgodnie z rozkazami Billa. Vivian czekała, nie wiedząc, co począć.

Wtem usłyszała głos Porteousa.

— Czy „Spindrift” jest tutaj?

— Aha! Masz coś dla Huntera?

— Parę skrzyń, kilka listów i — dziewczynę. Dał się słyszeć krótki śmiech.

— A ładna?

— Stary Charles umie wybierać.

— Jak ona wygląda?

— Wiele to ich było od czasu jego ostatniego pobytu?

— Czy przysłali ją pocztą?

— Pokaż no ją, Bill. Vivian usłyszała odpowiedź Billa:

— Stulcie gęby, barany, to jego córka. Nastąpiła grobowa cisza. Wreszcie ktoś się odezwał.

— Czy jest pomyłona?

— Och! — wyrwało się z piersi Vivian. Wstąpiła na trap.

Kiedy zeszła na brzeg, grupa mężczyzn rozstąpiła się. Bystre taksujące spojrzenia zmierzyły ją od stóp do głów. W migocącym świetle ukazała się blada, ale rezolutna twarzyczka i zaraz żarciki zamarły w pokastywaniu pełnym zażenowania i jak gdyby przeprosin. A więc to jest córka Dżentelmena Charlesa! Ma w sobie coś z ojca w mocnym podbródku i przenikliwych oczach, coś, co wskazywało, czyją jest córką.

Henry, który stał za nią obładowany jej bagażem, szepnął, żeby skrzyła na prawo. Skinęła głową i wykręciła się na pięcie. Mężczyźni znów rozstąpili się. Porteous mruknął coś, a chłopiec Kanak z „Go down, Moses” biegł przed Vivian z pochodnią w ręku, wołając: „Spin-drift! oha!” Vivian szła szybko za nim szczęśliwa, że wydostała się z kręgu tych mężczyzn, przyglądających jej się w sposób tak natrętny. Henry biegł za nią, potykając się i odrzucając włosy z twarzy, i wtórował wołaniu chłopca.

Wkrótce w odpowiedzi na ich wołanie rozległ się głos z pokładu statku stojącego tuż przy moło. Zakołysała się jakaś latarnia, w której świetle ukazała się rozczochrana głowa Kanaka.

— Jego Hunita jest w kabina — oświadczył. — Zawołać on tutaj wszystko jedno niedobrze. Musi znaleźć w kabina.

— Niech pani wejdzie na pokład — namawiał Henry. — Ten jego Kanak nie zawoła go. Pan Hunter nie lubi, żeby go wzywano. Kto chce się z nim widzieć, musi udać się do niego. Tu jest trap, pójdę pierwszy. Hej, ty, Kanak, łap no jeden kufer.

Zrzucił bagaż Vivian na pokład i ustawił go porządnie. Potem wytarł ręce o koszulę i wyciągnął do Vivian dłonie, ażeby jej pomóc wejść.

— Powoli — ostrzegał — ostrożnie, ostrożnie... Oto jesteśmy! Puścił jej ręce i stał przed nią zmieszany, w niezdarnej pozie.

— Pójdę już, Porteous czeka. Zatrzymamy się w porcie kilka dni. Może jeszcze kiedyś panią zobaczę.

Zawrócił, a Vivian patrzyła w ślad za nim, gdy wracał do swego szefa.

Chłopiec biegł obok niego. Tymczasem Kanak ze „Spindrifta”, przestępując z nogi na nogę, starał się zwrócić na siebie jej uwagę.

— Czy pan Hunter jest na statku? — spytała. Białe zęby zabłyśły w uśmiechu.

— Jego Hunita?

— Jego Hunita — zgodziła się Vivian.

— Ty przyjdź, zobacz — powiedział chłopiec.

Ruszył naprzód, podnosząc wysoko latarkę, żeby widziała, gdzie stawia nogi. Kiedy podeszli do schodów prowadzących w dół, Kanak przystanął. Vivian spojrzała w ciemną studnię, na której dnie połyskiwało światło, przedostające się przez szczelinę nie domkniętych drzwi. Zaczęła schodzie powoli, ręce zwilgotniały jej ze strachu. Głosy za drzwiami stawały się silniejsze, gwałtowniejsze. Rozległ się jakiś trzask, potem nastąpił gniewny okrzyk i ktoś powiedział — „Rzuć to, Maclise”. Coś zadźwięczało, jak gdyby spadający nóż.

Vivian doszła do końca schodów i wyciągnęła niepewnie rękę, aby otworzyć rozsuwane drzwi.

III

1

Vivian weszła do wnętrza.

Z tą chwilą wszystko umilkło. Wszyscy znajdujący się w kabinie znieruchomieli. Wpatrywali się w nieoczekiwanego gościa, jak mężczyźni nie przyzwyczajeni do widoku kobiety, wchodzącej do ich twierdzy bez pozwolenia.

I Vivian też patrzyła na nich. Wzrok jej, oślepiiony nagłym światłem, rozróżniał tylko jak gdyby zamglone twarze. Niebieskawy dym, wznoszący się spiralnie, zamazywał jeszcze ich kontury. Ale już po chwili Vivian zaczęła je rozróżniać. Na jednym z krzesel siedział jak na koniu, trzymając ręce na oparciu, barczysty mężczyzna o cygańskiej urodzie — ciemnych oczach i włosach. Z uszu zwisały mu złote koła, tak lubiane przez marynarzy, tworząc błyszczącą plamę na tle czerwonej chustki zawiązanej na szyi. Za nim stał młodszy od niego, szczuplejszy mężczyzna z rozwichrzoną czupryną, o twarzy rozpalonej i ponurej. U jego nóg leżał nóż. Na lewo, oparty niedbale o stół otaczający podstawę głównego masztu, stał wysoki mężczyzna w nieskazitelnie białym ubraniu. Byli tam jeszcze i inni, ale ta trójka wysuwała się na pierwszy plan. Oczy Vivian wędrowały od jednego do drugiego. Zatrzymały się na człowieku w białym ubraniu. Był wysoki, o sokolich rysach, starannie podstrzyżonym, siwiejącym wąsie i gładkich, zaczesanych z czoła włosach. Ubranie leżało na nim świetnie. W jego

postaci było coś sympatycznego, co musiało go wyróżniać w każdej grupie ludzi, a tym bardziej w tej, w jakiej znajdował się w tej chwili.

— A więc — odezwał się w miły sposób — czym możemy pani służyć, młoda panno?

Vivian pomyślała, że mało się zmienił. Głos ma trochę zachrypnięty i nosi wąsy, ale poznałaby go wszędzie. Głośno powiedziała:

— Szukam Charlesa Huntera.

— Widzi go pani przed sobą.

— Córka pańska szuka pana. Zbliżył się do niej.

— Co pani chce przez to powiedzieć? Moja córka jest w New Yorku.

Poprzez opary dymu, unoszące się w pokoju, śledziły ich z zaciekawieniem oczy milczących towarzyszy.

— Co to ma znaczyć? — spytał Hunter. Stał teraz w świetle lampy i Vivian mogła się przekonać, że minione lata pozostawiły jednak ślady na jego twarzy — wokół oczu i ust.

— Mało się zmieniłeś — powiedziała wolno. — Czy pamiętasz, jak mnie zaniósłeś do samochodu?

Zachwiał się trochę i wyciągnął prędko rękę, aby uchwycić się poręczy krzesła.

— Jestem Vivian.

— Tak.

Poczuła nagle ogromne zmęczenie. Nie ucieszył go jej widok. Nie potrzebował jej. Będzie mu zawadą. Myśli te przerwał jakiś głos. Ktoś odezwał się szorstko „proszę usiąść” i dwie potężne dłonie posadziły ją na krześle. Barczysty mężczyzna z kolczykami wstał i patrzył na nią, jak jej się zdawało, z ogromnej wysokości.

— Vivian — zapytał Hunter — jak się tutaj dostałaś? Ze starym Porteoussem? Tak też myślałem. Źle wyglądasz.

Zawołał chłopca, który zaraz się zjawił.

— Przynieś no kawy, migiem. Vivian — zwrócił się do córki — co byś chciała zjeść? Obawiam się, że nie zachowuję się dostatecznie konwencjonalnie. Ale możemy zacząć od początku. Dostarczę ci dramatycznych wzruszeń, wołając „dzie-e-cko moje"! Jeżeli pragniesz tego. Albo może powinienem ci powiedzieć, że masz oczy i głos twej matki? Byłoby to kłamstwem, ale zdaje mi się, że to się właśnie mówi w takich wypadkach.

— Jestem śmiertelnie zmęczona. Czy mogłabym gdzieś odpocząć?
Dżentelmen Charles skinął głową twierdząco.

— Cieszę się, że nie należysz do natur zbyt uczuciowych. A gdy wszystko dokładnie sobie obmyślę, będę prawdopodobnie zadowolony z twego przyjazdu. Ale — przepraszam cię — w tej chwili przedstawiasz dla mnie trudny problem. W całym Degas nie ma takiego miejsca, gdzie mogłabyś zamieszkać. A my za dwa dni odpływamy. À propos! Stary Porteous przywiózł chyba pocztę? Regan, proszę pójść i zobaczyć!

Barczysty mężczyzna wyprostował się, przeciągnął leniwie i nie śpiesząc się, zaczął wstępować na schody. Reszta towarzystwa poszła w jego ślady. Ojciec i córka pozostali sami.

Hunter patrzył na Vivian krytycznym wzrokiem, trzymając ją od siebie na odległość ramienia.

— Jesteś prześliczna — pochwalił ją. — Fotografia to bardzo dobra rzecz, ale nie daje pojęcia o tym, jaka jest w rzeczywistości kobieta.

— Ojciec — zaczęła Vivian żywo. — Musiałam przyjechać! Nie wiem, co mnie do tego popchnęło. Nagle strasznie zapragnęłam cię zobaczyć. Wszystko tam było takie nudne, mdłe... wtedy otrzymałam twój list i doznałam wrażenia, że czujesz się samotny, że... Przykro mi, jeżeli ci nie jestem potrzebna... jeżeli mnie nie chcesz...

— Nie chcę cię? — powtórzył Dżentelmen Charles przyciskając córkę do siebie. — Wiesz, Vivian, w przeciągu tych piętnastu lat nie było dnia, w którym bym o tobie nie myślał.

Jak każda kobieta, uwierzyła w to kłamstwo.

— Więc, cieszysz się, naprawdę?

— Nie — odparł poważnie. — Przyjemnie mi, że moja córka wyrosła na czarującą kobietę i jestem z niej dumny. Ale, Vivian, nie możesz zostać na statku.

— Dlaczego?

— To nie jest miejsce dla ciebie.

— Póki jesteś ze mną, jestem szczęśliwa. Z niewygód nic sobie nie robię... Spojrzał na nią jakoś dziwnie.

— Więc powiem inaczej. Tu nie jest bezpiecznie.

— Niebezpiecznie?

Odwrócił się i wyjął z kieszeni ciężką srebrną papierošnicę. Światło zapałki na chwilę oświeciło jego twarz, na której troska leżała jak chmura.

— Vivian, chciałbym, żebyś została. Ale to jest niemożliwe. Odpływamy stąd dwudziestego siódmego. Nie masz pojęcia, jakie czekają nas niebezpieczeństwa. Musisz wrócić z Porteu-sem. Musisz wsiąść na najbliższy statek płynący do New Yorku. Nic innego zrobić nie można. Vivian wpatrywała się w ojca. Teraz widać było, jak dalece są do siebie podobni.

— Nie pojedę!

— Musisz — powtórzył Hunter bezradnie.

— Nie chcę. Wszystko mi jedno, jakie wynikną z tego kłopoty. Chcę pozostać. Zresztą, kto by tam troszczył się o to, co się może zdarzyć! Chcę tylko dowiedzieć się wszystkiego. Od chwili, kiedy przyjechałam tu, na Południe, widzę, że jesteś wszystkim znany, ale nikt nie chce mi o tobie nic powiedzieć, a jednocześnie każdy coś wie... ach! doprawdy nie umiem sobie tego wytłumaczyć!

— Kto mówił z tobą o mnie?

— O!... Pani Mac Intyre, ta, u której mieszkałam na Amanu. Następnie niejaki Murphy. I sam Porteous... podsłuchałam jego rozmowę z Henrym.

— Cóż mówili? — spytał ojciec, siląc się na obojętność.

— Coś jak gdyby wyrażali obawy, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo — zawahała się. — Niby że przyszła na ciebie kolej i o jakimś człowieku nazwiskiem Shottery.

— Shottery?

— Tak.

Ręka Huntera trzymająca papieros nawet nie drgnęła. Ojciec Vivian wpatrywał się w coś w głębi pokoju, czego ona nie widziała.

— Kto to taki, ojczy?

— Kto? Shottery?

— Tak.

— Jest to człowiek, który pewnego dnia mnie zabije — odpowiedział z wolna.

— Oczywiście, o ile ja nie zabiję go przedtem. W tych krajach, Vivian, każdy walczy sam o siebie. Wszystko inne jest bez znaczenia. Sądzę, że do pewnego stopnia jesteśmy odbiciem otaczającej nas przyrody. Mądrale przynajmniej są tego zdania. Tu nie istnieje nic podobnego do bezpieczeństwa.

Nie istnieje dobroć, wyrozumiałość, względy dla słabszego. Tutaj można tylko albo walczyć, albo — zginąć. Istotnie, czego możesz się tu spodziewać? Przyroda jest okrutna — burze, tajfuny, trzęsienia ziemi — oto czym nas obdarza. Deszcz może człowieka zatopić, a słońce doprowadzić do szału. Na każdym pagórku trujące rośliny, febra w bagnach, podwodne skały!... A spójrz tylko na świat zwierzęcy! Ośmiornice, rekiny — czy widziałas kiedyś rekina, Vivian? Mówię ci jedno: przyroda nas tu nie chce. Czyni wszystko, aby nas zniszczyć, upokorzyć. Ujął jej dłonie w swoje.

— Shottery i ja pokłóciliśmy się. Pracował tu na statku. Byliśmy przyjaciółmi, to był dobry chłopak. W każdym razie tak myślałem do zeszłego roku. Wtedy pokazał swe prawdziwe oblicze — kłamcy, zdrajcy. Pewnego dnia na Amanu zszedł na ląd i zrobił na nas donos. Tak! Zrobił to — Hunter zaczął wpadać w gniew — ten brudny, kłamliwy śmierdziel. Doniósł, oskarżył, zdradził. Rozumiesz, co to znaczy? Ledwie zdążyliśmy stamtąd uciec. O, Boże! O mało nas nie złapali! Przyszedł wtedy do szynku Jake'a, a mnie jakoś się jego oczy nie podobały. Nie spostrzegł mnie — siedziałem w ciemnym kącie — wypił sporo i opowiedział Jake'owi coś niecoś o tym, co zrobił. Gdy tylko zrozumiałem, co to znaczy, rzuciłem się na niego. Szybko wyjął swój rewolwer, ale niezbyt zręcznie strzelił. Kula zamiast mnie, zraniła starego Jake'a. Dlatego wsadzili go do więzienia. A miał dobrego adwokata, nazywa się Fentcher. Gorliwie tłumaczył, że to był przypadek samoobrony. Shottery dostał tylko rok więzienia.

— Czy byłeś, ojcze, w sądzie na tej rozprawie? Rzucił na nią bystre spojrzenie.

— Skądże! W pół godziny po wypadku byliśmy już daleko.

— A dlaczego przypuszczasz, że on zamierza...

— Skończyć ze mną? Gdybyś go widziała, gdybyś go słyszała, kiedy ludzie Jake'a przybiegli i schwytali go po tym wystrzale — nie pytałabyś o to. Widzisz...

Zamilkł. Jakże mógł jej wytłumaczyć, co zobaczył w oczach Shottery'ego? Nie potrafiłby określić duszy tego awanturnika, którego honor łączył się ze zdradą, namiętność z uporem, któremu byle co wystarczyło do popełnienia nieobliczalnego czynu.

— A więc — mówił dalej — siedzi w więzieniu za ten strzał, który był przeznaczony dla mnie. Rok to duży kawał czasu, gdy

ktoś jest młody. A oprócz tego znienawidził mnie. Naturalną rzeczą jest nienawiść do tego, komu się wyrządziło krzywdę. Wiem, że ci się to wyda dziwne, ale sama się o tym przekonasz. Lampa zaczęła migotać. Hunter wstał i przykręcił knot.

— Shottery posiedzi jeszcze sześć tygodni. A kiedy wyjdzie, mnie już tu nie zastanie. Widzisz, dobrze go znam... W każdym razie mamy jeszcze sześć tygodni czasu, zanim zaczniemy się niepokoić.

— Nie, nie macie — przerwała Vivian. — Shottery już jest na wolności.

2

Kolacja przedstawiała dość dziwny obraz. Przy okrągłym stole siedział Dżentelmen Charles, po prawej jego stronie — Vivian, po lewej — jasnowłosa, ponury Maclise. Z drugiej strony Vivian siedział Regan, olbrzym ze złotymi kolczykami. Przy stole zasiadali jeszcze inni: stary Perouse, ogorzały od wiatrów, noszący już siódmy krzyżyk; dalej chude indywiduum o szurzej twarzy, nazwiskiem Mason, oraz wysoki, blady młodzieniec, który podniósł głowę, kiedy Hunter skierował do niego pytanie: „Mike, gdzie kupiłeś tego wieprza? Jest twardy”.

Jedzenie było doskonałe. Vivian zaczęła zdawać sobie sprawę ze swego położenia. Jedyna kobieta między tyloma mężczyznami. Wiedziała, że jest przedmiotem bystrych, ukradkowych spojrzeń wielu badawczych oczu, które widziały już i oszacowały niejedną kobietę. Ale stopniowo odzyskiwała spokój. Ponieważ była córką szefa, zachowywali się przyzwoicie. Nie było więc dowcipów ani opowiadań zaczynających się dwuznacznym uśmieszkiem, a kończących rechotem. Chłopcy, Kanakowie, podawali cicho i zręcznie półmiski z pieczoną wieprzowiną i kurczętami, sago z korzeniami, zmieszane z cienko pokrojonymi orzechami kokosowymi, smażone yamy i śliwki.

Towarzystwo zgromadzone przy stole nie tylko zachowywało się przyzwoicie, ale na cześć gościa nawet się porządnie umyło. Dżentelmen Charles już od dawna zyskał sławę z powodu swego zamięłowania do starannego stroju, ale nie narzucał go swej załodze. Zewnętrzny wygląd kompanów mało go interesował. Co go mogło obchodzić, że Perouse nie goli się całymi tygodniami? Perouse za to potrafi bić się jak stary wilk, który

nigdy nie wypuści zdobyczy. Maniery młodego Mike'a wywołałyby zgorzienie każdej wytwornej gospodyni. Ale młodzieniec już posiadał na ciele dwie okazałe blizny, które zdobył, służąc Hunterowi. Dżentelmen Charles i jego załoga rozumieli się wzajemnie.

Tematem rozmów były wiadomości przywiezione przez Vivian.

— A więc wypuszczono Shottery'ego za dobre sprawowanie? Do kroćset diabłów, toć to najgrzeczniejszy chłopaczek na wyspach!

— Źle dla nas. Musimy wyteżać wzrok na wszystkie strony.

— Będzie nas prześladował jak rekin. Cholera... eh... tego... Proszę jeszcze kawałek wieprzowiny. Będzie nas gonił jak rekin, dopóki się z nim nie załatwimy.

— Ciekaw jestem, gdzie teraz jest?

— Niepotrzebna ciekawość. I tak zaraz odnajdzie nasze ślady.

— No, no — trzeba stąd wiać prędzej, niż mieliśmy zamiar.

W tej chwili właśnie Vivian zauważyła puste krzesło. Przygotowane było dla kogoś, kto jeszcze się nie zjawił. Zastanawiała się, kto to też mógł być.

— Vivian — zagadnął ją ojciec — czy Porteous mówił, dokąd Shottery się udał?

— Nie.

— Więc spróbujemy coś z niego wydostać, choć wątpię, czy nam się to uda. Porteous nie należy do moich przyjaciół.

— Nie sędzę, żeby coś wiedział. Mówił, że widział Shot-tery'ego na Amanu i to jest wszystko, co wie.

Na dźwięk miękkiego kobiecego głosu mężczyźni zamilkli nagle, jak gdyby na komendę. Wszyscy patrzyli na Vivian, a ona się zarumieniła, zmieszana tym, że okazują jej tyle uwagi. Hunter spojrzał na nią pobłaźliwie. Tak, ładnie wyglądała w swoich wytwornych fatałaszkiach. Ale podbródek i czerwone usta — o, w tych nie było miękkości — zdradzały wolę tak mocną, jak jego własna.

Zwrócił się do Regana.

— Co myślisz? Mamy poszukać Shottery'ego? Czy pozwolić mu na znalezienie nas?

Regan tylko wzruszył ramionami.

— Niechaj idzie do piekła własną drogą. Co mamy sobie przysparzać kłopotów!

Głos miał głęboki. Białe zęby błysnęły w nagłym uśmiechu. Czarne oczy spokojnie wytrzymały spojrzenie Huntera.

— Wiadomo nam, że to będzie albo on, albo pan, panie Hunter. Jeden z was wyciągnie broń o pół sekundy za późno. Ale nie powinniśmy zbaczać z drogi dla przygotowania sceny do ostatniego aktu. Niech nas sam znajdzie. Jeśli pozostaniemy tu dosyć długo, na pewno to zrobi.

— Nie mam zamiaru czekać tu na niego — zniecierpliwił się Hunter. — Mam ryzykować? Co za pomysł?! Siedzieć tu i czekać, aż Shottery raczy się zjawić w porcie, a później stanąć przed nim i czekać, aż strzeli. Też pomysł!

— Co Maclise na to? — spytał Regan.

— Powiem, że trzeba tu na niego zaczekać — odrzekł Maclise.

Wszyscy razem zaczęli mówić i Vivian spostrzegła, że Perouse wstał i oparł się o krzesło Maclise'a. Ten patrzył wprost przed siebie, oczy mu błyszczały w śmiertelnie bladej twarzy. Nie zwracał uwagi na panujący hałas, nawet powieka mu nie drgnęła.

— A nie mówiłem? — wrzasnął Regan, a jego potężny głos wybijał się ponad wszystkie inne. — Przecież to przyrodni brat Shottery'ego! Płyń w nim ta sama krew. Niemożliwe, żeby pragnął, by właśnie Shottery był tym, który spóźni się o pół sekundy! Zawsze to mówiłem. Powtarzam to znowu. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, dopóki ci braciszkanie znajdują się w pobliżu. Czy myślicie, że Maclise nie wiedział o tym, że wypuścili brata z więzienia? Niech go pioruny biją!...

Perouse w samą porę rzucił się na Maclise'a. Sękatymi rękami zmusił młodzieńca do pozostania na krześle, wykręcając mu ręce na plecach.

— Milcz, Regan! — zawołał Hunter. — Gadasz głupstwa. Skąd Maclise mógłby o tym wiedzieć?

— Są na to sposoby — upierał się przy swoim Regan, rozluźniwszy czerwoną chustkę na szyi. — Jest pan zaślepiony, kapitanie. Był pan zawsze ślepy, jeżeli chodziło o tych dwóch. Uprzedzałem pana co do Shottery'ego. Czy mnie pan słuchał? Nie. A teraz widzi pan, co z tego wynikło.

— Sam zajmę się swoimi sprawami!

— Ale to są także nasze sprawy, kapitanie. Czy pan nie widzi? Jeżeli pan zginie, my zginiemy z panem. Gdyby Shottery złapał nas wtedy na Amanu tak, jak chciał, teraz odsiadywalibyśmy siedmioletni wyrok. Obecnie będzie inaczej. Aleja i Perouse i Mike i my wszyscy jesteśmy zagrożeni, wszyscy prócz Maclise'a.

— Czy nie możesz zostawić w spokoju Maclise'a? Masz krętka na jego punkcie.

— Niech mu pan pozwoli gadać — powiedział Maclise ponuro. — Przeklęty Cygan! Co on znaczy?

Regan zwrócił się ku niemu.

— Cygan czy nie Cygan, jestem uczciwy. A to więcej, niż można się spodziewać po tobie.

Patrzyli na siebie poprzez stół, blondyn i brunet, widząc wzajemnie w swoich oczach wrogość, która nie da się uspokoić niczym, prócz śmierci. Vivian uświadomiła sobie, że wystarczy jedno słowo, żeby ci dwaj skoczyli sobie do gardła, i uczucie strachu pobudziło ją do działania. Zaczęła rozmawiać z ojcem, spokojnie, lekko — o New Yorku i przygodach podróży. Hunter odpowiadał jej, podchwytyjąc ostatnie słowa i zadając pytania, aż napięcie zelżało. Rozmowa stała się ogólna. Mike wziął sobie nową porcję wieprzowiny. Perouse wymyślał Kapeke za to, że kawa była zaledwie letnia. Regan i Mason zagłębili się w dyskusji o jakiejś broni. Tylko Maclise patrzył wprost przed siebie posepnym wzrokiem. Pozostawiono go w spokoju. Znali go. Ale Vivian czuła się dotknięta. Uprzednio podczas kłótni zignorowano ją. Czy istotnie kobieta nie liczy się, kiedy w grę wchodzi męskie sprawy?

— Panie Maclise — odezwała się.

Spojrzał na nią pytająco. Inni, udając brak uwagi, dobrze nasłuchiwali.

Dżentelmen Charles, nalewając whisky, poczuł nagłe napięcie, jakie objęło wszystkich obecnych.

— Panie Maclise, jestem ciekawa... Spojrzał na nią bez uśmiechu.

— Ciekawa czego?

Vivian wskazała puste krzesło, stojące między Mike'em a Reganem.

— Myślałam, że poznałam już wszystkich. Tymczasem jest tu miejsce dla kogoś, kto nie przyszedł.

- Więc?

— Kto to taki?

Natychmiast wszyscy zaczęli głośno rozmawiać. Czestowano Vivian wieprzowiną, proponowano jeszcze porcję sago. Mason zaczął opowiadać o rekinie, który zaatakował łódź tubylców w pobliżu Kikia. Kiedy skończył, Vivian znowu zwróciła się do Maclise'a.

- Kto to jest? — powtórzyła.

Hunter uśmiechnął się mimo woli. Uparta mała bestyjka. Niełatwo się jej sprzeciwić. Odważna. To dobrze. Niedługo będzie jej ta odwaga bardzo potrzebna. Samemu byłoby zabawnie zmierzyć się z nią. Ale nie było już na nic czasu, prócz spraw bieżących oraz Shottery'ego! Czy Regan nie miał słuszności, że nienawidził tego człowieka? Instynkt Regana nigdy go nie zawodził. Nieraz już jego szósty zmysł wskazywał mu niebezpieczeństwo, którego nikt inny nie mógł dostrzec. Ale — Maclise? Czy i tym razem Regan miał słuszność? Tych dwóch nigdy się nie lubiło. Jednakże, o ile Hunterowi było wiadomo, Maclise zasługiwał na zaufanie i był bezwzględnie wierny. Hunter miał do niego dziwną słabość. Było coś w tych braciach przyrodnych, Shotterym i Maclisie, co wbrew wszystkiemu pociągało go ku nim.

— Dlaczego pani pyta? — spytał Maclise.

— Zwykła ciekawość — odparła Vivian.

— Czasami to rzecz niepożądana w tych stronach. Jeżeli pani koniecznie chce wiedzieć, to krzesło to czeka na ostatniego członka załogi.

— Pozwólcie mi zgadywać, jak wygląda.

Na schodach dał się słyszeć odgłos kroków. Wszyscy podnieśli głowy. Mason przestał mówić. Młody Mike zaczerwienił się i zaczął jeść. Vivian pochyliła się naprzód, pragnąc zobaczyć wreszcie tego ostatniego członka załogi Dżentelmena Charlesa.

Przez otwarte drzwi weszła ----- kobieta.

IV

1

Weszła w krąg światła lampy z tą arogancką pewnością siebie, która jest przywilejem pięknych kobiet.

Biała suknia, opinająca wspaniale zbudowane ciało, była długa i zakończona ukośną falbanką w okolicy kostki. Duże wycięcie ukazywało ślicznie toczoną szyję. Z małych uszu zwisały rubinowe kropelki, mieniające się i błyszczące w świetle lampy. Czarne, gładkie włosy były rozdzielone pośrodku głowy i zwinięte na karku w węzeł. Ale cały urok jej osoby

mieścił się w czerwonych, pięknie wykrojonych ustach, które wabiły i jednocześnie wyrażały wzdarcie.

Hunter wstał. Pił dużo, ale był jeszcze względnie trzeźwy.

— Pozwól, że ci przedstawię, Vivian — to jest Julia Lamotte. Julio — moja córka.

— Bardzo mi miło — uśmiechnęła się Julia z wymuszoną uprzejmością. — Nie wiedziałam, że stworzyłeś taką ładną dziewczynę, Charles. Czy mogę teraz usiąść? Panno Hunter, będzie nas pani pewnie uważała za dzikusów. Usiadła przy stole i czekała, podczas gdy Hunter wołał Kape-ke, żeby przyniósł świeżej kawy, a Mason częstował ją wieprzowiną i ryżem. Mike, który teraz już był czerwony aż po same uszy, nie podniósł głowy. Julia śmiała się i tarmosiła go za włosy. Uśmiechał się nerwowo, odrzucił z brzękiem nóż i widelec i wsunął się głębiej w krzesło.

— Czy to nie jest głuptas, panno Hunter? — spytała leniwie. — A czy pani widziała, jak on je? Och, okropnie! Mówiłam Charlesowi, że nie powinien go dopuszczać do stołu. Ale Charles ma miękkie serce.

Twarz chłopca pokryła się bladością. Wstał i bez słowa wyszedł na pokład. Vivian poczuła przypływ współczucia. Znajdował się najwidoczniej we władzy tej kobiety — i nie on jeden. Kim była ta, która nazywała Huntera po imieniu i mówiła o nim w taki sposób, jak mówi się o własnym mężu? Vivian pochylała się naprzód i położywszy nagie łokcie na stole, oparła na nich spiczasty podbródek. Julia spostrzegła zdumione spojrzenie i wzruszyła ramionami.

— Przybyła pani z New Yorku? — zapytała.

— Tak.

— Cudowne miasto! Ale nie tak cudowne jak Południe. W mieście można żyć różnym życiem, tutaj — jest tylko jedno. Teraz jeszcze pani nie rozumie. Ale wkrótce to przyjdzie. Co się stało, Charles? — zwróciła się do kapitana.

— Nic — odpowiedział Hunter jakoś zbyt pośpiesznie. — Myślę o tym, gdzie by Vivian mogła spać.

— Czy nie ma... nie, myślę, że nigdzie w Degas... nie chciałbyś jej ulokować. Już jest późno, prawda? Skąd masz tego wieprza? Jest twardy. Weź to, Kapeke, to nie do jedzenia. Regan, proszę mi podać śliwki. Więc, Charles, będzie musiała spać na statku.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Tak?

— Dlaczegoż by nie? — wtrąciła Vivian. — Miejsca jest chyba dosyć. Statek wydaje się dość duży.

Puszczono jej uwagi mimo uszu.

— Może więc to urządzisz — zwrócił się Hunter do Julii. —

Tylko...

Zawahał się.

— Ze mną będzie zupełnie bezpieczna — powiedziała Julia. — Możesz być spokojny, Charles. Czego się obawiasz? Że jej powiem, jaki z ciebie człowiek? Nie myśl o tym. Możesz sam powiedzieć jej to kiedyś.

Westchnął, nalał sobie więcej whisky i rzekł:

— Shottery jest na wolności.

Coś błysnęło w oczach Julii, czego nie spostrzegł.

— Gdzie on jest? — spytała. — Gdzieś w pobliżu?

— Dlaczego miałby tu być? — odezwał się głęboki głos Regana. — Dlaczego, u diabła, miałby być w pobliżu? Czy myśli pani, że on wie, gdzie jesteśmy? Miał doskonałą sposobność dowiedzieć się o tym, prawda?

— W każdym razie będziemy bezpieczniejsi z daleka od tego miejsca — Hunter był wyraźnie zafrasowany. Jego piękne ręce bawiły się ciągle podstawą kieliszka.

— Tak — odezwał się Maclise niespodziewanie. — Wie dobrze, że weźmiemy nogi za pas, gdy tylko usłyszemy o nim.

Hunter słysząc to, zaczerwienił się

— Więc tym razem się omyli. Czy myślisz, że dbam o to, co on zrobi?

— Ale jeżeli on jest niebezpieczny, ojcze — zaniepokoiła się Vivian — to czy nie lepiej, abyśmy stąd odpłynęli?

— Prawda jest w ustach niemowląt... — szepnęła Julia. — Tak, dziecko, on powinien stąd uciekać. Namów go.

Oparła się o krzesło, uśmiechnęta drwiąco, a jej ciemne oczy patrzyły złośliwie to na Huntera, to znów na zachmurzoną twarz Regana.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli ucieknę — odciął się Hunter trochę zachrypniętym głosem. — Skąd, u diabła, wiemy, że on tu przybędzie? Ale przybędzie. Ma dosyć przyjaciół, którzy go poinformują, gdzie jesteśmy. Dowie się na pewno. Uciekać przed nim? Co, do pioruna, myślicie, że się go boję?! Zamierzaliśmy odpłynąć dwudziestego siódmego. Więc odpłyniemy tego dnia i ani minuty wcześniej. Ani o minutę wcześniej. Słyszycie?

— Jest pan szalony, kapitanie — rzekł Regan. — Wypływajmy, póki czas. Maclise i... Julia... chcą, żeby pan został. Dlaczego? Niech mi pan powie.

— Daj spokój Julii — wrzasnął Hunter. Stał teraz, chwiejąc się lekko, twarz i szyję miał czerwoną, włosy zlepione. — Nie mieszaj w to Julii! Maclise sam potrafi się obronić. Ale Julii daj spokój!

— Sądzi pan, że ona nie potrafi? — odpowiedział Regan hardo. — Jest pan pijany, kapitanie. A córka pańska aż zbladła ze strachu. Nic dziwnego!

— Połóż się spać, Vivian — powiedział Dżentelmen Charles szorstko.

Wstała niepewnie, przestraszona, nie wiedząc co począć i dokąd pójść.

Znajdziesz koję w kabinie Julii — złagodniał ojciec. — Mason, wskaż jej drogę.

— Może położyć się na mojej koi — zaproponował nagle Regan. — Ja pójdę do Mike'a.

— Mowy o tym nie ma — odpowiedział Hunter z godnością. — Nie mogę na to pozwolić. Vivian, śpij z Julią. Kobieta... Czułaby się samotna.

Spojrzał na nią nieprzytomnie.

— Idź spać z Julią, słyszysz? Posłuszna... posłuszna... córka... Dlaczego nie ma spać w mojej kabinie? — spytała Julia. —

Naprawdę, Regan, czy nie jest pan zbyt natrętny? Nie otruję tego dziecka w nocy. Nie ma absolutnie żadnego powodu, ażeby pan miał ustąpić jej swej kabiny. Straszycie ją. Panno Hunter, pani nie ma nic przeciwko temu, by dzielić ze mną kabinę, prawda? Jest ona wprawdzie maleńka, ale jakoś się urządzimy.

— Nie mam nic przeciwko temu. — Vivian było słabo. Czula się bardzo zmęczona. Opuściły ją siły. Spodziewała się radosnego powitania z wesołym, ubóstwiającym ją ojcem. A przekonała się, że jest tu zupełnie zbędna. Czy w ogóle miała coś wspólnego z tymi ludźmi, z których żaden nie troszczył się o nią więcej niż o źdźbło słomy?

Julia obserwowała ją. Vivian zmusiła się do uśmiechu, trochę blado.

— Jestem zmęczona — przyznała. — Może mi pani pokaże, gdzie będę spała? Przykro mi, że sprawiam kłopot. To bardzo uprzejmie z pani strony...

Tamta kobieta wstała.

— Chodźmy więc. Jaki bagaż będzie pani potrzebny? Kapeke go przyniesie. Zawołała chłopca, który przybiegł pędem. Kiedy już wbiły mu w głowę, która z walizek stojących na pokładzie jest potrzebna, Julia poradziła:

— Niech pani powie mu dobranoc.

Vivian spojrzała na ojca. Zagłębiony był w jakiejś dyspacie z Masonem i nie słyszał jej nieśmiałego głosu. Perouse odparł „dobranoc pani” i z szacunkiem przygładził sobie włosy. Mac-lise skinął ponuro głową. Regan powiedział: „Niech pani stara się prędko zasnąć. Jak najprędzej” — i patrzył w ślad za nią, gdy szła za Julią.

Julia prowadziła ją w głąb wąskiego korytarza ku rozsuwanym drzwiom. Otworzyła je i Vivian weszła przez wysoki próg do dość obszernej kabiny, wybitej jedwabiem i pełnej kobiecych drobiazgów. Były tam dwie bardzo wąskie koje; na jednej Kapeke umieścił jej walizkę, oczywiście niewłaściwą. Oburzyła się na jego głupotę, na co Julia zaproponowała:

— Co za różnica? Raz może pani spać bez niczego. Już się pani czerwieni? Ale skromnisia! Więc niech pani bierze to! Jest nowa!

Wzięła z fotela jedwabną koszulę i wcisnęła ją do rąk Vivian.

Na haku wbitym w ścianę wisiała lampka. Jej słaby blask padał na gładkie, połyskujące włosy i ciemne oczy tej niepokojącej kobiety. Julia przyglądała się z ciekawością córce Huntera.

— Po co pani przyjechała? — spytała.

— Nie wiem sama — odpowiedziała Vivian zmartwionym głosem. — Po prostu stęskniłam się za nim.

- Więc nie wzywał pani?

— Nie. Ale jego listy... Myślałam, że się ucieszy moim przybyciem.

— Jaka pani zmęczona! — Julia zmieniła ton. -Proszę mi pozwolić pomóc sobie. Niech pani podniesie ramiona tak, dobrze. Więc Charles nie wzywał pani? Po prostu pani przyjechała. Może kłótnia z kochankiem? Niech pani nie będzie nieśmiała. Proszę mi opowiedzieć! Oczywiście ma pani kochanka?

Vivian pomyślała o Rodneyu Beringerze i zastanowiło ją, co też odpowiedziałby Julii Lamotte.

- Nie — powiedziała Julia, obserwując ją. — Mylę się. Pani nigdy nie była zakochana. Pani oczy są za jasne, za zimne. Ale

zakocha się pani. I to wkrótce, sędzę. Pani już właśnie, jak by to powiedzieć, dojrzała do tego.

Podniosła suknię, którą Vivian opuściła na podłogę, i cisnęła ją na jakąś skrzynię.

— Ta koja nie jest taka wygodna, jak ta, którą pani miała na statku pasażerskim. Na pokładzie „Spindrifta” życie jest surowe. Ale pani pewnie zostanie w Degas?

— Nie — Vivian wspięła się na swoją koję i siedziała wyprostowana, z kolanami podciągniętymi pod szkarłatną kołdrę. — Jadę z ojcem.

Julia patrzyła na nią rozbawiona.

— Czy pani wie, dokąd płyniemy?

— Nie mam pojęcia.

— Nie? Niech mi pani powie, czy pani wie, jaki wieziemy ładunek?

— Nie. Co to znaczy? — spytała Vivian. Co kryje się za tym wszystkim?

— Jakim wszystkim?

— Tą tajemniczością... tą... och, sama nie wiem. Ale... ojciec mówił, że zdradził go jakiś Shottery. Co miał na myśli? Kim jest Shottery?

Twarz Julii zmieniła się. Linia jej ust stała się twarda, oczy się zwęziły.

— Mały głuptasie! — powiedziała. — Mówi pani głupstwa. Śpij, dziecko. Jesteś przemęczona. Ci ludzie... i wyziewy wódki...

— Cóż to za jedni? — spytała Vivian. — Ten ponury... Maclise?...

— Niech pani śpi — powtórzyła znowu Julia. Wyraz czujności znikł z jej twarzy. A Vivian mówiła dalej:

— Nie zwiedzie mnie pani. Chcę wiedzieć wszystko. Dokąd płyniemy? I z czego składa się ładunek?

Julia podeszła bliżej i zatrzymała się przy wąskiej koi. Znajdowała się tak blisko, że Vivian widziała dokładnie gładkość jej skóry i delikatne żyłki na przegubie ręki.

— Charles powie pani sam. Wracam do mężczyzn na chwilę. Niech pani śpi. Zawahała się na moment. Potem nachyliła się i pocałowała Vivian.

Po jej odejściu Vivian starała się uporządkować jakoś to wszystko. Kobieta przedstawiała najtrudniejszą część zagadki.

Dlaczego przebywała na statku? Do kogo należała? Kto był panem tego wspaniałego ciała? Sześciu mężczyzn na „Spindrifcie” mogło ubiegać się o ten tytuł. Ale... stary Prouse? Nie. Mason o chytrych oczkach i szarej twarzy? Do Mike'a też nie pasowała. Vivian zagryzła wargi na wspomnienie wyrazu oczu chłopca. Więc ci trzej byli wykluczeni. Kto pozostał? Maclise, ponury, nieokrzesany, dotychczas jeszcze pozostający dla niej zagadką. Czyżby on? Albo może Regan, lubiący przewodzić, niecierpliwy, nie znoszący sprzeciwu, wyraźnie wrogo usposobiony do Julii? Mało prawdopodobne. Został tylko jeden. Vivian leżała, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczami. Myślała: Zmuszę go do tego, żeby mi powiedział. Tak, zmuszę go, żeby mi jutro powiedział.
Tak, jutro...

2

— Nie może wziąć tego dziecka — mówił Regan w chwili, gdy Julia wchodziła. — Biedactwo! Była taka blada, gdy go ujrzała... Hallo, Julia! Czy położyła się spać?
— Gdzie Charles?
— Wyszedł na pokład, żeby trochę otrzeźwieć! Sprowadzę go na dół, powolutku. Powinniśmy stąd wyruszyć!
— Nalejcie mi jedną słabą — Julia siadła na miejscu Huntera. — Kapeke, zabierz to wszystko, ten cały przeklęty kram. Migiem!
Dał się słyszeć brzęk emaliowanych talerzy. Kapeke zebrał razem cztery rogi biało-czerwonego kraciastego obrusa i przewiesił sobie tłumok przez ramię. Po jego odejściu Regan wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, napełniając sobie fajkę. Mason wyszedł na ląd z jakimś zleceniem. Stary Prouse siedział, popijając whisky drobnymi łykami i przeglądając gazetę sprzed miesiąca.
— Maclise — odezwał się Regan, przerywając ową niespokojną wędrówkę.
— Czego?
— Wyłóż swe karty na stół. Chcesz, żebyśmy pozostali tu do dwudziestego siódmego. Dlaczego?
— Takie były plany szefa. Dlaczego, do cholery, mielibyśmy je zmieniać?

— Bo im prędzej znajdziemy się na pełnym morzu, tym lepiej.

— Boisz się Shottery'ego?

— Tak, boję się — wrzasnął Regan. — Boję się go tak samo, jak boję się węża. Kto wie, co on zamierza zrobić? Różne statki wpływały i wypływały z portu w Degas, odkąd przybyliśmy tutaj przed trzema dniami. Kto nam zaręczy, że nie ma go na jednym z nich. Kto może twierdzić na pewno, że Shottery nie czatuje tu na szefa?

— Myślisz, że go zabije?

— Nie myślę; wiem.

— Zdajesz się zapominać, że to mój przyrodni brat — powiedział Maclise sucho.

— Nie zapominam o tym ani na pół minuty. Właśnie dlatego jestem w strachu. Nie zwracaj na niego uwagi wstrzymała Julia Mac-lise^A. — Czy nie widzisz, że szuka tylko pretekstu do burdy? Niech gada, co chce.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią. Stary Perouse podniósł wzrok znad gazety i w zamyśleniu podrapał się po karku.

— Słusznie, panno Julio! Zachowujcie się przyzwoicie, chłopcy! Julia wzięła papierosa z papierośnicy Maclise'a, a on pochylił się naprzód, by jej dać ognia. Oczy ich spotkały się na jedno mgnienie. Ta dziewczyna... — zastanawiał się Regan. Co za diabeł skłonił ją do przybycia do Degas?

— Będzie musiała wrócić do New Yorku — odpowiedziała Julia spokojnie. — Tym mogę się zająć. Zostawcie ją mnie.

— A jeżeli Hunter zechce, żeby została? — wycedził Maclise. — A propos, co ona wie?

— Nic — zapewniła go Julia.

Nad nimi rozległ się odgłos kroków.

— Musicie mnie w tym poprzeć — zwrócił się Regan do Perouse'a i Julii. — Pewnie się już uspokoił. Sprowadzę go. Trzeba mu wytłumaczyć, że musimy uciekać. Shottery! Kto wie, czy nie przyjechał na gapę na „Go down, Moses”? Nie mam zamiaru ryzykować!

Wszedł po schodach, żeby poszukać Huntera. Perouse odłożył gazetę i udał się za nim. Maclise spojrział na Julię:

— Pierwszy raz od dwóch dni jesteśmy sami.

Jego obojętność ulotniła się. Podeszedł do jej krzesła i stanąwszy za nią, zaczął głaskać jej ramiona. Nie poruszyła się ani nie

zmieniła wyrazu twarzy. Maclise pochylił głowę tak, że jasne włosy dotknęły ciemnych.

— Julio — szepnął.

W odpowiedzi zwróciła ku niemu twarz. Wargi ich spotkały się w szybkim, namiętnym pocałunku.

— Wyrzyj! — przerwała Julia, usłyszawszy odgłos kroków. Nasłuchiwał, po czym wypuścił ją z objęć i wolno wrócił na swoje miejsce.

— Diabli go niosą! Nie mógłby zostać na górze trochę dłużej? Ten idiota Regan!

— Regan namawia starego do odjazdu.

— I Regan jest mądry. Wiesz, czasem myślę, że... on podejrzewa.

— Niemożliwe — powiedziała Julia, podnosząc ramiona nad głowę i przeciągając się z leniwym wdziękiem.

Patrzącemu na nią Maclise'owi krew uderzyła do twarzy.

— O, Boże — wyszeptał ochryple — nie rób tego! Kiedy patrzę na ciebie taką... Nie rób tego! Doprowadzasz mnie do...

Spojrzała na niego, a przemyślny uśmieszek ukazał się w kącikach jej ust.

— Dobrze. Cicho!... Nadchodzą.

Dżentelmen Charles z Reganem schodzili po schodach, rozmawiając hałaśliwie. Nocne powietrze otrzeźwiło Huntera. Zakasłał, wchodząc do mesy przesiąkniętej dymem.

— Posłuchajmy, co powie Maclise — mówił. Stał przy stole chwiejąc się trochę, z oczami nabiegłymi krwią, niezupełnie pewny swych ruchów.

— Maclise!

— Tak?

— Co z Vivian? Co proponujesz?

— Myślę, lepiej niech wraca. Nic dobrego jej tutaj nie czeka.

— Regan uważa...

— Regan myśli oczywiście inaczej niż ja. Naturalnie. Spodziewam się tego.

Przypuszczam, że Regan chce, żeby pan ją zabrał i narażał na ryzyko otrzymania kulki w głowę lub zatonięcia, kiedy „Spindrift” spotka się z kanonierką.

— Dlaczego mielibyśmy...

— Nie bądź głupcem, Regan. Wiesz, że jesteśmy naznaczeni. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że nie ośmielimy się zatrzymać, gdy zostaniemy do tego wezwani. A jeżeli nie ośmielimy się stanąć to... no, to wiesz co musi nastąpić.

— Nie mów tak! — rozzłościł się Hunter.

— Posłuchajcie — wtrąciła Julia, sięgając po drugiego papierosa. — Najlepiej dla niej, żeby wróciła, tak, Charles. Wiem, że pragnąłbyś ją zatrzymać. Ale jeżeli zostanie, będziemy z nią mieli kłopot.

— Kłopot?

— Myślisz, że będzie zachwycona, gdy się dowie, czym handluje „Spindrift”?

— Mogę jej wytłumaczyć. Mogę powiedzieć...

— Prawdopodobnie — zgodziła się Julia. Zapaliła zapałkę i przytknęła do papierosa, po czym spojrzała prowokująco na Huntera. — A co jej powiesz o mnie, Charles?

— Do diabła! — mruknął gniewnie. — Powiem jej prawdę, oczywiście. Moje życie należy do mnie. Robię, co mi się podoba. Nie pozwolę, żeby córka się w to wtrącała.

— Będzie zgorziona. — Julia puszczała kółka dymu. — Domyśla się, że jestem czyjąś kochanką, ale jeszcze nie wie, że twoją.

— Nie chcę, żebyś tak mówiła — powiedział Hunter ze złością. — Czy nie masz ani trochę... ani trochę dumy?

— Zdeptałeś ją już dawno.

— Och, zamilcz, Julio — odezwał się Maclise niecierpliwie. — Jeżeli chcecie się kłócić, poczekajcie trochę. Szefie, musi pan załatwić sprawę Vivian. Czy mam ją zaprowadzić jutro na pokład starego „Mosesa” i wysłać na Amanu? Nie może przecież zostać w Degas. Ani jechać z nami.

— Może masz słuszość. Ale chciałbym, żeby została. Nie, lepiej nie.

Regan nic nie mówił. Ze złością uderzał nogą w jakąś skrzynię i podniósł z podłogi koniec liny. Jego duże, niespokojne ręce chwytaly go co chwila, podczas gdy inni mówili.

— Dobrze więc, odpłyniemy stąd dwudziestego siódmego — zdecydował Hunter, a Regan powstrzymał okrzyk. — Vivian musi wrócić na Amanu.

Niech nikt nie mówi jej ani słowa, polegam w tej sprawie na was.

Zgodzili się i rozmowa zeszła na inny temat. Wkrótce Julia ziewnęła i podniosła się. Rzuciła niedbale „dobranoc” i zbliżyła się do drzwi.

— Julio — zawołał Dzentelmen Charles. Zatrzymała się.

— Chodź tu!

Posłusznie — co wcale do niej nie pasowało — zbliżyła się do Huntera. Chociaż już nie dbała o niego, chociaż zabił jej miłość złym traktowaniem, zmiennością i wybuchami dzikiego okrucieństwa, jednakże wieloletnie przyzwyczajenie działało.

— Dobranoc, Julio - Dżentelmen Charles ujął jej rękę i ucałował.

— Dobranoc — odpowiedziała szeptem. Widziała, jak Maclise zaciskał w palcach szklanę, aż chrząstki pobieły.

Gdy odchodziła, inni też mruknęli „dobranoc” i rozeszli się. Regan zdjął buty i siedząc na koi rozmyślał o Hunterze. Mike zatrzasnął drzwi kabiny, którą dzielił z Perouse'em i ukrył twarz w pościeli. Ale Dżentelmen Charles siedział dalej w swym fotelu, paląc papierosa za papierosem i starając się rozwiązać dręczące go problemy.

Przesiedział tak całą noc. Przed nim na stole leżała mapa, nad którą się biedził. Wreszcie wstał, schował mapę do szafy i kopnięciem zamknął drzwi.

Lampa się dopalała. W szparze schodów widać było szarość przedświt.

Hunter przetarł zadymione oczy i wyszedł na pokład.

Owionęła go chłodna świeżość jeszcze nie zbudzonego ranka. Podeszedł do burty i stał tam chwilę, oddychając głęboko. Degas miało ten płomienny wygląd, jaki zdarza się tylko na kilka minut przed wschodem słońca. Palmy stały bez ruchu, powoli nabierając kształtu i koloru. Gałęzi drzew nie poruszał najłżejszy powiew. Z chat Kanaków nie unosił się żaden dym. Zatoka leżała wyblakła i cicha. Słabe, nieartykułowane dźwięki małych papużek przerywały ciszę. Zdawało się, że to jedyne żywe istoty.

Ale tak nie było. Wśród stosu beczek nagromadzonych na nabrzeżu coś się poruszyło. Hunter odwrócił się, ale nic nie dostrzegł. Nie widział, że jakiś człowiek podniósł się ostrożnie i przeciągnął, aby wyprostować członki zdrętwiałe w niewygodnej pozycji, w jakiej leżał od trzech godzin, to jest od chwili, kiedy wypłynął z „Go down, Moses”. Wydał cichy okrzyk, lecz zaraz powstrzymał oddech, w obawie, że zostanie odkryty.

Jednak Hunter nie odwrócił się. Myślał o Shotterym, któremu ufał, a który go zdradził. Ten chłopiec był pociągający, ze swym suchym sposobem mówienia, swą młodzieńczą odwagą i pogardą dla niebezpieczeństw. Hunter zaczął wspominać różne

cechy Shottery'ego — na przykład sposób, w jaki zamykał lewe oko, kiedy celował.

Słońce już prawie wzeszło. Wysoka postać Dżentelmena Char-lesa rysowała się wyraźnie na jaśniejącym niebie. Z pozycji zajmowanej wśród stosu beczek ukryty mężczyzna wycelował, zamykając lewe oko. I strzelił.

V

1

Vivian zbudził odgłos strzału. Zaskoczona usiadła na koi i zaczęła się rozglądać. Słysząc było jakieś zamieszanie, nawoływania mężczyzn, szybkie kroki, wrzaski przerażonych Kanaków. Odrzuciła kołdrę i zaczęła pośpiesznie naciągać suknię. Co się stało? Przeczucie nieszczęścia tknęło ją, gdy szukała po omacku obuwia. Julia, mająca mocny sen, nie poruszyła się nawet.

Vivian zawahała się. Potem dotknęła jej lekko.

— Julio!

Nie poruszyła się. Vivian zaczęła nią potrząsać, aż wreszcie Julia otworzyła zaspane oczy.

— Co jest? Zostaw mnie!

— C... coś się stało. Proszę posłuchać!

— Bzdury! — powiedziała Julia i położyła się z powrotem.

— Coś mnie zbudziło — nalegała Vivian. — Strzelają. I wrzaski chłopców!... Julia zmarszczyła brwi, ziewnęła i nagle rozbudziła się na dźwięk jakiegoś odgłosu.

— Mój Boże! — zawołała. — Ktoś umarł.

Już była na nogach, chwytając jedwabny szlafrok. Wsunęła pośpiesznie nogi w pantofle i otworzyła szeroko drzwi. Z pokładu dochodził żalosny śpiew, rytmiczne zawołanie Kanaków.

Julia zbladła. Znała zbyt dobrze ten żałobny śpiew za umarłych. Kto to był? Otulając się cienkim szlafrokiem, pobiegła wąskim korytarzem. Vivian biegła za nią. Pędziły w górę po schodach, jak dwa przestraszone zające; przy kłapie spotkał je Mike i rozpostarł szeroko ramiona, zagrządzając przejście.

— Nie chodźcie tam. Nie zaglądalejcie. Panno Vivian, nie powinna pani tam chodzić.

— Wynoś się — krzyknęła Julia i odepchnęła go. Nawet teraz, w chwili tak tragicznej, lekkomyślne dotknięcie jej niecierpliwiej dłoni wzburzyło mu krew w żyłach. Przepuścił ją, jednakże Vivian ujął mocno, choć z szacunkiem, za rękę.

— Niech pani tu zostanie — błagał. — Panno Vivian, to ojciec pani. Zraniono go. Już teraz jest dobrze...

Dziewczyna wrywała się, aż poczuła ból, jednakże Mike nie puścił jej. Na próżno wyciągała szyję i stawiała na palcach, żeby zobaczyć, co się działo w środku zbitej gromadki ludzi przy burcie statku. Był tam Maclise pochylony nad czymś. Był Mason i stary Perouse i Regan, a za nimi kilku krajowców. Nagle gromada rozstała się i Regan pośpieszył w stronę trapu; za nim szedł Perouse. Gdy znaleźli się na nabrzeżu, jakiś na wpół ubrany mężczyzna zaczął biec im naprzeciw. Za nim biegli inni i wkrótce nabrzeże zaroilo się ludźmi. Vivian, walcząc ciągle jeszcze z Mike'em, słyszała głos Regana, wybijający się z ogólnej wrzawy.

— Kto coś wie? Wyplujcie to, jeżeli wiecie cokolwiek. Wrzawa wzrosła do ryku zaprzeczeń, potem nastąpiło jakieś poruszenie i chudy, nie ogolony osobnik został wypchnięty naprzód. Był to Bunty Myers, nic nie znaczący człeczyzna, żyjący z żebraniny. Przeszypując nerwowo z nogi na nogę, zacierał brudne ręce, podczas gdy Regan pytał:

— Co ci wiadomo, Bunty?

— Ktoś uciekał tędy — Bunty wskazał między palmy rosnące na północ od wioski. — Obudziłem się wcześniej i usłyszałem strzał. Wyjrzałem i zobaczyłem człowieka biegnącego tamtędy.

— Kto to był? Znasz go?

— Nie. Miał białą koszulę. Biegł bardzo szybko.

Regan odszedł, zmierzając wielkimi krokami do grupy palm. Ludzie ruszyli za nim, rozsypując się w miarę biegu. Słońce wzeszło i przyświecało temu polowaniu. Twarze biegnących stały się rozpalone, po czołach i karkach spływał pot. Kiedy dotarli do palm, zwolnili kroku, zachowując teraz większą ostrożność, na myśl o niebezpieczeństwie czającym się w prawej ręce człowieka, nie mającego nic do stracenia.

Obserwujący tę pogoń ze statku widzieli, jak ostatni z biegnących zniknął wśród drzew. Kanakowie ruszyli za nimi, ta pogoń rozgrzała ich serca, było to bowiem coś na kształt ich

dawnych walk. Tylko Kapeke pozostał, trzymając w objęciach martwe ciało swego pana.

— Och, Hunita! — jęczał. — Och, Hunita, zupełnie martwy! Zupełnie martwy!

— Milcz! — wrzasnął wreszcie Maclise. Ukląkł przy Hunterze i podniósł obwisłą rękę. W głębi serca czuł, kto to zrobił, i zamierał ze strachu, że dowie się najgorszego. Spojrzał na Julię, stojącą u jego boku, milczącą i bladą. Ale nie dostrzegła go. W godzinie śmierci Hunter stał się dla niej znów jedynym mężczyzną na świecie. Widziała go tu leżącego, ale to nie był ten człowiek, któremu przed paru godzinami powiedziała „dobranoc”. Nie był to ten człowiek, którego miłość już jej się uprzykrzyła. Widziała teraz Huntera sprzed pięciu lat; przystojnego, pewnego siebie mężczyznę, który ją uwiódł i robił z nią, co chciał — kochanka, który dał jej najpiękniejsze godziny, jakie mogła kiedykolwiek przeżyć; człowieka, który lekceważył Boga i ludzi i zawsze postępował tylko zgodnie ze swą wolą, słowem — Dżentelmena Charlesa.

Słońce stało już dość wysoko. Jego promienie padały na twarz zmarłego; Julia osunęła się na pokład i położyła sobie na kolanach ciężką głowę Huntera. Kapeke odszedł, szlochając. Drzenie przebiegło po twarzy Julii, ale nie płakała. Nagle powiedziała:

— Mike, tak jest w porządku. Pozwól jej podejść. Mike momentalnie puścił rękę Vivian. Błada, podeszła do

zwłok ojca i stała tam jak ogłuszona, a Maclise odezwał się:

— Musiał umrzeć od razu. Kiedy znalazłem się przy nim, już nie żył.

Wstał, a Vivian usiadła na pokładzie obok Huntera. Nic nie było do powiedzenia. Jakie słowa mogły wyrazić to, co chciała powiedzieć? Wszystko się stało tak szybko. Dla jej niedoświadczonego umysłu w nagłej śmierci było coś przerażającego. Julii, która już zdobyła mądrość życiową, taki koniec wydawał się najlepszym rodzajem śmierci. Spojrzała na Vivian suchymi oczami.

— Nie martw się. Nie martw się o niego. Śmierć w łóżku byłaby dla niego okropna. Tobie wydaje się to straszne. Wiem, ale gdybyś mieszkała tu tak długo jak ja — rozumiałabyś, że jest to dobry sposób odejścia. Odbyło się to tak szybko. Nie miał czasu pomyśleć.

Maclise z zazdrością patrzył, jak pochylała się nad tym drugim mężczyzną, który ją kochał. Myśli jego pobiegły za ludźmi,

którzy przeczesywali las, żeby pochwycić mordercę. Co zrobią z nim, jeżeli go złapią? Tak, w Degas nie kierowano się prawem... Chyba — prawem linczu.

Przełknął ślinę i zaczął chodzić po pokładzie. Mike podszedł do Julii i powiedział coś po cichu. Skinęła głową i wstała. Mike zawołał Kapeke i obaj mężczyźni dźwignęli Huntera i ponieśli go z niezręczną delikatnością w dół po schodach. Maclise poszedł za nimi i rzucił Julii spojrzenie, które miało oznaczać:

— Nie chodź!

Julia wzięła za ramię Vivian, kiedy dziewczyna wstała, żeby pójść z nimi.

— Jeszcze nie. Poczekaj chwilę.

Vivian jak we śnie podeszła do burty i stała, patrząc na cichą wodę. Więc to właśnie czekało na nią za linią widnokregu. Gdy spoglądała wstecz na ubiegłe dni, zdawało jej się, że New York i statek pasażerski są częścią życia, które opuściła przed wiekami. Życia? Czy można było nazwać życiem tę nudną, bezbarwną egzystencję w zadymionych pracowniach New Yorku? Jak ci pozbawieni wszelkich męskich cech dekadenci zachowaliby się wobec podobnej tragedii? Czy ich krzykliwy cynizm zdołałby dodać im sił? Czy może zostaliby wytrąceni ze swej obojętnej postawy i upodobniliby się do ludzkich istot?

Zaczęła się zastanawiać nad tym, co odczuwa Julia. Kim ta kobieta była dla zmarłego? Vivian odwróciła się z wolna i ujrzała nieruchomą postać Julii, odcinającą się od bładniebieskiego porannego nieba. Z rozwianymi włosami, bladą twarzą i niedbałą pozą mogłaby uosabiać symbol bóleści. Vivian wyszeptała: — Ona go kochała.

Głośno spytała:

— Czy mógł wiedzieć, kto go zabił? Julia odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

— Każdy wie, kto to mógł być. Był to oczywiście Shottery. Bydlak!

Podstępny łotr!

Rumieńce zaczęły powracać na jej znękaną twarz.

— Gdy Shottery po raz pierwszy znalazł się na statku, Charles zaraz dostał bzika na punkcie tego chłopca. Był jak Maclise — jasny i niebieskooki. Miał pociągający sposób bycia. Lubiliśmy go wszyscy. Ale był podstępnym gadem. Zdradził Charlesa na Amanu. Przypuszczam, że był zazdrosny. Albo był to jakiś wariacki wybryk. Czasami postępował po wariacku. Gdy Charles

podszedł do niego w szynku Jake'a, Shottery strzelił do niego. Dlatego wpakowali go do więzienia. Zawahała się.

— Shottery pragnął mnie. Tak się zaczęła jego nienawiść do Charlesa.

— Rozumiem.

— Nie rozumie pani — powiedziała Julia wżgardliwie. — Nie ma pani najmniejszego pojęcia, jacy są mężczyźni naprawdę. W New Yorku są to dżentelmeni wystrojeni w dobrze skrojone ubrania i zaopatrzeni w kilka standardowych zachowań, którymi operują we właściwym czasie. Tutaj — są to po prostu zwierzęta, przynajmniej większość. Mówią o powrocie do natury! Właśnie to zrobili. Po co żyją? Aby walczyć o to, czego pragną, pić to, co lubią, spać z kobietą, na którą mają ochotę.

Przestała niespokojnie chodzić i stanęła tuż przy Vivian.

— Lepiej niech pani wraca do domu. To właśnie miał pani powiedzieć Charles. Postanowiliśmy tak wczoraj wieczorem. To nie jest miejsce dla pani.

— Tak postanowiliście? — spytała Vivian.

— Tak. Może pani popłynąć na Amanu ze starym Porteoussem na „Go down, Moses”.

— Nie.

— Głupota! Musi pani.

Nikt nie może mi tego nakazać teraz. Jedyńm człowiekiem, który miał do tego prawo, był mój ojciec. Nie życzę sobie, aby pani przemawiała do mnie w ten sposób.

Julia wlepiła w nią wzrok. Twarz Vivian żywo przypominała twarz Huntera. Julia cofnęła się, uderzona tym podobieństwem.

— Pani wygląda teraz tak jak on — zaszlochała. — Och, wygląda pani jak on!

— Czy wyglądam tak czy nie, zostanę na jego statku — odrzekła Vivian szorstko. — Jestem jego córką. Jego własność należy do mnie. A pani nie ma tu nic do gadania! Czym pani była dla niego? Żoną?

Oczy Julii rozbłysły gniewnie.

— Nie! Czy mogłabym go utrzymać przez pięć lat przy sobie, gdybym była jego żoną? Nie był mnie nigdy pewien. Zawsze się bał, że odejdę i wyjdę za mąż za innego. Ty mały głuptasie, myślisz, że utrzymałabym go, gdybym była jego żoną?

— Więc pani go kochała?

Czy go kochałam! Jeszcze przed rokiem umarłabym za niego. Ale mężczyźni zmieniają się. Zawsze mnie uwielbiał, ale był kapryśny, niespokojny, trudny. Myślałam nieraz, że lepiej jest odejść. Ale kobiety nieprędko się decydują. Zawsze wygrywał. Gdyby nie umarł, nie wiem czy... bym nie odeszła... Wzruszyła ramionami. Potem spojrzenie jej stało się twarde, gdy padło na Vivian.

— Ale pani musi odejść...

Vivian zebrała całą siłę woli, żeby się opanować.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli odejdę! — powiedziała z mocą.

2

Okolo godziny szóstej, kiedy upalny dzień zamierał, aby przejść w upalną noc, ochotnicza pogoń powróciła z lasu. Z siedemnastu, którzy wyruszyli, piętnastu szło o własnych siłach. Dwóch trzeba było nieść. Zanim słońce zaszło następnego dnia, trzeba było ich nieść raz jeszcze, ale już raz ostatni. Pośród spoconego, tryumfującego tłumu szedł więzień, z rękami związanymi do tyłu. Na policzku miał krew. Był boso i kulał, ale ilekroć potykał się, Regan szturchnięciem stawiał go na nogi. Było to ciężkie polowanie. Z rozpaczą tropionego zwierza Shottery kluczył przez cały ten dzień, ziejący żarem. A w końcu uniknął śmierci, poddając się. Kiedy go okrążyli, podchodząc coraz bliżej do zarośli, gdzie przycupnął, wstał i zaczął powiewać białą płachtą, którą oderwał od koszuli.

Procesja zbliżała się do nabrzeża i dziewczęta Kanaków wyszły z chat, żeby — choć z lękiem — popatrzeć na nią. Pięć białych kobiet, mieszkających w Degas, przyszło także. Wszyscy byli spokojni. Nie było pełnych podniecenia rozmów ani ostrych komentarzy. Mężczyźni milczeli, przejęci rolą, jaką każdy z nich odegrał w losie tego żółtowołosego awanturnika, którego godziny były policzone.

Na pokładzie „Spindrifta” Julia i Vivian czuwały. Maclise był tam również; stał odwrócony od nich, a serce jego zamierało na widok Shottery'ego, związanego i, jak to sobie uświadamiał, skazanego na śmierć. Vivian z zaciekawieniem przyglądała się zabójcy swego ojca. Wydawał się bardzo młody.

Ogarnęła ją fala litości. Wyglądał na dziecko. Ale gdy podszedł bliżej i zobaczyła jego oczy i zacięte usta, zrozumiała, że młodość nie zawsze usprawiedliwia. Miała przed sobą twarz człowieka obeznanego ze złem. Była na niej wypisana ambicja i bezwzględność, która ją przerażała. Oto był człowiek, którego opanowała jedna myśl i który wszystko postawił na jedną kartę dla zrealizowania tej myśli. Tak, ale tym razem przegrał.

Spojrzał na nią, oczekując swej kolejki przy wejściu na trap. Ale prawie natychmiast wzrok jego pobiegł dalej. Widziała, jak zmienił się na twarzy i odwrócił oczy. Ach, Julia była tą, której szukał. Widzieć, że Julia będzie świadkiem jego hańby, jego... jego śmierci, to była świadomość najbardziej gorzka. Nie spojrzał na nią więcej, tylko stał cicho na pokładzie, podczas gdy Regan czekał, aż wszyscy wejdą na statek.

Wreszcie tupot nóg po pokładzie ustał. Gdy ludzie stali zgromadzeni, nie wiedząc, co ze sobą począć, Regan powiedział:

— Chodźcie na dół. On leży tam.

Odwrócił się, by wskazać im drogę i mężczyźni poszli za nim. Maclise zamykał ten pochód. W tłumie słychać było szepty pełne zakłopotania. Młodość Shottery'ego, jego milczenie, duma, z jaką trzymał głowę — wszystko to wpłynęło na nich. Popychali się wzajemnie, starając się jakoś ukryć, żeby wykręcić się od odpowiedzi na pytanie, które na pewno będzie zadane. Rzucano przelotne spojrzenia na bladą twarz Maclise'a. Jak on postąpi? Jakie zajmie stanowisko? Czy będzie przemawiał przeciw mordercy, czy też...

— Siadajcie! — powiedział Regan nagle. — Shottery, stań przy stole. Rozejrzył się wokoło, po czym przeszedł przez pokój, podchodząc do Maclise'a.

— Teraz oddaj mi broń. — Regan miał ją w ręce, zanim tamten mógł zaprotestować. Jego bystre oko dojrzało falowanie sukni w dole schodów.

— Proszę wejść tutaj — rozkazał i mężczyźni rozstąpili się, żeby dać przejście dwóm kobietom.

Kiedy zapanowała cisza, Regan wystąpił naprzód. Był w nim jakiś rys siły i coś władczego, co zadziwiało Vivian. Patrząc na Regana, stojącego naprzeciw Shottery'ego, po raz pierwszy

uświadomiła sobie tę siłę. Oto człowiek, który zdobędzie to, czego pragnie — stwierdziła i obserwując go poczuła, że przenika ją uczucie buntu.

— Co masz do powiedzenia? — spytał głębokim głosem. Shottery niecierpliwie potrząsnął głową.

— Och, cóż, do diabła, będziecie się nad tym rozwodzić. Odwalcie to prędzej! Regan rozejrzał się wokoło po grupie mężczyzn.

— Więc? Czy widział go ktoś jeszcze poza Buntym My-ersem?

Dały się słyszeć popychania i przeczące szepty.

— Gdzie byłeś dzisiaj rano? — spytał Regan więźnia.

— Dowiedz się.

— W jaki sposób tu się dostałeś?

— Przypląnąłem wpław z Amanu.

— Nic nie wygrasz, mówiąc w ten sposób.

— Jestem pewien, że przyjechał na gapę — dał się słyszeć głos Billa Porteousa. — Na pewno przyjechał na gapę na moim statku. Skąd wiem? Bo ma portki posmarowane żółtą farbą. Miałem w schowku blaszankę z żółtą farbą, blaszanka przeciekała. Czy to nie dosyć?

— Zdaje się... Pewnie... Słusznie... — dochodziły potwierdzające głosy.

Słońce zaszło. Zmrok wypełnił mesę i Mike zapalił wiszącą lampę. Kopciła trochę, oświetlając swym żółtawym światłem twarze pełne napięcia.

Kiedy światło rozproszyło cienie, nastrój tłumu uległ zmianie. Widok Shottery'ego, stojącego samotnie przeciw ich masie, zmienił uczucia na jego korzyść. Zaczęli rozprawiać w małych grupkach, dyskutowali,

przeciwstawiali się sobie. Było jasne, że istniało pewne ugrupowanie, które było za wydaniem wyroku stwierdzającego, że wina nie została dowiedziona. Kilka osób mówiło o procesie sądowym przed sir Henrym Patter-sonem.

Wokół Maclise'a stała też mała grupka, rozmawiająca ochrypłym szeptem.

Obie kobiety milczały. W tej sprawie nie było dla nich miejsca.

Regan odczuł tę zmianę. Wiedział, że gdy schodzili po schodach, byli zupełnie przekonani, że wyrok może być tylko jeden. Co ich odmieniło? Cóż tak dziwnie na nich podziałało? Widział jasno, że jeżeli nie zrobi teraz czegoś, co będzie miało mocną wymowę, Shottery najprawdopodobniej zostanie ode-

słany do sądu na Amanu. A wtedy może się wykręcić od stryczka. Regan myślał bardzo szybko. Szepnął coś Andy'emu z „Hot-spura”. Tamten skinął głową i obejrzał się za Mike'em. Dyskretnie podszedł do chłopaka.

— Gdzie on jest?

— Leży na swojej koi.

— Razem przyniesiemy go tutaj — mówił dalej Andy. — To jest pewny sposób.

Wymknęli się. Maclise obserwował ich. Teraz krew uciekła mu z twarzy.

— Shottery — odezwał się Regan. — Jest zupełnie pewne, że to twoja robota! Wszyscy wiedzą, że miałeś z Hunterem na pieńku. Przyjechałeś na gapę, byle się tu dostać. Widziano cię uciekającego, po tym, gdy rozległ się strzał.

Bunty Myers mówi, że nie mógłby na to przysiąc — zaoponował Shottery.

— Więc jeżeli to nie ty pędziłeś drogą, to w jaki sposób znalazłeś się w lesie przed nami?!

Wziął broń Shottery'ego, którą stary Perouse położył na stole — i otworzył.

Nabój był wystrzelony...

— Byłoby łatwiej sprawdzić, gdybym miał kulę, która zabiła Huntera — głos mu się zmienił. — Ale bardzo prawdopodobne, że ta kula wpadła do wody.

Spojrzał na Maclise'a.

— Wobec tego...

Nastąpiło poruszenie. Mike i Andy zbliżali się. Szli powoli, niosąc złożoną kołdrę, w której było coś dużego, sztywnego i ciężkiego. Vivian czuła, że robi się jej słabo. Bezwiednie chwyciła się ramienia Julii. Dwaj mężczyźni nie wyrzekli ani słowa. Kiedy doszli do Shottery'ego, zatrzymali się i złożyli swój ciężar u jego stóp. Mały Andy ściągnął prześcieradło z twarzy zabitego.

Wszyscy zaczęli się pchać naprzód, poszturchując się wzajemnie; każdy chciał choć rzucić okiem. Podniósł się gwar głosów. Regan obserwował tłum.

Tak, dobrze postąpił. Ale ledwie zdążył w porę.

Nagle zgromadzenie się uciszyło. Nasycili się widokiem Huntera. Teraz podnieśli oczy na człowieka, u którego stóp leżał. Shottery chwiał się. Na jego blade czoło wystąpiły krople potu. Bezustannie zwilżał językiem suche wargi. Zaczął drzeć. Robił rozpaczliwe wysiłki, ażeby się opanować. Mógłby to przytrzy-

mać, gdyby nie straszliwe milczenie. Obserwowali go, tak, obserwowali swymi chciwymi, niecierpliwymi oczami; czekali, aż da za wygraną, przyzna się do swego czynu. Ale nie, nie zrobi tego. Nigdy, nigdy...

— Zastrzeleń go — stwierdził Regan. — Czatowałeś na niego i strzeleń mu w plecy.

Shottery nareszcie odzyskał mowę.

— To kłamstwo — starał się nadać swemu głosowi naturalny i spokojny ton.

— Przekleń kłamstwo. Wy wszyscy... wszyscy staracie się złapać mnie w potrzask.

Maclise przebił się przez tłum i Shottery poczuł gorący chwyt ręki brata na swym ramieniu.

— Przekleń kłamstwo! — krzyknął Maclise. — Cała wasza banda... nie może nic dowieść.

— Gdzie jest kula, Maclise? — spytał stary Perouse, wysuwając naprzód swą szarą twarz; głęboko osadzone oczy patrzyły twardo i tryumfująco.

Na te słowa tłum zakółsał się ku przodowi. Pytanie Perou-se^A przerwało milczenie, które poprzednio zapanowało. Zakotłowało się od okrzyków:

— Tak, gdzie jest kula?

— Maclise jest jego bratem!

— O Boże! Nic dziwnego, że cisnął ją do morza.

— Gdzie ona jest? Wydostań ją! Hej, Maclise, gdzie jest ta kula?

— Hunter nie był moim przyjacielem, ale, na miłość Boga, nie mogę patrzeć, jak tutaj leży!

— Ale dla mnie był przyjacielem, biedne chłopisko. A teraz nie żyje!

— ... nie żyje! Hej, spojrzycie na Shottery'ego.

— Czy nie jest blady?

- Ma powód. Założę się, że to jego sprawka.

— Zawsze był zazdrosny. Chciał wszystkimi komenderować. Pragnął •— rzekł ktoś zniżonym głosem — pragnął Julii La-motte, tak mówią...

— Powinien wisieć za to! — dał się słyszeć wściekły głos małego Andy'ego. - Kto powiedział „Amanu”? Niech diabli wezmą Amanu. Każdy idiota potrafi oszukać sir Henry'ego. Hunter był moim przyjacielem. Tak, wszyscy wiemy, kim był. Ale to nie zmienia postaci rzeczy. Czy można strzelić człowiekowi w plecy i nikt nie podniesie ręki, ażeby zapłacić temu,

kto to zrobił? — Jego pałające oczy odnalazły Regana. — Nie chcemy żadnych korowodów z sądami na Amanu. Jak myślicie, na co mamy własne ręce?

Gdzieś od tyłu rzucono zwinięty krąg liny, który upadł między Shotterym a ciałem Huntera. Zerwała się burza głosów. Maclise zacisnął pięści i zaczął walić na oślep. Ludzie parli naprzód w złowrogim nastroju. Ponad ogólny hałas wybił się głos Regana.

— Zabierzcie Maclise'a! Trzymajcie go! Zaprowadźcie go do jego koi i niech tam zostanie.

Kilka brązowych ramion schwyciło Maclise'a. Został wyciągnięty z tłumu; walczył i do ostatniej chwili zwracał zrozpaczoną twarz w stronę Shottery'ego. Mike i Perouse wynieśli ciało Huntera.

Shottery stał spokojnie. Spokój, o który tak walczył, sam nagle spłynął na niego. Więc to był koniec? Dla tej szalonej zemsty zaryzykował wszystko, i przegrał. Nie będzie już dobrej zabawy w barach portowych ani porachunków na morzu, ani przygód burzących krew w żyłach. Nie ujrzy już więcej słońca ani nie poczuje deszczu.

Podniósł głowę i rozejrzał się wokoło. Poprzez opuszczone głowy i gniewne twarze mógł widzieć Julię, a u jej boku tę dziewczynę, której ojca zabił. Znajdowały się przy drzwiach i musiałyby przejść obok nich. Tak, będzie musiał przejść obok Julii...

— Gotów?

To Regan mówił. Trzymał w ręku linę.

Ludzie z wolna odwrócili się i czekali, aż Shottery wyjdzie pierwszy. Przez chwilę stał spokojnie, gromadząc odwagę na tę ostatnią przygodę. Następnie ruszył w stronę schodów, mając Regana tuż za sobą. Kiedy znalazł się przy Julii, stanął.

— Żegnaj! — rzekł.

Nie odrzekła ani jednego słowa. Ale spojrzała na wynędzniałą twarz, związane ręce i na wargi czyniące takie wysiłki, aby zachować spokój. Wtedy pochyliła się i pocałowała go w same usta.

Regan dotknął jego ramienia. Shottery zaczął wchodzić, potykając się, po schodkach prowadzących na pokład. Gromada szła za nim, z początku wolno, z pewnym ociąganiem, następnie coraz prędzej, aż zaczęła się tłoczyć na wąskich schodach, popychając się ordynarnie — śpiesząca, bezwzględna, zziajana — wypełniając noc tupotem i szurganiem nóg.

VI

1

Po śmierci Huntera Regan, jako pierwszy oficer, objął dowództwo statku. Rankiem dwudziestego siódmego przywołał na pokład Perouse'a.

— Czas podnieść kotwicę.

— Tak. Więc macie zamiar przeprowadzić to do końca.

— Naturalnie. Hunter zawsze dotrzymywał słowa. Obiecał dostarczyć towar Piętowi Maartensowi w przyszłym miesiącu.

— Hm! A co na to nowy właściciel?

— Vivian? Co to ma z nią wspólnego? Perouse wzruszył ramionami.

— Ostatecznie jest to teraz jej statek, że tak powiem. Sądzę, że powinna mieć coś do powiedzenia w tej sprawie.

— Wszystko jedno co powie. Co ona o tym może wiedzieć? To trzeba doprowadzić do końca. Może po raz ostatni, ale trzeba to zrobić.

— Musicie jej powiedzieć — upierał się Perouse. — Tego wymaga uczciwość!

Regan zaczął się zastanawiać. Może stary miał słuszość. Ale kobiety mają dziwne natury. Vivian może się uprzeć, gdy przekona się, jakie to interesy ma „Spindrift” w Rapuhi. Z kobietą nic nie można przewidzieć.

— Czy wiecie... — zaczął Perouse i przerwał.

— No?

— Zdaje mi się, że będziemy mieli kłopoty z Maclise'em. Jest bardzo rozgoryczony.

— Czym?

— Shotterym.

— Czego innego mógł się spodziewać? Shottery dostał to, na co zasłużył.

— Maclise nigdy wam tego nie daruje. Gdyby nie wy, myślę, że Shottery... no, rzeczy mogłyby przyjąć inny obrót. Śledztwo i proces, na przykład. I powiem wam jeszcze jedno: Maclise jest piekielnie zazdrosny. Jesteście teraz kapitanem. To też mu się nie spodoba. On zawsze...

— Och, przestańcie! — przerwał mu Regan. — Słuchajcie, pójdę po Vivian i pokażę jej, co wieziemy. Może mówić, co jej się podoba. A gdy się wygada, podniesiemy kotwicę.

Perouse nic nie odpowiedział. Będą mieli niedługo kłopoty z Maclise'em, wiedział to. Ale wystarczy czasu na myślenie, gdy skończą z tym, co mają teraz do załatwienia.

Vivian ukazała się na pokładzie w niebieskiej płóciennej sukience, która cieszyła wzrok swą prostotą. Mężczyźni patrzyli na nią z niejasnym uczuciem przyjemności. Ta blada, opanowana dziewczyna, o kasztanowych włosach, zakłócała im spokój. Jej chłód, jej obojętność wydawały im się dziwne; byli przyzwyczajeni do uczuciowej Julii, która nie mogła nigdy zostawić mężczyzny w spokoju, bez względu na to, czy go kochała czy nienawidziła. — Hallo! — odezwała się Vivian chłodno.

— Hallo! — odpowiedział Regan. — Właśnie szukaliśmy pani.

Zaczekał, aż przeszła pokład, zbliżając się do nich wdzięcznym, kołyszącym krokiem, przypominającym chód Dzentelmena Charlesa. Regan od razu przystąpił do rzeczy.

— Teraz, kiedy pani jest tu właścicielką, lepiej będzie dla nas wszystkich, żeby pani знаła fakty. Czy pani ojciec powiedział kiedyś, że był przemytnikiem?

Vivian patrzyła nań zdziwiona.

— Co to znaczy?

— Czy mówił pani, że całymi latami przewoził zakazane ładunki?

— Nigdy — odrzekła cichym głosem.

— Ale robił to — mówił dalej Regan brutalnie. — I nigdy nikt go nie przyłapał. Gdyby Shottery nas nie wydał, nikt by się o tym nie dowiedział. Ale teraz mają na nas oko.

Wzruszył ramionami.

— Co pan chce powiedzieć? — spytała Vivian zniecierpliwiona. — Na miłość boską, niech pan już tak nie kręci. Jaki to ładunek?

— Niech pani pójdzie i zobaczy.

W milczeniu poprowadził ją ku lukowi. Na brzegu umocowana była lina.

Regan pochwycił ją i spuścił się na niej ostrożnie. Vivian z uczuciem strachu patrzyła, jak zniknął. Co za tajemnica leżała w tej piwnicznej dziurze?

— Niech pani zejdzie — odezwał się Regan z dołu. Spojrzawszy, dostrzegła słaby kontur jego zwróconej w górę twarzy. — Niech się pani spuści po linie. Ja panią pochwycę.

Zrobiła tak, jak jej powiedział i stopniowo wchłaniała ją ładownia. Doznała okropnego uczucia, jak gdyby tonęła w tej

ogromnej, nieznannej przestrzeni. Lina kołysała się, ujęta jej niezręcznymi dłońmi. Obejmujące linę nogi nagle znalazły się w próżni i Vivian zaczęła szybko chwytać powietrze ze strachu.

— W porządku! — Regan objął jej kolana, po czym zaczął ją delikatnie opuszczać, aż stanęła obok niego w chłodnym półmroku. Wyjął z kieszeni elektryczną latarkę i zaświecił. Wokół nich stały duże skrzynie z różnymi nazwami, wypisanymi czarnymi literami. Były tam wszystkie rodzaje towarów: rękawiczki, grzebienie, lustra, tanie perfumy. Na niektórych skrzyniach widniał napis: „Książki”. Na kilku — „Porcelana. Ostrożnie!” Była też skrzynia z płytami gramofonowymi i paka z maszynami do szycia. To co Vivian najbardziej uderzyło, to nadzwyczajne środki ostrożności przewidziane na wypadek wejścia statku w burzę. Wszędzie znajdowały się liny i pasy zabezpieczające ładunek przed przesunięciem.

— Niech pani podejdzie tutaj — Regan ujął ją za rękę i doprowadził do drewnianej skrzyni z napisem: „Naczynia emaliowane”. Widziała, jak obmacywał skrzynię tak długo, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Nacisnął drewno. Ukazała się szpara i Regan podniósł część jednej deski.

— Niech pani włoży tam rękę.

Zapuściła palce w otwór i natknęła się na kłującą słomę, potem na śliską powierzchnię emaliowanego talerza i uszko filiżanki; dalej znowu słoma i — zimna, gładka lufa karabinu.

— Czuje pani? — usłyszała za sobą głos Regana. Nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

— Teraz pani wie — mówił dalej. — „Spindrift” przewozi broń. Podejrzewają nas. Gdyby nas zatrzymali i zrewidowali, wszystkie te środki ostrożności i tak nie zdałyby się na wiele.

Zgasił latarkę. Z półmroku wynurzyła się nad nią jego wysoka postać.

— Dokąd to wieziecie?

— Czy słyszała pani o Rapuhi? Tam płyniemy.

Rapuhi! Któż by o niej nie słyszał? Wyspa ta, o połowę mniejsza od Irlandii, dostarczyła więcej kłopotów i zamieszania, niż wszystkie inne wyspy mórz południowych razem. Odkryta w roku 1793 przez Francuza, kolejno należała do Francji, Holandii, Anglii i znowu Francji. Olbrzymia kłująca piłka przechodziła z rąk do rąk, chętnie odstępowana, niechętnie brana.

Wartość jej stanowią obfite połowy pereł i bogactwa ziemi. Głównie korzenie. Ale pokolenia dziedziczyły tu nienawiść. Holenderscy koloniści palą zbiory Francuzów. Francuzi uważają za swój wyłączny monopol prawo połowu pereł i strzelają do angielskich statków, podejrzanych o wysyłanie nurków. Anglicy pogardzają całą ludnością, a Francuzi wiedzą o tym i nienawidzą ich tak jadownicie, że dają temu wyraz w wybuchach nieopanowanej agresji — angielski kupiec zostaje ograbiony, angielskiego marynarza znajduje się martwego na bulwarze.

Ale wszystkie te problemy błędą wobec kłopotów z krajowcami. Rapuhi to schronisko rasy nieprzejednanych. Każdy kolejny rząd atakował ich bez skutku. Ciemiężono ich, prześladowano — wszystko na próżno. Ich siedziby były rozgramiane, obrzędy zabronione. Holendrzy próbowali tępić kanibalizm, Francuzi — wypłenić praktyki zwane *bodi*, a Anglicy —jeszcze straszliwsze *mutomanima*. Ludzie ci byli dziesiątkowani. Jednakże reszta pozostała nieposkromiona, nieubłagana. A na jednego białego przypada czternastu krajowców. Przedstawiają dla rządu najtrudniejsze zadanie do rozwiązania: jak postępować z wrogo usposobionymi ludźmi, którzy cię nienawidzą, ale się ciebie nie boją; z którymi nie można zawrzeć zgody ani dobrocią, ani siłą, i którzy ponawiają ataki przy każdej sposobności, bez najmniejszego powodu? Człowiek, który by rozwiązał ten problem, może spodziewać się sutej nagrody w gubernatorstwie Rapuhi.

— Dla kogo są te karabiny? — spytała Vivian. — Kto je kupuje?

— Dla pewnego Holendra; nazywa się Piet Maartens. Rzecz ma się tak: Francuzi nie dopuszczają posiadania broni bez pozwolenia, mieli już tyle burd z Holendrami na Rapuhi, że odmawiają im pozwoleń na broń.

— Dlaczego się ich nie pozbywają? Jeżeli sprawiają kłopot...

— Nie mogą — wyjaśnił. — Rapuhi zmieniało władców dosyć często, ale we wszystkich traktatach zagwarantowane są prawa osadników. Nikt nie może zostać wywłaszczony lub wygnany. Rozumie pani! Dlatego jest tam tyle rozmaitych typów. Jest też dużo mieszaińców półkrwi. Dziewczyny rapuhiańskie są prześliczne, proste i wysmukłe, o skórze koloru...

— To nie jest ważne — ucięła Vivian zimno. — Nie obchodzi mnie kolor ich skóry. Więc?

— Położenie jest takie. Statek należy do pani. Ale pani nie umie ani go prowadzić, ani kierować załogą. Więc ja przejmuję dowództwo.

— Pan?

— Nie może pani kierować statkiem sama. A wreszcie, to jest moje prawo. Jestem pierwszym oficerem.

— Jest jeszcze Maclise.

— Niech pani mnie posłucha i pozbędzie się Maclise'a.

— Mówi pan tak tylko dlatego, że go pan nie lubi.

— A pani sądzi, że on mnie lubi, po tym co zaszło? Dreszcz przebiegł ją na samo wspomnienie.

— Shottery poniósł śmierć, na którą zasłużył — powiedział Regan posepnie.

— Ale stało się to przeze mnie i Maclise nigdy mi tego nie daruje. Teraz niech pani słucha. Może pani odejść albo zostać, jeśli chce. Ale jeżeli pani zostanie, musi pani poddać się moim rozkazom. Na każdym statku jest tylko jeden kapitan.

— Ale ja jestem teraz właścicielką.

— To nieważne. Może pani wybierać! Ale nie chcę mieć na pokładzie nikogo, kto będzie zadawał pytania i wtrącał się do dowodzenia.

— Szkoda, że Maclise nie jest pierwszym oficerem zamiast pana.

Impertynencja Vivian rozpalila w Reganie złość.

— Powiem pani coś! Maclise jest zdrajcą. Och, znam go dobrze. Ta sama krew co Shottery, tyle że jest sprytniejszy. Już prawie od roku on i Julia... Czy muszę to powiedzieć? Hunter nie wiedział. Uczciwie, prawda? Ambitny jest jak diabeł. Pragnie cudzej własności. Dwie rzeczy, których pragnął najbardziej, to statek Huntera i kobieta Huntera. Jedną rzecz już zdobył. Czy pani chce, żeby zdobył drugą?

Czekał na odpowiedź, patrząc na Vivian w półmroku.

— Więc jak będzie? — spytał z odcieniem zniecierpliwienia. — Jest pani odważnym, małym diabełkiem. Podoba mi się to. Ale jeżeli chce pani mi się sprzeciwiać, uprzedzam panią, że robi to pani na własne ryzyko.

— Dlatego, że pan ma siłę, myśli pan, że może mi... Podniósł ją w ramionach i trzymał mocno, nic sobie nie

robiąc z tego, że się wyrywała. Na próżno okładała go małymi piąstkami. W tych olbrzymich ramionach była jak źdźbło słomy. Nagle postawił ją na pokładzie, onemiała z oburzenia.

— Ma pani ciężką pięść — roześmiał się. — Może pani wypróbować ją na Maclisie, gdy zechce panią pierwszy raz pocałować.

2

Maclise zszedł na ląd, pozornie w celu zaopatrzenia statku w prowiant, a właściwie po to, żeby się upić. Ale po drugiej szklance już siedział cicho, z wzrokiem wlepionym przed siebie, jak ktoś, kto dostał między oczy. Był bardzo przywiązany do Shottery'ego. Nieważne było to, co Shottery zrobił, że był zdrajcą, mordercą, człowiekiem, który strzelił do swego przeciwnika z za węgła. Maclise nic sobie nie robił z przykazań, które nieboszczyk złamał. Mógł myśleć tylko o jednym, że Shottery leży teraz zakopany w ziemi i że tym, który to spowodował, był Regan.

Z trudem się otrząsnął i zaczął omawiać z właścicielem składnicy, Bladesem, listę towarów. Mały, rozgrzany pokój, przesiąknięty zapachem skóry, parafiny i whisky irytował go. Wkrótce Maclise wyszedł stamtąd; objęło go upalne słońce. Zszedł na nabrzeże i oparł się leniwie o słup, patrząc, jak chłopcy znoszą towary.

— Hallo! — zabrzmiał mu nagle w uchu głos Regana. — Gdzie byłeś przez cały czas?

Maclise podniósł ciężkie powieki, żeby spojrzeć na mówiącego.

— O czym mówisz? Co to ciebie obchodzi?

— Właśnie, musi mnie obchodzić — odpowiedział Regan szczerząc zęby. — Od dziś masz słuchać moich rozkazów.

— Twoich?

— Tak. Czy zapomniałeś, że byłem pierwszym oficerem Huntera? Jesteś zły na mnie o... Uspokój się! — zawołał, gdy Maclise zaczął wściekłą przemowę.

— Shottery nie żyje i dobrze, że nie żyje. To jest wszystko, co powiem. Wiesz, że to prawda. Mimo to czuję, że szukasz powodu do kłótni ze mną. Dobrze, jeżeli chcesz walki — ja jestem gotów.

Drżeli z gniewu, gotowi do bójki. Julia, czujna na dźwięk podniesionych głosów, obserwowała ich z pokładu. Zawołała Maclise'a. Odwrócił się i opuścił zaciśniętą pięść. Nie spojrzawszy więcej na Regana, przeszedł obok niego i skierował się do trapu. Regan obserwował go przez chwilę, po czym odszedł, żeby dopilnować przygotowań do odpłynięcia.

W godzinę później zastał Vivian opartą o burtę; robiła wrażenie nieszczęśliwej. Coś w jej pozie sprawiało, że zatrzymał się. Czy ta dziewczyna będzie wtrącała się do jego planów? Uważał ją za uległą, łatwą do opanowania. Zaczął zastanawiać się, czy się nie mylił, czy to naprawdę będzie taka prosta sprawa, jak mu się początkowo zdawało.

— Vivian!

Spojrzała nań zimno, podniósłszy głowę do góry.

— Czy chce pan ze mną mówić?

— Tylko jak kapitan z właścicielem statku — odrzekł uroczyście.

— Powinien mnie pan przeprosić.

— Za co?

— Za... za to, że mnie pan wziął na ręce.

— Za to się nie przeprasza — zapewnił ją. — Teraz proszę posłuchać.

Odpływamy w południe. Czy pani ma jakieś życzenie, zanim odpłyniemy?

— Tylko jedno.

— Słucham.

— Nie chcę, żeby Julia popłynęła z nami.

— Nie chce pani? Więc niech ją pani zostawi, jeżeli pani potrafi.

— Jeżeli potrafię?

— To ciężkie zadanie. I nie robiłbym tego na pani miejscu. Jeżeli pani tak postąpi, zrobi sobie pani wroga z Maclise'a.

— Nie powinna tu być. — Vivian zaczerwieniła się.

— Tutaj jest mniej niebezpieczna niż gdziekolwiek indziej.

— Nie pozostanie tu! Regan roześmiał się.

— Zostanie. Z jednej strony to mnie cieszy. To wprawi Mac-lise'a w dobry humor. Nie musi pani jej widywać. Poza tym powinna pani nauczyć się przyjmować rzeczy takimi, jakimi są.

— Nie zgodzę się na Julię.

— Doskonale. Niech pani idzie i wyrzuci ją. Musi się pani śpieszyć. Towar już jest prawie załadowany.

Zostawił ją, a Vivian poszła szukać Julii. Na pokładzie nie było nikogo prócz marynarzy. Zeszła na dół, serce jej biło coraz prędeej, gdy zbliżała się do kabiny Julii.

Zastała ją leżącą na łóżku, w cienkim, obcisłym szlafroku z czerwonego jedwabiu, uwydatniającym każde zaokrąglenie

jej wspaniałego ciała. Julia jak kot odwróciła się na plecy i przeciągała się leniwie w chwili, gdy Vivian weszła do kabiny.

— Jak pani młodziutko wygląda w tej niebieskiej sukience — stłumiła ziewanie. — I jaka pani poważna!

— Chcę pani coś powiedzieć.

— Słucham.

— Teraz, kiedy statek należy do mnie, chcę przeprowadzić pewne zmiany. Czy pani kochała mego ojca?

Julia obserwowała ją zmrużonymi oczami.

— Ubóstwiałam go... kiedyś.

— Więc musi być bolesne dla pani nie... nie widzieć go tu. Spodziewam się... Myślę, że pani nie popłynie w ten rejs.

Julia usiadła i objęła rękami kolana.

— To znaczy, że pani chce, żebym opuściła statek? Vivian zarumieniona potwierdziła to. Nastąpiło milczenie.

— Dlaczego? — spytała wreszcie Julia. — Nie dlatego chyba, że myślała pani, iż będę wybuchała płaczem za każdym razem, gdy spojrzę na puste krzesło Charlesa?

— Nie mogę tego wytłumaczyć — powiedziała Vivian z desperacją — ale chciałabym, aby pani odeszła.

— A dokąd mam pójść? — zapytał obrażony głos ze zdziwieniem. — Jak mnie pani stąd odeśle, co pocznę? Degas to okropna miejscowość. Nie jest bezpieczna dla żadnej białej kobiety, chyba że jest mężatką. A czasem nawet i wtedy nie. Dlaczego pani jest dla mnie taka okrutna? Zrobiłam wszystko, co mogłam, ażeby pani mnie polubiła. Czym zawiniłam?

Wyciągnęła ciepłą, gładką rękę i chwyciła gołe ramię Vivian.

— Ktoś... jakiś wróg... może Regan...

Widziała, jak powieki Vivian zadrżały i zrozumiała, komu ma podziękować za to wszystko.

— Regan — tak też myślałam. Nienawidzi mnie. Bóg wie dlaczego! Jakich kłamstw naopowiadał pani? Co za historie wymyślił sobie?

— On nie jest kłamcą — powiedziała Vivian z godnością.

— Tego pani nie może wiedzieć. Znam go od pięciu lat. Od pierwszej chwili mnie nie cierpiał. Co pani naopowiadał? Uczciwość względem mnie wymaga, żeby pani powiedziała, dlaczego tak postępuje.

— Nie mogę.

— Więc mam cierpieć za coś, co on uważa za prawdę? Nie mam szans obrony. On myśli... że zdradzałam Charlesa? Ten chłopiec... Mike — kocha mnie... Vivian musiała się roześmiać.

— Mike? Nie.

— Więc ktoś inny? Maclise?

Na twarzy Vivian wyczytała odpowiedź. Julia podniosła się, krzyżąc z wściekłości.

— To kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo! Czy pani słyszy? Jak Regan śmie mówić coś podobnego? Jakie ma dowody? Niech przyjdzie i powie mi to w oczy. Niech pani spyta Maclise'a. Niech pani oskarży go, że był moim kochankiem i usłyszysz, jak się będzie śmiał! Cóż za mały głuptas z pani, żeby wierzyć takiemu gadaniu Regana! Czy pani nie widzi, czego on chce? Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, że jak ja odejdę, pani będzie tu sama? Nie rozumie pani, że Regan właśnie tego pragnie?

— Nie sędzę — odrzekła Vivian wyniośle. — W każdym razie, zaryzykuję. Chcę, żeby pani odeszła.

— Jest pani podła, nieuczciwa.

— To mój statek!

Obie pobladły z gniewu. Ciemne oczy wpiły się w szare i napotkały w nich kamienną twardość. Sytuacja była bez wyjścia.

Nagle Julia zaczęła płakać. Spojrzenie jej wielkich oczu zmiażdżyło: były zalane łzami. Łzy ciekły jej po policzkach. Głos załamywał się w szlochu.

— Gdyby Charles to widział! Zabiłby Regana. Tak go kochałam! Och, tak go kochałam! Byliśmy tacy szczęśliwi. Co się teraz ze mną stanie! Och, Charles! Vivian nerwowo przestępowała z nogi na nogę. W głowie jej panował chaos. Co powiedziałby ojciec, gdyby wiedział, że ona tak wyrzuca kobietę, którą kochał? I co się stanie z Julią? Cokolwiek się z nią stanie — a przy jej urodzie wszystko stać się może — pójdzie na karb Vivian. Dreszcz przebiegł ją na myśl o tej odpowiedzialności.

Teraz Julia krzątała się po pokoju, czyniąc żalosne wysiłki pozbierania swych rzeczy. Z rozpaloną, zalaną łzami twarzą była piękniejsza niż kiedykolwiek.

— Charles, och, Charles! — szeptały drżące wargi. Ręce jej błędziły po omacku, gdy starała się podnieść wieko małej skrzynki z cedrowego drzewa, w której trzymała swoje skarby.

Nagle Vivian poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Bez względu na to, co nastąpi, nie może tego zrobić. To było niepojęte, że mogła traktować drugą kobietę z taką pogardą, z taką brutalnością. Dzika złość na Regana zrodziła się w jej sercu.

— Julio — powiedziała.

Nie było odpowiedzi, tylko szloch.

— Nie, nie myślałam tak... Przykro mi. Niech pani nie odchodzi — powiedziała Vivian porywczo. — Ja... to było podłe z mej strony.

Nieśmiało dotknęła wąskiego przegubu ręki Julii. Chwilę trwała cisza. Potem ciepłe, białe ramiona objęły Vivian i trzymały w mocnym uścisku.

— Już minęło — szepnęła Julia jej do ucha. — Po prostu zły sen, to wszystko. Co będziemy miały z tego, że będziemy się nienawidziły?

Mówiła o tym tak długo swym miękkim, rozmarzonym głosem, aż Vivian położyła głowę na jej ramieniu i rozplakała się ze skruchy. Ponad pochyloną, kasztanową głową Julia uśmiechała się tryumfująco. Poszło nawet łatwiej, niż się spodziewała.

VII

1

„Spindrift” podniósł żagle i wyslizgnął się z portu w Degas. dzielnie pruł fale, pochylając się pod naporem wściekłego północno-wschodniego wiatru. Maclise był przy sterze. Jego wprawne ręce zręcznie prowadziły statek przez szafirowe bruzdy ku odległemu celowi, ukrytemu za linią widnokregu. W sercu krył dwa proste dążenia. Pierwszym było objęcie w posiadanie „Spindrifta”. Drugie dotyczyło Regana — Regana, który prowadził pościg za Shotterym, Regana, którego ręce zacisnęły pętlę na szyi Shottery'ego. O Julii nie myślał wcale. Była na statku, mógł się nią cieszyć w każdej wolnej chwili. Kiedy ustała potrzeba ostrożności, zainteresowanie Maclise'a osłabło. Maclise bał się Huntera. Gdyby nie to, dawno już zabrałby Hunterowi kobietę i walczył o nią. Ale, przy całej swej odwadze, nigdy nie zaryzykowałby prawdziwej kłótni ze swym szefem.

Ach, ale jakże tęsknił do objęcia tych dwóch własności Huntera! Wiele nocy przeleżał, nie śpiąc i snując gorączkowe plany zdobycia ich dla siebie! Znał wiele statków, znał wiele kobiet. Cóż za czar krył w sobie „Spindrift”, że stawiał go ponad wszystkie inne statki? Jakiego wabika miała Julia, że uważał ją za drogocenną perłę? Na pewno pokusą była nieosiągalność, urok rzeczy, których nie można mieć.

Regan! Maclise widział go, gdziekolwiek się zwrócił. Spojrzał ku lukowi schodów i zobaczył jego wysoką, masywną postać; wiatr rozwiewał jego czarne włosy. Obok niego stała Vivian. Rozmawiali, pozornie zajęci tylko sobą. Ale Maclise, obserwując Vivian, widział, że spojrzenia jej zwracają się ku niemu, mimo że udawała, iż jest to przypadek. To dało mu do myślenia. Nie był jej obojętny. Pod przykrywką obojętności żywiła dla niego zainteresowanie. Tyle spostrzegł, gdy siedział ponury i zasepiony w mesie, kiedy „Spindrift” stał jeszcze na przystani w Degas. Maclise przez całe życie studiował kobiety. Czarowały go. Niezależnie od zwierzęcej rozkoszy, jaką sprawiało mu posiadanie ich ciał, interesowały go głęboko ich umysły, uczucia, ich reakcje. Zdawało mu się, że przeżywały wszystko intensywniej. Kochały namiętniej, ważyły się w miłości na wiele, nienawidziły bezwzględniej. Jednakże, cokolwiek by uczyniły, mężczyzna ostatecznie musiał im wybaczyć. Odczuł co to znaczy, kiedy kobieta, której bezwzględnie ufał, wydała go wrogom. I wśród gniewnego osłupienia, wśród poniżenia i wściekłości z powodu tej zdrady, zdobył ostatnią, najbardziej gorzką lekcję — że mimo wszystko nie mógł o tej kobiecie zapomnieć. Och, to się zdarzyło dawno, *jeszcze* we Frisco, i nieczęsto myślał o tym. Ale czasami wspomnienie to odżywało w nim i wywoływało w sercu uczucie zimna i bólu...

Powrócił myślami do terażniejszości. Od pięciu lat „Spindrift” prowadził bardzo korzystny handel z malkontentami w Rapuhi. Hunter kupował szmuglowaną broń od jakiegoś amerykańskiego kapitana, który ją zdobywał Bóg wie gdzie. Człowiek ten trzy razy do roku pojawiał się na Południu, wioząc swój śmiercionośny ładunek. Hunter dobrze na tym zarabiał. Maclise zacisnął zęby i przysięgł sobie, że zarobi jeszcze więcej. Ale Regana trzeba usunąć z drogi. Nie było tu miejsca

dla nich obu. Jeden musi odejść. Ten, który zostanie, może uważać się za właściciela „Spindrifta” i wszystkiego, co statek zawiera. Lecz jak to wykonać? Regan mógłby rozgnieść go na miazgę swymi pięściami, wałącymi jak młoty. Maclise wyobraził sobie ich w bójce. Prawie że czuł uścisk dłoni Regana na swym gardle i widział okrutny błysk jego czarnych oczu.

Przypomniawszy sobie Vivian. Jej blada, dumna twarz interesowała go, choć był zajęty inną. Nie sądził, aby mógł jej kiedyś pożądać. To nie był jego typ. Znał ten rodzaj kobiet. Nie uspokoi się, dopóki nie będzie miała go u swych stóp — ale też tam będzie musiał pozostać. Ona nigdy nie pozwoli sobie zawładnąć.

A czy pozwoli Reganowi?

Możliwość ta poruszyła go. Do diabła! Kto będzie panem Vivian, ten będzie panem „Spindrifta”. Vivian była kluczem, którym mężczyzna mógł otworzyć drzwi z napisem: „Ambicja”. Gdyby statek był jej, a ona była Regana...

Maclise poruszył się niecierpliwie. Nie dopuści do tego. Tak, razem z Julią nie dopuszczają do tego, ażeby rzeczy zaszły za daleko. A gdyby tak powiedzieć Vivian, że Regan uważa ją za środek do osiągnięcia celu?... Nie, jeszcze nie. Należy poczekać, aż ten bubek zacznie się do niej umizgać.

Ale po co czekać? Dlaczego nie być pierwszym, zanim Regan wysili swój spryt? Nie można pozostawić Vivian czasu na zakochanie się w Reganie. Ach, miał drab przewagę, posiadając taki wzrost, taką siłę i swobodny sposób bycia! To on wymierzył zabójcy jej ojca szybką sprawiedliwość, według prawa panującego na wyspach — oko za oko, życie za życie.

Na pokładzie kręciło się tylko paru marynarzy. Słońce stało wysoko, paląc ostrymi promieniami omdlewający z gorąca świat. Z Maclise'a lał się pot strumieniami. W gardle czuł suchość i pragnienie. Właśnie podniósł głowę, ażeby zawołać Kapeke, gdy miły brzęk doszedł do jego uszu. To Julia szła wolno przez pokład, niosąc małą, okrągłą tackę, na której dźwięczały szklanki. Wyglądała bardzo świeżo w białej sukni, przepasanej wiśniową szarfą.

— Chwała Bogu za whisky — podziękował Maclise, ujmując szklanekę. — Twoje zdrowie, dar ling!

— Zaraz możesz mieć drugą. Przygotowałam słabą ze względu na słońce. Mamy kilka minut dla siebie.

— Gdzie Regan?

— Pokazuje Vivian mapy czy coś podobnego. Co masz zamiar przedsięwziąć?

— Czy Regan wie o nas?

— Tak. Powiedział jej. Dała mi to wczoraj do zrozumienia zupełnie wyraźnie. Zaprzeczyłam.

— Doskonale. Trzymaj się tego dalej. Czy myślisz, że ona mogłaby zakochać się w Reganie?

— Tak sędzę...

— A ja nie — Maclise uśmiechnął się znacząco. — Ona zakocha się we mnie. Julia cofnęła się.

— Co to ma znaczyć?

— Regan nie może mnie wyprzedzić! Nie rozumiesz? Ona jest kluczem do tego, czego pragniemy. Więc on nie będzie tym, który otworzy drzwi.

Julia oddychała pośpiesznie, ale głos jej był spokojny:

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że zamierzasz się umizgać do tej dziewczyny?

— Tylko bez scen! Myślisz, że mam czas uganiać się za każdą spódnicą?

Zresztą — poprawił się — przecież mam ciebie. Jeszcze nie urodziła się taka kobieta, która mogłaby mi zawrócić w głowie, dopóki ty tu jesteś.

— Kręcisz, wymyśl coś innego! To jest bez sensu. Jeżeli nawet zakocha się w tobie, przypuścimy, że pójdzie ci to łatwo — no, to co z tego? Nie myślisz... nie myślisz chyba się z nią ożenić?

Julia zbladła, ale Maclise nie patrzył na nią.

— Och, na Boga, nie! — odrzekł swobodnie. — Ale czy nie rozumiesz?

Gdybym miał statek i gotówkę, którą Hunter ulokował w bankach w różnych miejscach...

— Nigdy ci jej nie da.

— Da, jeżeli tylko potrafię rozbudzić w niej miłość. Zakochana kobieta robi każde, nawet największe głupstwo, jakiego mężczyzna od niej zażąda. Jest to rodzaj obłędu, wiem dobrze. Widziałem to nie raz.

Julia zagryzła wargi.

— Będiesz jeszcze cierpiał kiedyś — powiedziała. — Tak, i mam nadzieję, że będę tego świadkiem. Czy kochałeś kiedyś kogoś? Naturalnie, że nie.

Żądza, namiętność, pragnienie — to tak. Ale zakochany nigdy nie byłeś.

— To kłamstwo. Wiesz, że cię kocham.

— Czasami zdaje mi się, że tylko udajesz.

— A więc mylisz się. Ale jesteś taka jak wszystkie kobiety, Julio. Nie zadowolasz się tym, że cię kocham po swojemu. Chcesz być kochana w taki sposób, jaki tobie wydaje się właściwy. I wszystkie kobiety są pod tym względem zupełnie do siebie podobne. Mówisz, że nigdy nie byłem zakochany. Cóż ty możesz o tym wiedzieć? Kochałem wiele kobiet, a każda z nich była bardziej interesująca niż poprzednia. Mówisz, że pragnienie nie jest miłością, że namiętność nie jest miłością. Ale mężczyzna nie kocha, nie odczuwając pragnienia. Nie może. Jest to coś, czego nigdy nie będziesz w stanie pojąć.

— Ależ rozumiem!

— Bzdury, moja droga. Wy, kobiety, oczekujecie zawsze zbyt wiele. Myślicie pewnie, że ta miłość, o której mówicie, to rodzaj histerii wprowadzającej człowieka w stan ekstazy, która w dodatku powinna trwać całe życie! Dla was miłość jest niczym, jeżeli nie trwa wiecznie. Głupstwa, kochanie. To nie jest miłość — to rodzaj wariactwa.

— Nie cierpię, gdy mówisz w ten sposób.

Bo jesteś zazdrosna o te wszystkie inne kobiety. Chcesz, żebym się wyparł ich wszystkich. Abym powiedział, że nigdy dotychczas nie kochałem. Chcesz, żebym kłamał — i nie przeszkadzałoby ci to, iż wiesz, że kłamię, dopóki mogłabyś łudzić się, że przedtem żadna kobieta mnie nie obchodziła.

Oddaj mi szklanę! Odchodzę.

Gniewasz się! Nie gniewaj się, Julio. Obiecuję, że nie zakocham się w Vivian. To nie mój typ. Uprzedzam cię, bo nie chciałbym, żebyś mi urządziła scenę za każdym razem, kiedy na nią spojrzę.

— Nie dbam o to, co robisz.

Spojrzał na jej rozpalone policzki. Pierś jej podnosiła się w rytm przyśpieszonego oddechu, wywołanego gniewem.

— Jak możesz być taki cyniczny! — wybuchnęła. — To wszystko maska, chcesz po prostu zdobyć tę dziewczynę.

— Nic mnie ona nie obchodzi.

— Kłamca!

Odwrócił się. Po czym spytał od niechcienia:

— Czy ona jeszcze sypia z tobą? Nie było odpowiedzi.

— Bo gdyby tak było — mówił dalej spokojnym głosem — zaproponowałbym zmianę. Kabina Huntera jest wolna. Nie ulega wątpliwości, że tam byłoby jej wygodniej.

— Wolę, żeby została ze mną — odrzekła Julia wyniośle. Nie odpowiedział. Julia zabrała okrągłą tackę z pustymi szklankami i odeszła wzburzona. Uśmiechnął się do siebie. Boże! Ale była śliczna! Patrząc na Vivian, gdy ta wspaniała kobieta mogła być jego na każde zawołanie! Śmiechu warte doprawdy. Ale nie należało pozwolić kobiecie być zbyt pewną swej władzy.

W dwie godziny później zszedł na dół i spotkał ją wychodzącą z wąskiego korytarza. Niosła rzecz Vivian. Ze sztuczną obojętnością przemknęła obok niego w kierunku kabiny swego pierwszego kochanka. Maclise zaczął, aż wróciła. Kiedy *mijała* go, pochwycił jej rękę i pocałował.

2

Załoga przyjęła Regana obojętnie. Lepiej on niż Maclise — myśleli zarówno biali jak Kanakowie. Sam Maclise, chociaż płonął z zazdrości, tłumił swe uczucia, aż do godziny, która miała dlań wybić. W miarę jak dni mijały i „Spindrift” zbliżał się do Rapuhi, nie pozostawało wiele czasu na prywatne sprzeczki. Wszyscy mieli się na baczności, czy aby nie ujrzą jakiegoś znaku, zdradzającego, że są śledzeni. Nieustannie wypatrywali szarej sylwetki kontrolującej te wody kanonierki. Władze w Ra-puhi zapowiedziały ostre tępienie szmuglu, a „Spindrift”, dzięki zdradzie Shottery'ego, był podejrzany. Vivian przyzwyczajała się do życia na statku. Wkrótce zaczęła myśleć okresami dzwonek i wacht i rozumieć fachowe terminy. Zdawało się, że załoga sypia, mając jedno oko otwarte. Wszyscy byli opanowani nerwowym niepokojem. Wszyscy czuwali, może nawet zbyt — tak jej się zdawało. Bezustannie obserwowano przepływające statki. Najdrobniejszy ślad dymu na widnokręgu lub żagle świecące w słońcu sprawiały, że cała załoga wylęgała na pokład. „Spindrift” unikał wszystkich. Nikt go nie zaczepiał z tej prostej przyczyny, że umykał na widok każdego. Tak, musiał posuwać się ostrożnie, kierując się ku Rapuhi jak ścigany zając, który zawraca i kluczy, żeby zbić z tropu myśliwych.

Nerwy wszystkich były w ciągłym napięciu. Perouse i podobny do szczura Mason chodzili z zaciśniętymi ustami i zmarsz-

czonymi czołami. Młody Mike stał się niemożliwie kłótlivy. Maclise był niezwykle opryskliwy, a Regan — zmienny. Z całej załogi jedynie Julia zachowywała spokój. Wdzięcząc się i pochlebając im, pobudzała mężczyzn do rozmów na inne tematy, aby choć na chwilę zapomnieli o niepokoju. Patrząc na jej postępowanie, Vivian czuła się okropnie bezradna. Zaczęła odczuwać, że jest tutaj intruzem, gościem przymusowo tolerowanym. Doznała tego wrażenia po raz pierwszy, kiedy przekonała się, że Julia przeniosła jej rzeczy do kabiny zmarłego ojca.

— Dlaczego pani to zrobiła? — spytała. Julia niecierpliwie rozłożyła ręce.

— Pomyślałam, że pani będzie zadowolona. Jeżeli pani to nie odpowiada, proszę powiedzieć. Kapeke przeniesie wszystko z powrotem.

Jej obojętność, jej lekceważenie wpłynęły na postanowienie Vivian. Nic nie powiedziała i bez dalszych pytań przyjęła zmianę, której pragnęła Julia.

„Spindrift” szedł krętym kursem, żeby uniknąć głównej drogi statków handlowych. Na szczęście wiatr sprzyjał. Ale napięcie, w jakim znajdowali się wszyscy na statku, wzrastało z każdym dniem. Zdawało się, że każdy wyczekuje czegoś, co może się stać lada chwila. Humory stawały się coraz gorsze i kłótnie powstawały prawie bez powodu.

Chociaż Julia ciągle nosiła swoje długie suknie, które zdawały się tchnąć jakimś hiszpańskim duchem, Vivian chodziła w bryczesach i długiej, luźnej kurtce, sięgającej kolan. Wyglądała raczej na miłego chłopca niż na kobietę. Mężczyźni byli zbyt zatroskani, ażeby się nią zajmować. Regan wyraził jedynie niejasne uznanie, a Prouse uśmiechnął się, widząc ją pewnego dnia siedzącą okrakiem na drągu.

Ale Maclise był tym, który zauważył ją naprawdę. Spotkał ją, kiedy przechodziła przez pokład i uśmiechnął się do niej. Później uświadomiła sobie, że wtedy po raz pierwszy zobaczyła jego uśmiech. Bystre spojrzenie ześlizgnęło się po niej od ust do kostek, a ona zarumieniła się bez powodu, być może dlatego, że wyraz jego oczu wywołał w niej głupie uczucie dumy.

— Wygląda pani wspaniale — powiedział i poszedł dalej. Odwróciła się, żeby popatrzeć za nim i uczucie niechęci, jakie miała dla niego, rozwiało się jak dym. Na próżno starała się

przekonać samą siebie, że głupstwem było sądzić, iż przypadkowy komplement może zmienić jej opinię o człowieku. Marszcząc gniewnie brwi, zeszła na dół z postanowieniem wymazania z pamięci tego uśmiechu, który tak zmienił ponury wyraz jego twarzy.

Tego wieczoru, gdy siedzieli przy stole, Maclise zwrócił się do niej. Była to jakaś pospolita uwaga o wędzonej wieprzowinie, ale Vivian zaczerwieniła się na dźwięk jego głosu. Więc umiał, gdy chciał, mówić takim cichym, miękkim głosem, który stracił zupełnie swe gorzkie zabarwienie. Odpowiedziała mu i zaczęła się rozmowa. Mimo woli pochylila się w jego stronę, a on spostrzegł to i zrobił to samo. Po raz pierwszy odkąd go znała, starał się usilnie ją zabawić. Stwierdziła, że potrafił być dowcipny i umiał dyskutować w sposób, który wskazywał, że był człowiekiem odznaczającym się bystrością obserwacji i sporymi wiadomościami. Stopniowo rozmowy innych ustały. Regan zmarszczył brwi. Mason wyszczerzył zęby w kpiącym uśmiechu. Julia wyjęła papierosa i głośno spytała Maclise'a:

— Ma pan zapalki?

Jej głos rozwiął czar, jakiemu uległa ta para. Maclise odwrócił się, zapalił zapalniczkę i trzymał ją cierpliwie przed Julią, dopóki kółko dymu nie uleciało w powietrze. Ona nie patrzyła na niego, lecz zwróciła się do Regana z jakąś wesołą uwagą, którą ten przyjął w milczeniu. Zapanowała niezmacona cisza. Wtedy Maclise odezwał się:

— Chodźmy popatrzeć na gwiazdy.

— Owszem — podchwyciła Vivian i pośpiesznie wstała. Razem wyszli z mesy i kroki ich rozbrzmiewały na schodach, a później, słabiej, nad głowami pozostałych.

Mason z trudem powstrzymał się od głośnego śmiechu. Regan siedział zachmurzony. Ale Julia zgmiotła papierosa o stół i wzięła innego z paczki leżącej pod ręką. Więc o tym myślał Maclise! Pilno mu było do nowego podboju. Przecież powiedział jej dlaczego. Wiedziała, że użyje każdego środka, ażeby osiągnąć swój cel — objąć „Spindrifta”. A czy nie chciała, żeby mu się powiodło? Czy to nie będzie korzyścią dla niej, jeżeli on, a nie Regan zwycięży? Co właściwie zamierzał w stosunku do Regana, nie wiedziała i nie starała się dowiedzieć. Że to pociągnie za sobą śmierć Regana, była prawie pewna. Znała Maclise'a — jego twardość, okrucieństwo i niewyczerpaną cier-

pliwość, z jaką umiał czekać na właściwą chwilę. Jeżeli kiedykolwiek dbał o kogoś, prócz siebie, to tym człowiekiem był Shottery. Czy to możliwe, żeby pozwolił ujść bezkarnie człowiekowi, który powiesił Shottery'ego?

Siedząc tak i wypuszczając dym, tworzący lotne wieńce wokół jej ciemnej głowy, oczami wyobraźni widziała, co Mac-lise robi. Powoli stworzy partię przeciwko Reganowi. Powoli osłabi jego autorytet, aż nastąpi właściwy czas. Wtedy... uderzy. A pierwszą osobą, którą musi wygrać dla swojej sprawy, będzie Vivian. Julia uśmiechnęła się, kiedy wyobraziła sobie Maclise'a robiącego te plany. Na pewno będzie z nią o tym wkrótce mówił...

Z tych myśli wyrwał ją Regan, który bez przyczyny kopnął komodę i skierował się ku schodom. Widziała, jak stał tam, wahając się niezdecydowany. Potem doszedł do połowy schodów, zawrócił i wpadł znowu do mesy. Nie powiedziała ani słowa, ale obserwowała go. Był wytrącony z równowagi, zły bez żadnej przyczyny, która mogłaby go usprawiedliwić.

— Długo są na pokładzie, co? — powiedział Mason niewinnie.

Regan przybrał wyraz wymuszonej obojętności.

— Nie zauważyłem.

— Oo? Sądzę, że Vivian...

— Co?!

Mason spojrzał zdumiony.

— Czy tak się nie nazywa?

— Nie dla ciebie.

— Wielki Boże! Regan! Co cię ugryzło?

— Trzymaj lepiej język za zębami! — ryknął Regan.

— Przecież to robię, czy nie? Och, zapomniałem, że teraz ty jesteś tu szefem, Regan. Przepraszam. Będę ją nazywał, jak każesz.

Jego cienkie wargi skrzywiły się w sardonicznym uśmiechu; spojrzał znacząco na Julię, czego Regan nie dostrzegł.

Ale ona mu nie odpowiedziała. Jej myśli były przy tej parze na pokładzie. Co mówili? Co Maclise robił? Był dla Julii raczej szorstki w ciągu ostatnich dwóch, trzech dni. Ale przecież wytłumaczył jej dokładnie, co zamierza. Czy nie mówił jej, że Vivian należy do typu, który na niego nie działa? Czy ten flirt to nie część głęboko obmyślanego planu, którego celem było obalenie Regana? I jak to się powiodło z Vivian! Jaka

była ujmująca w rozmowach z Maclise'em! Była zadowolona, podniecona pochlebstwem. Maclise umiał być czarujący, gdy chciał...
Ręce Julii zacisnęły się. Zazdrosna? Nieba! Nie! Naturalnie, że nie. Czy był jakiś powód do zazdrości? Na pewno nie. Nie!

VIII

1

Podczas następnych dni Julia musiała zdobyć się na największe opanowanie. Było widoczne, że Maclise wysiłał się, ażeby działać na wyobraźnię Vivian. Starał się do tego stopnia, że nawet stary Perouse spostrzegł to i czynił na ten temat uwagi w rozmowie z Masonem. Zdawało się, że Maclise mało sobie robi z czyjejkolwiek opinii. Bezustannie poszukiwał Vivian. Wkrótce zachowywali się ze swobodą pary starych przyjaciół. Przyzwyczajona do tego, ażeby się nią zajmowano, Vivian chętnie przyjmowała jego gorliwe hołdy. Stanowiły one idealny kontrast z cierpkim sposobem bycia Regana. Bo Regan był cierpki. Sam mało dbał o kobiety. Ale instynktownie czuł, że Maclise nie był szczery. Czego chciał? Przecież podobno kochał Julię. Czy nie byłoby rzeczą normalną, ażeby Julia urządziła sceny i oponowała przeciwko sposobowi, w jaki nadskakiwał tamtej drugiej kobiecie? Julia niby to uśmiechała się, ale w jej oczach nie było uśmiechu, lecz jakaś zakłopotana domyślność. Czy kazano jej siedzieć cicho? Czy ta para ułożyła sobie jakiś plan? Ee, co tam! To przecież nie jego rzecz. Jego zadaniem było doprowadzić „Spindrifta” do Rapuhi. A jednak nie dawało mu to spokoju. Przyłapał się na tym, że obserwuje Vivian i śledzi Maclise'a. Prawie zazdrościł mu. Ale czy było coś poważnego między tym dwojgiem? Czy tylko flirt, mający urozmaicić monotonię dni spędzanych na morzu. Dla Regana była to zagadka. Tak samo zdziwiony był Maclise. Skonstatował, że coraz więcej myśli poświęca kobiecie, którą chciał zdobyć tylko jako środek do celu. Miała młodość i urok świeżości, który Julia straciła. Świadomie nie porównywał ich ze sobą. Ale już ani

przez chwilę nie robił .planów sam na sam z Julią, nie czekał na jej nadejście i nie żałował, kiedy odchodziła. Straciła największy dla Maclise'a atut — nie była już własnością innego mężczyzny. Teraz wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, aby ją mieć.

O tym, żeby Vivian mogła być łatwa — nie było mowy. Przy całej swej żywości była zimna; wiało od niej chłodem, który go mroził, a jednocześnie kusił. Chciał być tym właśnie, który ten chłód pokona...

Dni mijały i humor Regana poprawił się. Jak dotąd nie napotkali żadnej przeszkody na drodze do Rapuhi. Może był głupcem, przypuszczając, że śledzi ich i oczekuje jakaś ukryta kanonierka. Bez wątpienia jego obawy były przesadą. Wszyscy zaczęli oddychać swobodniej. Napięcie zelżało.

Ale pewnego dnia o zmroku zamarli. Na tle zachodzącego słońca zarysowała się czarna sylwetka kanonierki.

Regan nie wahał się. Trzymał się uparcie kursu, aż krótki półmrok przeszedł w noc. Wtedy skierował „Spindrifta” na północ i pomknął w ciemność, nie zapalając świateł.

— Niebezpieczeństwo było blisko — powiedział do Perouse'a stojącego przy sterze. — Myślicie, że będą nas gonić?

— Nie. Płyną do Ritaritari. Ale też mnie nastraszyli, Boże! Przypuszczacie, że nas szukają?

— Tak.

Nie było nic więcej do powiedzenia. We wszystkich sercach czał się ten sam lęk. Co im dzień przyniesie? Czy o świcie znowu zobaczą złowróźbny szary kształt, wyrastający za nimi? A jeżeli tak...

— Musieli nas widzieć — zasepił się Regan, kiedy wraz z Perouse'em jedli spóźnioną kolację.

— Jeżeli tak, będą się zastanawiali, co się z nami stało. Ale co mogliśmy zrobić innego?

— Nie możemy ryzykować, żeby nas zaczepiono.

— Ani nie możemy zaryzykować znalezienia się w ich polu widzenia.

— Myślicie, że strzelano by do nas?

— Zatopiliby statek, gdybyśmy nie chcieli się zatrzymać.

— Och — odezwała się Julia, siedząca przy komodzie i cerująca dziurę w koszuli Mike'a — nie troszczyliby się o nas.

Regan nie odpowiedział. Porozumiał się wzrokiem z Pe-rouse'em; wypili i wyszli na pokład.

— Poszukajcie Maclise'a — zaniepokoił się. — Czy wiecie, gdzie on jest?

— Gdzieś na dole.

— Pilnujcie go — rozkazał Regan gwałtownie. — Narobi nam bigosu, o ile tylko mu się uda. Spróbuje dać sygnał kanonierce.

— W jaki sposób?

— Przypuszczam, że zapali światło. Kilka minut wystarczy, żeby naprowadzić kanonierkę na nasz trop.

— Nigdy tego nie zrobi. Po cóż by sam sobie podcinał gardło?

— Niczym nie ryzykuje! Najwygodniej mu będzie wydać nas władzom. Gdyby udało mu się wpakować nas wszystkich na siedem lat...

— Ale...

— Naiwni jesteście! Wmówiłby im, że dopiero odkrył tę broń. Albo, że zamustrowaliśmy go na statek przemocą i że chciał wycofać się z naszego towarzystwa. Uratowałby własną skórę. Do tego posiada dosyć sprytu. A gdybyśmy byli unieszkodliwieni w więzieniu, miałyby doskonałą sposobność, aby zdobyć to, czego pragnie.

— Tak, „Spindrifta”. I — Vivian.

— Ją może mieć — odpowiedział Regan swobodnie — ale niech mnie diabli porwą, jeżeli zdobędzie statek.

Podniósł się wiatr. Fale zaczęły przelewać się przez pokład. Pędzący księżyc ścigał się ze statkiem, przedzierając się przez tę ponurą noc, pełną niebezpieczeństw. Vivian wyszła na pokład i od razu została ciśnięta siłą wiatru na Regana. Schwycił ją i trzymał, podczas gdy rozglądała się, szukając kanonierki.

— Czy nas przyłapią?

— Bardzo prawdopodobne, że będą płynąć za nami — odpowiedział. — Sądzę, że był to statek francuski. Zbliżamy się do Rapuhi. Jeszcze trzy dni i powinniśmy tam być. Niech się pani nie lęka, jeżeli strzelą do nas. Nie możemy się zatrzymać. Jeżeli przeprowadzą rewizję, jesteśmy załatwieni.

— Ale mogą nie znaleźć broni.

— Znajdą, jeżeli Maclise im pomoże.

— Maclise?

W ciemności rozległy się kroki, tupot biegnących nóg, okrzyki, wrzaski Kanaków.

— Człowiek za burtą!

Był to głos Maclise'a. Przebiegł obok nich, kierując się ku otworowi schodów i wołając w biegu.

— Kto taki? — krzyknął Regan.

— Kanak.

Zniknął, pędząc po schodach, podczas gdy reszta pobiegła ku burcie. Perouse wydał rozkaz rzucenia kotwic morskich — wielkich, płóciennych worów, które napęlniają się wodą i w ten sposób zatrzymują statek w miejscu — na czas poszukiwań. Rozległ się głos Regana.

— Nie! Zostawcie! Kurs na lewo!

Sternik usłuchał mechanicznie. Wśród zamętu podnieconych głosów statek dalej płynął swoją drogą. Vivian wychyliła się i czyniła gwałtowne wymówki. Ale Regan tego nie słyszał. Czekał na coś. W minutę później biegł po pokładzie. Vivian ujrzała Maclise'a z pochodnią w ręce; ogień wystrzelał wysoko i rzucał drgającą smugę na wodę. Wtem światło zgasło, wyrwane z ręki Maclise'a; trzeszczące i dymiące resztki zostały zdeptane.

— Czyś oszalał? — wrzeszczał Maclise. — Człowiek za burtą! Zgubimy go!

— Niejeden jest za burtą! — krzyknął Regan. - - Ty kłamco! To twój chwyt. Może nie?

— Mówię ci, że jest człowiek...

— Daj mu utonąć.

Maclise zrozumiał, że jego plan się nie udał, zaczął więc zachowywać się zuchwale, ale Regan przerwał mu:

-Wszystko mi jedno co widziałeś albo też zdawało ci się, że widziałeś. Nie miałeś prawa przynosić światła na pokład. Jeżeli któryś z chłopców wypadł za burtę, ja odpowiadam za niego. W każdym razie, nie miałby wielu szans uratowania się przy takim morzu.

Statek przechylił się na jedną burtę i Maclise wyrwał się z rąk, które go więziły. Słysząc było, jak potykając się, odszedł na rufę, a Vivian spytała, z trudem chwytając oddech:

— Skąd pan wie? Czy pan jest pewny?

— Wkrótce się przekonamy. Niech pani zejdzie na dół. Jest pani przemoczona.

Zrobiła tak, jak powiedział i wolno zeszła po schodach do mesy, gdzie Julia czekała na wiadomość.

— ...Co się stało?

....Fałszywy alarm — odpowiedziała Vivian. — Nikt nie zginął. Maclise omylił się.

— Ach, ci mężczyźni — westchnęła Julia, obcinając kawałek bawełnianej nitki — myślą, że wszystko wiedzą. Ale to niepodobne do Maclise'a, taka omyłka.

— Przyniósł światło na pokład — gorączkowała się Vivian. — Myśli pani, że to światło wskazałoby nas kanonierce?

— Och, mam nadzieję, że nie — przestraszyła się Julia. — Przypuszczam, że Maclise nie zrobił tego w tym celu!

— Ciekawa jestem prawdy — odpowiedziała Vivian i zamyślona zeszła do swojej kabiny. Jakie będzie wyjście z tego wszystkiego? Zdawało jej się, że Regan mylił się w ocenie Maclise'a. Jednakże jeżeli było prawdą, że chciał dać znak, gdzie się znajdują, komuś, kto czuwał...

W mesie Maclise, doprowadzony do wściekłości, w sposób gwałtowny tłumaczył Julii, co zaszło. Twarz mu pociemniała ze złości, szarpał palcami guzik od koszuli, oberwał go i cisnął na drugi koniec mesy.

— Kilka minut by wystarczyło. Diabli z takimi oczami, jak jego! W jaki sposób domyślił się? Skąd wiedział, co zrobić? Był na pokładzie — oboje byli na pokładzie. Taki burzliwy wieczór...

Julia odłożyła swoją robotę i popatrzyła na niego.

— Czy to mądre z twojej strony? Czy nie ryzykujesz zbyt wiele?

— Zaryzykowałbym wszystko, byle mu się odpłacić. Zabił mi brata.

— Przed tym też go nienawidziłeś. Ale on jest silny. Uważaj!

— No? Myślisz, że jest silniejszy ode mnie, co? W tym się mylisz. O tak, mógłby mnie podnieść i rzucić o podłogę. Wiem o tym. Widziałem, jak robił to z cięższymi ode mnie. Było to w bójce, kiedyś. W ten sposób roztrzaskał czaszkę chłopakowi.

Ale...

— Vivian go lubi.

— Nie! — spojrzał na nią gniewnie. Julia uśmiechnęła się.

— Jak ten Mike drze ubranie! Daj mi nożyczki. Czy naprawdę miałeś zamiar dać sygnał tej kanonierce?

— Tak. Regan dostałby siedem lat, gdyby się udało.

— A co z resztą?

— A co mnie obchodzi reszta? Niechaj wiszą, byleby on wisiał najwyżej!

— On idzie... — powiedziała Julia. — Odchodzę. — Pośpiesznie zebrała robotę i szeleszcząc falbankami, zniknęła w chwili,

gdy Regan wchodził. Był blady. Ściągnął przemoczoną kurtkę i podszedł do miejsca, gdzie Maclise kołysał się, siedząc na stole.

— Po co narobiłeś wrzasku o tego chłopca za burtą?

— Omyliłem się. To wszystko.

— Nieprawda. Wiedziałaś, że nikt nie wypadł za burtę. Była to tylko wymówka, żeby przynieść światło na pokład.

— Po jakiego diabła bym to robił? — powiedział Maclise zapalczywie. — Czy myślisz...

— Tak. Myślę, że chciałeś pomóc kanonierce w znalezieniu nas.

— W jakim celu?

— Zrobiłbyś wszystko, byle mnie zgubić — zawołał Regan gwałtownie. — Tak, zrobiłbyś to, śmierdzielu! Odkąd Hunter... umarł, masz na mnie nóż w pogotowiu. A Vivian...

— Ach, Vivian! — wybuchnął Maclise. — Sprytnie potrafisz dać sobie z nią radę.

— Zamknij się! — warknął na niego Regan. — Trzymaj się z daleka od niej. Wiem, czego chcesz. Widziałem, jak skakałeś koło niej. Daj jej spokój. Masz już jedną kobietę na statku.

— Nie mieszaj w to Julii.

— Nie mieszać jej w to! To dobre! Czy była kiedyś w coś nie wmieszana? Przyniosła pecha z chwilą, kiedy pojawiła się na tym statku. Shottery — oto co dało początek czynowi Shot-tery'ego. Pragnął jej! To go rozgoryczyło — nie mógł znieść dłużej tego wiecznego pożądania czegoś, czego nie mógł osiągnąć. I ty byłeś taki sam. Dopóki Hunter żył, nie miałeś sposobności. Bałeś się go. Tak, bałeś się. Nie domyślał się niczego o tobie i Julii, prawda? Ale z chwilą, gdy odszedł, jesteś gotów objąć po nim spadek.

— Milcz! — krzyknął Maclise, bez kropli krwi w twarzy.

— No! Raz musisz wreszcie usłyszeć prawdę. Albo będziesz się przyzwocić zachowywał podczas tej podróży, albo każę cię zakuć w kajdany. Wyzyskałeś ostatnią sposobność. Przypuśćmy, że rzeczy wzięłyby zły obrót. Przypuśćmy, że kanonierka byłaby dosyć blisko, ażeby wezwać nas do zatrzymania się. To nie dzięki tobie nie złapali nas. Boże, mógłbym cię zabić, kiedy myślę o tym!

— Tak jak zabiłeś mego brata, prawda?

— Zasłużył na to. Strzelił Hunterowi w plecy.

— A czy Hunter był taki święty? Gdy słyszy się, jak mówisz o nim, można by myśleć, że był święty. Wmówiłeś to Vivian. Ale przecież dobrze wiesz, jaki on był! Mój brat zgładził ze świata świnię, która żyła za długo. Gdyby mu pozwolono stanąć przed sądem, byłby uniewinniony. Uniewinniony, słyszysz? Hunter był dandysem, pyszałkiem. Oto co zdobyło mu popularność. Ale pod tymi pozorami — czym był? Ty wiesz, Regan. Ja też. Nienawidziłem go. Teraz ci powiedziałem. Nienawidziłem go, bo był nikczemnym podlecem! Czy pamiętasz tego chłopca, którego zatłukł na śmierć przed trzema laty? Zrobił z niego galaretę własną laską. Czy pamiętasz rozruchy w Kikia z powodu zabitego tubylca? Nie można go było zidentyfikować przez dłuższy czas, bo miał twarz zmasakrowaną obcasem...

— Wynoś się! — powiedział Regan. — Prędko!

Maclise beczelnie się uśmiechnął i wyrznął Regana w twarz. Regan w odpowiedzi walnął go w szczękę. Po chwili Maclise znów był na nogach i zwarli się w starciu.

Mike, Perouse i kilku Kanaków próbowali ich rozdzielić. Wreszcie odciągnęli ich od siebie i trzymali mocno, choć tamci się wyrywali. Maclise ucierpiał więcej. Nad lewym okiem miał wielkiego guza, a niebieska koszula była podarta i wisiała w strzępach. Pierś wznosiła się ciężko i opadała. Boże, ten Regan miał siłę byka!

— Daj spokój — powiedział Perouse nalegająco. — On jest dowódcą.

Musiałbyś za to drogo zapłacić. Uspokój się, głupcze, uspokój się!

— On powiedział... powiedział... — zachłystywał się Maclise. Stłumiony odgłos, dochodzący z drugiej strony pomieszczenia, kazał im spojrzeć w tę stronę.

Stała tam Vivian, rozpalona i drżąca. Nogi miała bose. Na cienki jedwab pidżamy narzuciła czerwony koc. Oczy jej, rozszerzone strachem, błędziły po postaciach mężczyzn, zwracając się to na Maclise'a, to na Regana, i znowu na Maclise'a.

— Co to jest? — zapytała. — Co tu się dzieje?

— Nic — odburknął Perouse. — Po prostu wzajemne przekonywanie się...

Niech pani lepiej wróci do kabiny.

— Ale...

— Niech pani wróci, Vivian.

To był głos Regana. Na rozkazujący ton jego głosu dumnie podniosła głowę. Kim był, że ośmielał się tak do niej mówić?

— Co się stało? — spytała ponownie.

— Vivian — przemówił Maclise, ocierając krew z warg proszę, niech pani odejdzie.

Stała niezdecydowana. Potem ciasniej owinęła się kocem i zniknęła. Jakieś drzwi trzasnęły.

Maclise zataczał się na nogach. W gardle miał dziwne uczucie. Mdlilo go. Kapeke i Perouse chwycili go pod ramiona i zaprowadzili do jego koi. Ale kiedy włókł się tak między nimi, odwrócił się nagle i uśmiechnął się do Regana; był to uśmiech bezczelny i pełen zadowolenia.

Po jego odejściu Regan ciężko usiadł i kazał chłopcu przynieść wodę i ręczniki. Wolno otarł twarz, po czym mechanicznym ruchem wypłukał zabrudzony ręcznik. Co za szaleństwo zacząć bijatykę w takiej chwili? W jego ciemnych oczach ukazał się wyraz zadumy. Maclise był niebezpieczny. Więc zamknąć go na dobę w ładowni? Uwiązać go tak, jak się uwiązuje wściekłe go psa?

Zastanawiał się jeszcze nad tym co robić, kiedy powrócił Perouse. Zacierał ręce i patrzył na Regana.

— No?

— Jest porządnie poturbowany. Powiedzcie, Regan, czy on oszalał?

— To łajdak. Zapalił pochodnię umyślnie. Czy brak któregoś z chłopców?

— Nie.

— Wiedziałem. Brudny kłamca!

— Co macie zamiar zrobić?

— Jeżeli wpakuję go do ładowni...

— Jeżeli?

— Właśnie, czy nie będzie bezpieczniej zostawić go na wolności?

— Nie. Jeżeli go zwiążecie, nie będzie zapalał więcej świateł.

— Ostatecznie, uderzenie dowódcy jest przestępstwem. Jest to bunt do pewnego stopnia.

— Ha! Bunt! Rzekliście, Regan. Czy nie jest jasne to, do czego on zmierza? Ciekaw byłem, kiedy nareszcie to skapujecie!

Regan wyjął ręcznik, zanim odpowiedział.

— To jego gra. Kto jest z nim? Mason?

— Najprawdopodobniej. Nie dziwiłbym się, gdyby Mike też. Wiecie, jacy są młodzi chłopcy. A marynarze — niektórzy będą za wami, niektórzy za nim, jak przyjdzie do awantury.

— Mike? Dlaczego sądzą, że Mike...

— Czy nie zgłupiał zupełnie z miłości do Julii? A Julia szaleje za Maclise'em. O tak, szaleje. Zmieniło się. To już nie Maclise szaleje za nią.

Położył pomarszczoną dłoń na ramieniu Regana.

— Wpakujcie go do ładowni, Regan. Zgniećcie go póki czas. Postępowaliście z nim zbyt łagodnie. Kiedy dopłyniemy do Rapuhi...

— Tak, gdy dopłyniemy do Rapuhi, przekażę go władzom za usiłowanie buntu, tak? A co on im powie? Gdzie wasz rozum, Perouse? Nie mogę pozwolić sobie na kłótnię z nim.

— Wobec tego strzeli wam w plecy, tak samo jak Shottery strzelił do Huntera. Trzymajcie go krótko, dopóki się nie załamie. Musicie, mówię wam. Będziecie mieli kłopoty. Zwłaszcza z Julią. Ale będziecie mieli jeszcze więcej kłopotów, jeżeli go wypuscicie. Nie potrzebujecie mówić o nim w Rapuhi. Trzymajcie go w areszcie, dopóki nie popłyniemy dalej. Przecież nie zostaniemy tam dłużej niż parę dni. Och, do diabła! Ta dziewczyna jest znowu!

Usunął się na bok, gdy weszła Vivian. Zatrzymała się niepewnie na widok dwóch mężczyzn. Spojrzała na nieudolnie zawiązany bandaż na ręce Regana. Kiedy znalazła się w kręgu światła lampy, wyglądała jak śliczne, przestraszone dziecko.

— Co znowu? — spytał Regan burkliwie.

— Gdzie on jest?

— Kto? Maclise?

— Tak.

Regan powziął nagłe postanowienie.

— Mogę pani powiedzieć, gdzie będzie za dziesięć minut. Będzie w ładowni z bransoletkami na rękach.

— Bransoletkami?

— Żelaznymi — wyjaśnił Perouse. — Uderzył dowódcę, rozumie pani? Na morzu uważane jest to za bunt i kapitan ma prawo go za to ukarać.

— Ale pan tego nie zrobi? — Vivian uśmiechnęła się do Regana.

— Na pewno zrobię! — wybuchnął. — Czy pani wie, do czego by doszło, gdybym to puścił płazem? Zresztą, dlaczego nie miałbym tego zrobić? Wie pani, czego próbował przed godziną? Nie jemu mamy do zawdzięczenia to, że nie zostaliśmy dostrzeżeni przez Francuzów.

— Dlaczego pani chce, żeby mu to darować? — spytał Perouse, obserwując Vivian. — Czyżby był kimś ważnym dla pani?

Vivian zapłoniła się.

— Oczywiście, że nie. Ale nie chciałabym, żeby został ukarany. Ostatecznie mam tu też coś do powiedzenia. To jest mój statek.

Regan wstał. Oparłszy się o stół, poczuł ból w lewym ramieniu, na którym pięść Maclise'a pozostawiła ślad. Syknął.

— Mówi pani jak głupia. Nie zna pani praw panujących na morzu.

Twarz Vivian przybrała twardy wyraz.

— Lubi go pani? — nalegał Perouse. — Maclise umie wzbudzać miłość w kobietach. Niech pani będzie ostrożna, bo wystrychnie panią na dudka.

Zdobył Julię, a teraz ma jej dość.

— Z Julią nic go nie łączy. Sama mi to powiedziała.

— Powiedziała, teraz? — spytał Perouse poważnie. — I pani, naturalnie, uwierzyła jej.

Mała bosa nóżka tupnęła z niecierpliwości.

— Regan, zrobi pan to, o co prosiłam?

Spojrzał na nią oczami, których wyraz nagle stał się surowy.

— Nie.

Podszedł do niej i patrzył na nią z wysokości swego wspaniałego wzrostu.

— Nie dbam ani o pani własność, ani o pani rozkazy. Z Mac-lise'em postąpię tak, jak powiedziałem. Nie tak, jak pani chce. Jestem tutaj kapitanem. Proszę wrócić do swojej kabiny.

— Odmawiam.

— Pani ośmiela się sprzeciwiać moim rozkazom? Niech mi pani powie jedno: Kim Maclise jest dla pani? Czy Perouse ma słuszość? Czy pani go kocha? Vivian potrząsnęła głową. Wystarczyło tylko wrogie wystąpienie Regana, żeby przeważać szalę na korzyść Maclise'a.

— To moja sprawa — odpowiedziała wyniośle.

— Przekona się pani, że moja również. Niech pani przestanie się wtrącać i pójdzie spać.

— Nie chcę.

W odpowiedzi podniósł ją i zaniósł do jej kabiny. Vivian, z rozpalonymi policzkami i niesfornymi lokami, muskającymi jego policzek, próbowała mu się wyrzeć. Regan mocniej objął gorące, smukłe ciało, które walczyło gwałtownie o wolność. Kopnął drzwi kabiny Vivian i posadził ją na podłodze. Skoczyła

na niego jak tygrysyca, starając się zaciśniętą pięścią dosięgnąć jego szczęki.
— Proszę przestać!

Oboje zapomnieli o Maclisie. Teraz oni walczyli ze sobą. Zrodziła się między nimi jakaś nagła ambicja osiągnięcia przewagi. Zniknęła naciągana grzeczność cechująca ich wzajemne stosunki. Nie byli już towarzyszami, lecz przeciwnikami, starającymi się wzajemnie dotknąć, opanowani antagonizmem, którego nie rozumieli ani nie potrafiliby wytłumaczyć.

Znów go uderzyła; oczy jej zwęziły się jak u kota, oddychała szybko, chwytając powietrze jak ryba. Wyciągnął rękę, żeby ją przytrzymać i poczuł, jak białe równe zęby wpijają mu się w ciało.

Przez chwilę stał wstrząśnięty. Po czym schwycił ją za ramiona i potrząsał nią, potrząsał dopóty, aż stała się bezwładna niczym kukielka w tych wściekłych rękach, aż była zupełnie wyczerpana i chwiała się na nogach, kiedy ją wreszcie puścił. Spojrzał na nią, gdy przycupnęła na podłodze.

— Niech pani spróbuje jeszcze raz — zagroził — to użyję paska.

Odwrócił się i wyszedł, zamykając drzwi.

IX

1

O świcie rozpętało się piekło. „Spindrift” zataczał się i pochylał na jedną stronę, wznosił do nieba i zapadał w otchłań; stojący przy sterze Perouse kłął w siedmiu językach, kończąc soczystymi malajskimi wymysłami. Oczy miał zaczerwienione i zalane wodą, a ręce bolały go z zimna. Chłopiec w bocianim gnieździe już tyle razy uniknął niebezpieczeństwa, że i teraz siedział tam i śpiewał, rzucając wyzwanie wiatrowi. Kędzierzawe, roztańczone bałwany lizały statek, szukając drogi do wnętrza. Niebo zwisało szare i ciężkie, a w ponurej, pomarańczowej smudze, wskazującej miejsce, gdzie ukrywało się słońce — leżała zapowiedź nieszczęścia.

Julia ze zwykłą sobie obojętnością spała mocno. Vivian zdrzemnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy Regan wybiegł

z jej kabiny. W ładowni Maclise klął wściekle, kiedy żelazne kajdany na rękach wpijały mu się w skórę, wraz z każdorazowym szarpnięciem, wywołanym kołysaniem statku.

Gorzkie myśli człowieka pozbawionego wolności nie są miłym towarzystwem. Tak też było z Maclise'em. Głowa go bolała, a posiniaczone ciało boleśnie odczuwało karę otrzymaną od Regana. Maclise nigdy by nie uwierzył, że Regan odważy się na ten krok. Pomimo iż Regan był pierwszym oficerem i mógł przejąć władzę po zmarłym kapitanie, Maclise sądził, że wobec niego nie będzie stosował zwykłych praw morskich. Myśl, że on, Maclise, może być zamknięty w ładowni jako buntownik, doprowadzała go do wściekłości. Jego duma cierpiała nad tym. Gdy spróbował polizać zbolełe przeguby, oczy mu zwilgotniały od gorących łez, które wkrótce zaczęły spływać po policzkach. Co Regan z nim uczyni? Czy wyda go w Rapuhi jako buntownika? Nie, to nieprawdopodobne! Za dużo wiedział. Czy pozwoli mu tu gnić i zdychać wśród szczurów? Nie. Przecież na statku są dwie kobiety. Julia go wyratuje, nawet jeżeli Vivian...

Nawet jeżeli Vivian... co? Zdawał sobie sprawę z tego, że przebił się przez jej obojętność. Przy pomocy delikatnych pochlebstw, wesołości i nadszatkowania wszedł na drogę, która mogła go zaprowadzić, dokąd chciał. Była nim zainteresowana. Przypomniawszy sobie przerażone spojrzenie jej oczu, kiedy wpadła do mesy. Ach, i kogo usłuchała? Wyszła tak pokornie jak dziecko, gdy do niej przemówił. Czy to nie wskazywało na to, jak się rzeczy mają? Chociaż wmawiał sobie, że nie była dla niego niczym więcej niż pionkiem w grze, zaczynał o niej bezustannie myśleć. O Julii, której kiedyś tak namiętnie pragnął, teraz nie myślał wcale. Jej uwodzicielska uroda była pięknnością magnolii, rozpylającej woń pożądania, woń, która wabi, wzbudzając żądzę, a później odurza zmysły. Gdy tak siedział skurczony w ciemnościach, zdawało mu się, że widzi w Vivian coś ze świeżości narcyza, chwiejącego się na majowym wietrze. Chociaż wiedział, że nie zatrzymałby się przed niczym, doznawał dziwnego żalu na myśl o młodości Vivian, zbrukanej jego własnymi rękami. Więc dać jej spokój? Znaleźć inną drogę do osiągnięcia tego, czego pragnął?

Zranić Regana...

To był szczyt jego pragnień. Nawet „Spindrift” — ten śliczny statek — niechby i on wpadł na skały, o ile by przy tym zgniótł

Regana na miązgę... Ale nie trzeba traktować tych pragnień oddzielnie. Vivian... Vivian była kluczem. A gwiazdy były po jego stronie. Widział to, czego nikt inny nie widział, z czego Vivian sama by się śmiała, czemu by Regan zaprzeczył z zapalem.

Ale Maclise wiedział. Te bystre niebieskie oczy, które obserwowały bacznie, wyczytały to, co było wypisane na twarzy Regana, gdy krzyknął na Vivian, żeby wróciła do swej kabiny.

— Miłość! — zaśmiał się głośno i zaczął zastanawiać się nad tym, co by się stało, gdyby Regan uświadomił sobie, że jest zakochany? Głupiec, nie miał pewnie wiele do czynienia z kobietami. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie był zakochany. Co mógł wiedzieć o dziewczętach — poza tymi portowymi, które są udziałem każdego marynarza. Tak, Regan miewał niejedną z tych nie dających zadowolenia przygód, które zaczynają się od rzucenia dziewczynie zaczepnego słówka w świetle lamp baru portowego, a kończą wyjściem mężczyzny ze stęchłej sypialni z butami w ręce i kurtką pod pachą, w zimne i niemile światło wczesnego ranka.

Regan nie wiedział, jak dalece zdradziła go jego gwałtowność i zaczepny ton, użyty względem Vivian. Prawdopodobnie ten głupiec myślał, że człowieka opanowuje miłość tak, jak to się dzieje w książkach — westchnienia, czułości, tęskne spojżenia, szeptane uwielbienia.

Nie może wyobrazić sobie miłości inaczej, jak w formie czułego uniesienia — szydził Maclise. Czułe uniesienie! Co za idiotyzm!

On, który kochał tyle razy, widział paradoksalność tych słów. Mężczyzna opanowany namiętnością nie potrzebuje czułości. Czuły kochanek nie jest namiętnym kochankiem. A on dobrze wiedział, jakiego wołały kobiety...

O uczucia Vivian na razie się nie troszczył. Jak dotychczas, nie zdawała sobie z nich sprawy. Myśl o Reganie jako kochanku nie przyszła jej jeszcze do głowy — tak sądził Maclise. Ale jeżeli Regan ją kochał — a za to Maclise mógłby dać szyję — to droga była łatwa. Zapadł w drzemkę, siedząc w niewygodnej pozycji, z rękami opartymi o podłogę, w celu zachowania równowagi. Zardzewiały łańcuch znaleziony przez Perouse'a wżerał mu się w ciało. Cienki strumyk krwi spływał z przegubów rąk. Powietrze było ciężkie i wilgotne; czuć było szczurami. Głowa Maclise'a opadała na piersi. Boże, jaki był zmęczony!

Gardło miał jak ze skóry, a zamiast języka czuł w ustach jakiś drewniany kołek. Zapadł w gorączkowy sen, z którego obudził się z palącymi oczami i rozboleła głową. W południe jeden z marynarzy spuścił się na zwisającej linie i postawił przed Maclise'em pokrajany ananas i kawał ciepłego jeszcze chleba. Po jego odejściu Maclise chwycił owoc i zagłębił w nim zęby, ssąc sok spiekłymi wargami. Ale chleb przyprawił go o mdłości. Wypluł to, co miał w ustach, a resztę cisnął w kąt.

Lecz teraz nie mógł już spać. Ból w przegubach nie pozwalał na to. Sądząc po kiwaniu się statku, przypuszczał, że znajdują się wśród burzy, grożącej od dawna. Te przekłete szczury! Stawały się coraz śmielsze! Maclise słyszał przeraźliwy pisk oraz zamiatanie ogonami. Co się z nimi działo? Dlaczego te parszywe gryzonie biegają jak oszalałe? Wrzasnął na nie i na chwilę zapanowała cisza, po czym zaczęła się jeszcze większa krzątanina.

Nagle Maclise wyciągnął się jak długi. Gdyby nie łańcuchy przymocowane do haka w ścianie, przetoczyłby się przez całą ładownię. Wrzasnął; ból szarpanego ciała był nie do zniesienia. Niech diabli porwą Regana! Niech diabli porwą jego bystry wzrok! Co to było?

Maclise zaczął nasłuchiwać. Ten hałas... I drzenie, które przebiegło statek od dziobu do rufy!

Było tylko jedno wytłumaczenie. „Spindrift” został ugodzony pociskiem. Czy to nie francuska kanonierka próbowała szczęścia na dużą odległość? Czy zauważono tam ten błysk światła wczoraj wieczorem, zanim Regan wyrwał mu pochodnię z ręki? Jeżeli tak i kanonierka ich ścigała, to doprawdy był to głupi figiel losu. Fakt, że on, zdrajca, jest teraz więźniem na statku, który usiłował wydać, był upiornym żartem przeznaczenia.

Trzask... i jeszcze jeden trzask i wreszcie trzeci, który sprawił, że Maclise poczuł serce w gardle. Uświadomił sobie swą niebezpieczną sytuację. Te skrzynie uwiązane tak troskliwie, żeby się nie przesunęły, te ładownice... Pot spływał mu na oczy. „Spindrift” zataczał się i potykał jak raniony człowiek. Gdzie trafi następny pocisk? Maclise wstrzymał oddech w oczekiwaniu. Jeżeli to był koniec, to zaiste nędzny. Zdechnąć jak szczur w pułapce! Dlaczego Regan nie dał mu szans ratunku?

Bicie własnego serca rozbrzmiewało mu w uszach jak odgłos bębna. Śmierć... nigdy o niej nie myślał. Kiedyś człowiek umiera. Cała gadanina o przyszłym życiu to bzdury, fantas-

tyczne wymysły klechów, którzy muszą spełniać swe zadanie. Ach, ale czy tak było? Uświadomił sobie nagle, że nigdy nie myślał o Shotterym jako o kimś nie istniejącym. Niemożliwością jest wierzyć, że Shottery przeszedł w nicość. Może jednak było coś z prawdy w tych starych legendach? Jeżeli tak, to jego nie czekało Niebo. A nie mogło być wątpliwości co do przeznaczenia Shottery'ego.

Te szczury powariowały. Przelatywały przez niego, a ich małe, ostre łapki kłuły jak słoma. Maclise zaczął wołać Regana, Perouse'a, Masona. Nikt się nie zjawił. Pewna myśl przeszła mu przez głowę. Wsiadli do łodzi ratunkowych? Czy też może kanonierka ich dopędziła? Może Regan jest aresztowany? Nie, nie aresztowany. Może nie żyje? Ta możliwość znów wywołała w Maclisie złość, dziką wściekłość, że Regan mógł umrzeć, zanim on się na nim zemści — to było nie do pomyślenia.

Szczur musnął jego dłoń; sierść zwierzątka była mokra. Przez chwilę Maclise nie zdawał sobie do końca sprawy z ważności tego faktu. Zastanawiał się, dlaczego stworzenie było wilgotne. Oczywiście, mogło być wiele powodów. Później przypomniał sobie nadzwyczajne środki ostrożności, jakie stosował Dżentelmen Charles, w celu zabezpieczenia luku od wilgoci, ze względu na ukryty tam ładunek.

Gdzieś musi przeciekać woda.

Tak... strumyczek wody...

2

Mason był tym, który pierwszy dostrzegł kanonierkę. Płynęła leniwie z południowego zachodu, szara na jeszcze bardziej szarym tle wody. Kołysała się lekko i fale ciągle zalewały jej pokład.

— O Boże! — mruknął Mason i pobiegł szukać Regana.

— Co zrobimy? — pytał trwożliwie, a jego wystraszone oczy biegały to w tę, to w drugą stronę. — Czy będziemy uciekać? Oni na pewno każą nam się zatrzymać.

Regan otarł spryskaną pianą twarz. Jego ręce zachowały spokój, ale serce waliło tak *mocno*, iż zdawało mu się, że Mason musi je słyszeć. Co zrobić? Trzeba zaufać szczęściu; może kano-nierka nie wezwie go do zatrzymania się. Równie dobrze może go zatrzymać i nalegać na przeprowadzenie rewizji. Stał przed

alternatywą: mógł płynąć dalej, narażając się na ryzyko rewizji, ale jeżeli to zrobi i broń zostanie znaleziona — no, to oznacza siedem lat więzienia; ale jeżeli nie zamierza ryzykować, musi uciekać. Tak, uciekać jak diabeł, jeżeli chce znacznie wyprzedzić swego prześladowcę.

— Dają sygnały — zauważył Mason, wychylając się pod wiatr. Obserwowali, kołysząc się wraz ze statkiem, podczas gdy kanonierka zasygnalizowała polecenie:

— Zatrzymać się! — przeczytał Mason. — Do stu piorunów! Wpadliśmy! Co zrobimy, kapitanie? Będą strzelać.

- Jak, u diabła, mogą myśleć, że zatrzymam statek przy takim stanie morza?

— Oni nie chcą nas zatrzymać — jęknął Mason. — Chcą tylko mieć sposobność postrzelenia nas. Doskonale wiedzą, kim jesteśmy!

— Może nam się uda trzymać ich z daleka przez kilka godzin, zanim się ściemni — rozważał Regan. — Wtedy łatwiej nam będzie pozbyć się ich. Szansa; to była właśnie szansa. Wykorzysta ją. Lepiej zginąć w walce, niż poddać się pokornie rewizji, która musi się skończyć aresztowaniem. Czy to nie był sposób spotkania śmierci? Wśród walki; szybki koniec w objęciach tego kochanka i wroga jednocześnie — morza? W tej godzinie Regan nie myślał ani o Vivian, ani o Maclisie. W mózgu jego była jedna myśl, która przesłaniała wszystkie inne.

Ucieczka!

Tak, teraz zniknąć, a walkę zostawić na kiedy indziej. Postanowił zawrócić i płynąć na północny zachód, pod wiatr. Ryzyko? Tak, wielkie ryzyko! Ale to była jego jedyna prawdziwa szansa. Podeszedł do Perouse'a i przejął ster. Jego wielkie ręce chwyciły koło, zawracając „Spindrifta” z nonszalancją, za którą mogli wszyscy drogo zapłacić. W kilku słowach opowiedział, co postanowił. Perouse, chuchając na ręce, skinął głową ze zrozumieniem.

— Najlepsze co można uczynić. Ale skoro mamy uciekać przed wiatrem, musimy trochę zwinąć żagle. Nie narazimy przecież statku na wywrócenie. Regan skinął głową. Jego ciemne oczy wpatrywały się w skotłowaną przestrzeń.

— Obserwuj kanonierkę — rozkazał. — Będą strzelać.

I tak się stało. Pierwszy strzał padł za blisko, drugi przeniósł, ale trzeci trafił rufę statku podczas zwrotu na półno-

cny zachód. Regan zaklął, a Perouse zaczął odmawiać modlitwy, jak przed ośmiu laty, kiedy rozbił się przy Wyspie Świętego Józefa. Przy nadbudówce stał młody Mike; oczy bolały go od słonego wiatru, a twarz pałała żądzą walki. Jego kasztanowe włosy powiewały wokół głowy, dopóki nie zalała ich fala i nie ułożyła gładko.

— Idź na dół, szczeniaku! — Regan znalazł czas, żeby krzyknąć na niego. — Idź na dół! Na dół, słyszysz?!

Mike usłuchał go, ociągając się. Przemoczony do nitki skierował się do mesy, gdzie siedziała Julia z założonymi rękami, a Vivian chodziła niespokojnie.

— Ładna historia... panno Julio! — powiedział, z trudem łapiąc oddech. — Dopadła nas ta kanonierka... ci Francuzi... Czy słyszały panie strzały?

— Czyśmy słyszały! — powtórzyła Julia. — To cud, że jeszcze trzymamy się na powierzchni. Czy jesteś pewny, że nas nie podziurawili?

— Co... co Regan zamierza? — spytała Vivian niepewnie. Nie posiadała olimpijskiego spokoju Julii. Była wstrząśnięta do głębi. Jej bladość wywołała współczucie Mike'a.

— Niech się pani nie obawia, panno Vivian — uspokajał ją. — Regan nie dopuści do rewizji. Prędzej zatopi statek.

— Zatopi statek?

— Tak — odezwała się Julia niespodziewanie. — Dlaczego nie? Byłoby to znacznie lepsze niż więzienie! Boi się pani! W każdym razie proszę pamiętać, że prosiłam panią, aby została w Degas. Ale pani jest taka uparta!

Jej ciemne oczy powędrowały od twarzy Vivian aż do jej stóp. Nachyliła się, opierając się jedną ręką o stół.

— Odkąd pani przyjechała, mamy tylko kłopoty. Tu nie jest pani miejsce.

— Co pani mówi?

— Prawdę. Wiem, dlaczego ci dwaj pokłócili się wczoraj w nocy. Kapeke słyszał, że mówili o pani przed tym, nim zaczęli bójkę.

— O mnie?

— O tak, niech pani nie udaje niewiniątka. Tak, o pani! Czy kochają się w pani? Bóg raczy wiedzieć. Ale mówię pani jedno: Każdy z nich chce uprzedzić drugiego i dostać panią. Co pani z tym zrobi?

— Dosyć! — przerwała Vivian; policzki jej płonęły. — Myli się pani. Myli się pani całkowicie.

— Nie myślę się — odcięła się Julia. — Widziałam, jak Maclise patrzył na panią, a wiem, jak on patrzy, gdy pragnie jakiejś kobiety. Patrzył tak na mnie, kiedy żył Charles.

— Pani śmie mówić o moim ojcu?

— Tak, śmiem! Dlaczegoż by nie? Pani myśli, że tylko mnie należy winić, prawda? Przypuszcza pani, że Charles był kimś w rodzaju świętego. Był brutalem, jeżeli pani chce wiedzieć! Proszę spytać Regana. Proszę spytać Mike'a. Proszę spytać każdego, kto go znał. Gdyby nie Maclise, nie raz bym się topiła. A teraz pani jest tutaj i Maclise patrzy na panią. Jest taki sam jak wszyscy. Pragnie tej kobiety, której nie może dostać.

Głos jej ochryplł ze złości. Vivian milcząca, przestraszona, wyciągnęła na oślep rękę, a Mike pochwycił ją czerwonymi, mokrymi palcami.

— Nie unoście się! — zwrócił się do nich. — Julio, myli się pani, sądząc, że Maclise jej nie chce. Czy jest gdzieś taki mężczyzna, który nie dałby swych obu rąk za jedno spojrzenie pani?

Julia patrzyła na niego w zamyśleniu. Potem zwróciła się do Vivian.

— Nie należy udawać — uspokoiła się. — Skłamałam kiedyś przed panią. Powiedziałam, że mnie i Maclise'a nic nie łączy. Nieprawda, łączy nas wszystko. Rozumie pani? Nie powinnam tego mówić. Byłby wściekły, gdyby się dowiedział. Ale wszystko mi jedno. Nie mogę dłużej tego znieść. Ja jestem tą, którą on kocha — zawsze mnie kochał.

Vivian słuchała bez słowa. Gdyby Julia zadowolili się tym, co już powiedziała mogłaby jej uwierzyć. Ale następne słowa rywalki przekonały Vivian, że Julia kłamie, powodowana zazdrością.

— Zaleca się do pani, bo chce, ażeby pani pozbyła się Regana. Chodzi mu o „Spindrifta”. O to i o zrobienie na złość Reganowi.

Vivian roześmiała się. Wydawało jej się to zupełną niemożliwością. Julia na dźwięk tego śmiechu stanęła w ogniu. Ale cokolwiek by mogła powiedzieć, zostało to udaremnione przez zatrzaśnięcie klapy wejściowej. Perouse zszedł po schodach i wołał Mike'a.

— Idź do Regana! Prędko! Kapeke, przynieś mi kawy, bardzo gorącej. Boże! Koszmar! Nie mamy wielkich szans! Jeżeli znacie jakieś modlitwy, klękajcie i módlcie się!

Padł na fotel, ocierając twarz i szyję. Kobiety wlepiły weń przerażony wzrok.

— Jednego z marynarzy zmiotło — oświadczył, kiedy Kape-ke wniósł dzbanek gorącej kawy i kilka sucharów. — Zmiotło do wody.

Pił głośno, połykając chciwie gorący płyn.

— Sądzę, że trzeba wypuścić Maclise'a — kontynuował, mając usta pełne jedzenia. — Tak, Regan powinien mu pozwolić walczyć samemu o własną skórę. Pomyślcie, że to on nas wpakował. Ta kanonierka nigdy by nas nie dojrzała, gdyby nie pochodnia. Pomimo to nie powinno mu się pozwolić utonąć.

— Utonąć?

— Słyszycie ten hałas? — spytał Perouse, podnosząc głowę. — To pompy. Żle z nami. Mamy tylko jedną szansę, to jest — noc. Powinniśmy ją wyzyskać. Jest bardzo ciemno. Ciężkie chmury. Za godzinę powinniśmy być bezpieczni. Wtedy możemy zatrzymać się i łątać dziury. Nie sądzą, żeby ta kanonierka miała reflektory. Powinniśmy umknąć, gdy tylko się ściemni. Regan jest wspaniały! W jaki sposób utrzymuje statek na kursie — niech mnie kule biją, jeżeli wiem!

Znad dzbanka spoglądał krytycznie na kobiety.

— Ciężkie przejście dla was. Zwłaszcza dla miss Vivian. Nie jest pani przyzwyczajona... No — obtarł mokrym rękawem usta — już muszę iść na górę.

Wszedł na schody, potykając się, gdyż nieprzemakalny płaszcz krępował mu ruchy. Na pokładzie przywitał go strumień wody, który omal nie zwałił go z nóg. Przebił się jakoś do Regana.

— Kanonierka odpada — wrzasnął, chcąc przekrzyczeć wicherę. — Odpadła o pół mili od chwili, kiedy zszedłem na dół.

— Przełękli się. Wchodzimy w porządną burzę. Nie chcieli się na to narażać. Nie jesteśmy tego warci.

Wyglądało na to, że ma słuszność. Kanonierka pozostała znacznie w tyle. Czy doszli tam do wniosku, że kontynuowanie pogoni, wiodącej w burzliwą noc, nie miało sensu, czy też, że po czterech strzałach można ich śmiało zostawić na łasce morza — tego się załoga „Spindrifta” nigdy nie dowiedziała. Z nadzieją nocy było coraz trudniej odróżnić kanonierkę wśród rozhukanych, pienistych fal. Ale zawsze groziła. Nie można było zawrócić statku ze względu na wiatr, który mógł ich pognać tam, gdzie czekał wróg, czatując w takim oddaleniu, żeby sytuacja ich była bez wyjścia.

— Oj, oj, złapią nas jęczał Perouse ponuro. Kegan, żagle! Jeszcze ciągle za dużo żagli.

Ale Regan milcząco potrząsnął głową.

— Statek to przetrzyma. Idź, spójrz na mapę. Założy się, że płyniemy ku grupie Aoronoto. No co, Mason?

Perouse schwycił Masona, który tracił równowagę.

— Ta dziura w... — dyszał Mason. — Maclise... trzeba go wypuścić. Pompy... nie zdały się na wiele.

Z trudem chwycił oddech.

— Czy nie czujecie? — płakał *prawie*. — Idziemy na dno.

— Głupstwa! — Regan schwycił go za ramię. — Jest w porządku. Niech pompy pracują z całych sił. Jak piekło, słyszysz? I zajrzyj do Maclise'a.

— Pompy... — jęknął znów Mason. — Zostało tylko dwóch marynarzy. Moro i Natui zginęli. I Toro zginął.

Regan myślał szybko.

— Perouse, zostań tu przy mnie. Wkrótce może będziesz musiał mnie zluzować. Mason i Mike, postarajcie się zatkać dziurę. Maclise też.

— Ale pompy, kapitanie, chłopcy nie mogą pracować bez odpoczynku.

Wszyscy trzej wrzeszczeli, przekrzykując szum wiatru i rozhukanego morza. Porozumiewanie się było jeszcze utrudnione przez fale, rozbijające się o burzę statku.

— Perouse — zawołał Regan. A kobiety? Powiedz im... pompy!

Perouse chwiejnym krokiem doszedł do otworu schodów, wpuszczając tam kilka galonów wody.

— Włóżcie płaszcze! — wrzeszczał. — Chodźcie do pomp!

X

1

Tej nocy wpadli w najstraszliwszy sztorm, jaki pamiętał Perouse. „Spindrift” jak szalony pędził z wiatrem. Wszyscy na pokładzie walczyli o statek, popychani jakimś upartym postanowieniem pozbawienia morza jego zdobyczy. Zastarzało spory i zawiści uleciały z wiatrem. Maclise zapomniał o swych krwa-

wiących rękach i wraz z Mike'em starał się zatkać dziurę w ładowni. Pocisk uderzył w dolną część statku i pomimo wielkich wysiłków nie byli w stanie powstrzymać wdzierania się wody. Po twarzach spływał im pot, a ubrania lepiły się jak wosk do rozgrzanych ciał. Przy pompach Vivian i Julia pracowały z dwoma Kanakami; płeć i kolor skóry nie miały znaczenia w tej walce ze śmiercią. Ich słabe ciała padały prawie z wysiłku. Ręce bolały, a na plecach czuły coś niby uderzenia batów. Sprzeczka, jaka wynikła między nimi, została zapomniana. Ważne było tylko jedno: utrzymać się przy życiu.

Panowała nieprzenikniona ciemność, gęsta, czarna, wisiała przed nimi jak kotara. Każdy pracował w swoim własnym świecie, odcięty od jakiegokolwiek widoku jak ślepy. Niemożliwością było utrzymać jakieś światło na pokładzie. Wściekłość wiatru i morza powiększały dziesięciokrotnie panujące ciemności. Statek niby wielki potwór, któremu wyjęto oczy, pozostawał na łasce żywiołów.

Około dziesiątej zaczęły się błyskawice. Jedna za drugą oświetlały wodną pustynię. Deszczu nie było.

Regan stał przy sterze. Pragnął, jeżeli mu się uda, zwrócić statek wprost na wiatr. Ale musiałby wówczas zmienić kurs. Czy mógł choć na chwilę zaryzykować ustawienie „Spindrifta” bokiem do fali? Gdyby miał choć najmniejszą szansę, odważyłby się na to. Uparcie trwał na stanowisku, pozwoliwszy Perouse'owi przywiązać się do steru w przerwie między uderzeniami fal.

Ktoś potykając się szedł przez pokład, rozciągnął się jak długi i chwycił za nogi Perouse'a, chcąc się podnieść. Był to Maclise. Stał wreszcie, wypływając wodę. W świetle najbliższej błyskawicy zobaczyli jego bladą twarz, w której oczy świeciły wściekłością na Boga i morze.

— Zatkana... dziura... nie na długo — wyjąkał, ciężko dysząc. — Co za piekło...

— Nie zmieniajcie kursu — wrzasnął Perouse, chcąc go przekrzyczeć. — Regan, nie możecie... Zatonie...

Ściana wodna podniosła się i opadła. Kiedy ustąpiła, Maclise spytał: Gdzie Mason? Przyszedł... tu ze... ze mną. Błyskawica ukazała im, co zostało po Masonie. Ostatnia fala uniosła go wysoko i cisnęła głową o główny maszt. Woda go zabrała, żeby rzucać nim swawolnie całymi tygodniami, zanim nareszcie, czarny i spuchnięty, pograży się w Morzu Chińskim.

— Zdaje mi się, że już wszystko stracone — jęknął Perouse. — A jak tam przy pompach? Czy dziewczęta wytrzymają?

Wybrał odpowiednią chwilę, aby zwrócić do pomp. Na jego okrzyk odpowiedziały obie kobiety i Kapeke.

— Wszystko bezpieczne? — wołał. — Czy tam wszystko w porządku?

— Ororo zginął — doszedł go żałobny głos Kapeke. — Tak samo źle z Perauti.

— Przekleństwo! — wołał Perouse. — Chodźmy lepiej zagrać w karty.

Kapeke, zostań przy pompach! Dobry z ciebie chłopak.

— Perauti także, Julia zmęczona. Nie pompować już.

— Co?

Dobrnął przez wodę do Julii. Przy świetle błyskawicy zobaczył ją, leżącą jak kupka szmatek. Włosy opadały jej na ramiona. Twarz ukryła w drżących dłoniach. Perouse nachylił się i dotknął jej ramienia, ale się nie poruszyła.

— Proszę wstać — nalegał. — To niebezpiecznie siedzieć tak, nie trzymając się.

Ale nie podniosła się. Poprzez huk i zgiełk burzy słyszał jej jęki, które świadczyły, że znajdowała się w szponach panicznego lęku.

Rozległ się okrzyk. Za nim stał Maclise.

— Julio!

Na dźwięk tego głosu odsłoniła oczy, a Maclise na chwilę ujrzał zbielełą, przerażoną twarz. Klang, klang — śpiewały pompy; Vivian i Kapeke nie ustawiali w pracy.

— Wstań, Julio! Co się stało?

— Jest w szoku — postawił diagnozę Perouse. — Sprowadź ją na dół, jeżeli możesz.

Powrócił do Regana, a Maclise czekał na następną błyskawicę, żeby chwycić Julię pod ramiona. Kiedy jej dotknął, pisnęła i skurczyła się, w chwili gdy „Spindrift” zatoczył się pod naporem wału wodnego.

— Julio? Co ci jest? Chodź, daj rękę!

— Nie mogę! Nie mogę! Sprowadź mnie na dół! Nie chcę tu zostać! Nie chcę!

— Julio! Spójrz na Vivian. Ona się nie boi.

— Nie mogę. Morze mnie zabierze. Tak, zabierze mnie Nie mogę tu zostać!

— Bądź teraz cicho — powiedział ostro. — Jeżeli utrzymamy statek na wodzie, mamy szansę. Ten wiatr nie może trwać

długo. Morze już nie jest takie wściekłe, jak było. Głowa do góry. Pomóż Vivian. Patrz, jaka ona wytrzymała.

W odpowiedzi zarzuciła mu ręce na szyję i wrzasnęła wniebogłosy, kiedy fala przeleciała przez nich oboje. Uścisk jej omal nie udusił Maclise'a.

Rozpaczliwie starał się uwolnić i potrząsał nią gniewnie. Ze strachu odchodziła prawie od zmysłów. Doszedł więc do wniosku, że musi ją sprowadzić na dół.

— Chodź — postanowił. — Vivian, Kapeke... pracujcie dalej. Zaraz wrócę.

Objął Julię ramieniem i udali się ku lukowi schodów. Z wielkim trudem sprowadził ją na dół do mesy, gdzie paliła się jeszcze lampa, kopiąc porządnie. Znalazłszy się na dole, Julia osunęła się na skrzynię i siedziała tam, jęcząc i krzycząc. Maclise odgarnął jej z oczu mokre włosy i spojrzał na nią ze złością.

— Wypij trochę wódki. Ja nie mogę tu zostać!

— Nie zostawiaj mnie samej! Rozeźmiał się z goryczą.

— Myślisz, że mam czas do stracenia?

— Wracasz do Vivian!

Więc mogła być zazdrosna nawet w takiej chwili! Cierpliwość Maclise'a wyczerpała się.

— Idiotko, za chwilę wszyscy możemy nie żyć! Idę do pomp! Oto gdzie powinnaś być, zamiast jęczeć, że się boisz.

— Nie rozumiesz...

— Rozumiem. Myślisz, że jest wśród nas choć jeden, kto by nie był śmiertelnie przerażony? Ja... Regan, Vivian, wszyscy się boimy, ale wszyscy staramy się wytrwać. Nawet Kapeke nie jest tchórzem.

— Ośmielasz się tak mnie nazywać?

— Tak, ośmielam się! Odchodzę!

Był już w połowie schodów, gdy usłyszał jej głos, chrapliwy i piskliwy zarazem.

— Gdyby to ona się bała, nie straszylbyś jej jeszcze więcej. Byłbyś...

— Och, zamilcz! — huknął na nią i wyszedł na pokład, w burzę. Kobiety! Wybierają sobie odpowiednią chwilę na zazdrość i uczuciowość. Żadnego poczucia odpowiedzialności i taktu. Co teraz znaczyło wszystko poza statkiem? Maclise wpadł na słup i trzymał się go, czekając na błyskawicę, która by mu oświetliła drogę do pomp. Gdy nareszcie się tam dostał, siły

Vivian były już na wyczerpaniu. Kazał jej wypocząć i zabrawszy się do pracy, kłął na szlochającego Kapeke.

— Jesteś babą, Kapeke. Nie potrafisz zachować się jak mężczyzna? No, dalej, pracuj, bałwanie! Dalej!

Jak długo pracował, nie umiałby powiedzieć. Gdy Kapeke już nie miał sił, Vivian zajęła jego miejsce, pompując, pompując, aż Maclise dał chłopcu szturchańca i zmusił go ponownie do pracy, nie zwracając uwagi na jego wrzaski. Nerwy Kanaka były rozstrojone burzą, stratą towarzyszy, a głównie ciemnością, która prymitywnych wyspiarzy napawa największym strachem. Po Mike'u ślad zaginął. Był na dole w ładowni, starając się nie dopuścić wody do wnętrza statku. Była to robota głupca, jak twierdził, drepcząc w wodzie w zupełnej ciemności. Miotał się, walczył z żywiołem, po czym opuszczał ręce i kłął, aby po chwili znów powrócić do pracy. Wkrótce przyszedł doń Kape-ke, przysłany przez Maclise'a z zapytaniem, czy się na coś nie przyda. Z chwilą gdy już nie widział przed sobą morza, Kanaka nie bał się już tak bardzo. Przedostał się do Mike'a i razem wzięli się do roboty. Z oderwanych uwag Kapeke Mike domyślił się, jak stoją sprawy na pokładzie.

— Wszystko umrzeć prędko — mówił Kapeke, trzęsąc się. — Jemu fala zjeść „Spindrift”. On Regan mocny, a morze jemu zanadto mocne.

Ale siły Regana wyczerpywały się. Był przemoczony do nitki, a uderzenia fal wymłóciły mu każdy mięsień, doprowadzając go do śmiertelnego osłabienia. Zesztywniałymi palcami sięgnął po nóż i odciął sznur, którym przywiązany był do koła sterowego. Działo się coś, co wywoływało w nim paniczny lęk, „Spindrift” nie trzymał się fali jak dotychczas. Wypadł z rytmu. Po nachyleniu pokładu Regan poznał, że dziób statku znajdował się zbyt nisko. Uchwycił się mocno steru i czekał na błyskawicę.

Przyszła; wtedy Regan przebiegł pokład do miejsca, gdzie stał Perouse.

— Idźcie na dół. Powiedzcie im... na dół... że zaraz... zmieniamy kurs...

Wyczuwacie?

Trzęsący się nieregularnie pokład wywoływał mdłości.

— Chodźcie! — powiedział Perouse. — Chodźcie prędko! Zaraz. Idę... przeciąć szoty...

— Maclise! Maclise! — wrzeszczał Perouse, a wiatr porywał

jego głos jak jedwabną nitkę. Ale chociaż Maclise nie słyszał, poznał po złowróżbnym drganiu statku, co musi nastąpić. Bez słowa puścił pompę. Chwytał Vivian, przerzucił ją sobie przez ramię i potykając się, skierował się ku klapie schodów w chwili, gdy Perouse się odsunął. Zatrzasnęli klapę, zeskoczyli jednym susem i pozostali tam, gdzie upadli, przemoczeni i wyczerpani do ostatka.

Na górze Regan zaciskał zęby i posuwał się coraz wyżej, z uczuciem zdziwienia, że każdy ruch nie jest ostatnim. Spojrzawszy poprzez ramię, zobaczył w świetle błyskawicy w odległości kilkuset metrów dwie fale z rodzaju tych olbrzymów, jakie powstają w długich odstępach czasu podczas burzy. Zbliżały się, kolosalne, groźne, nabrzmiałe zniszczeniem.

— Boże, zmiotą nas! — powiedział Regan głośno.

Statek zataczał się niezdarnie, beznadziejnie, obciążony wodą, której już nabrał sporo. Zbliżała się pierwsza fala, Regan powstrzymał oddech. Czy statek wzniesie się na jej grzbiecie? Czy się wzniesie?...

Nie mógł. Próbował, starał się dzielnie, jak dobry pracownik, którym był zawsze, ale fala pochwyciła go. Tył podniósł się, a bok pochylił. Statek zaczął się zanurzać. Pokłady zniknęły pod wodą. Regan na wysokości dwunastu stóp czuł> jak woda zalewa mu uda. Tkwił tam, chcąc ratować życie, podczas gdy nad jego głową huczał gniew morza. Pomyślał: — Wszystko skończone! — Przez sekundy, które wydawały się wiekami, „Spindrift” znajdował się na krawędzi wieczności. Potem jakoś się wyprostował, potykając się jeszcze i pochylając z lekka na lewo. Jeden szczęśliwy ułamek chwili pozwolił mu zwrócić się w stronę nadciągającej fali i znaleźć się na jej grzbiecie, aż się przetoczyła. Regan spojrział w dół. Żelazne pręty były zrównane z deskami pokładu, jak gdyby ktoś wziął nóż i równiutko je obciął. Dziwne, że pokład nie zawalił się pod ciężarem wody.

Regan, tnąc szoty całą siłą, jaka pozostała mu w rękę, powtarzał idiotycznie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy: „Za nimi, cowboynu! Za nimi!”

Jakoś wreszcie skończył swą robotę. Czuł się tak, że mógłby płakać z osłabienia. Po czym, nagle zobojętniały na to, czy morze go pochłonie czy nie, ześlizgnął się na pokład i na czworakach popęzł ku klapie schodów.

Te olbrzymie wały wodne były kulminacyjnym punktem burzy; od tej chwili zaczęło się uspokajać. Była prawie trzecia nad ranem. Regan, potykając się, dotarł do ciemnej jadalni. Lampa już się nie paliła. Wszędzie czuć było wilgoć. Tak jak gdyby ogrom wody, przytłaczającej okręt, kiedy ten zmieniał kurs, torował sobie drogę do wnętrza przez każdą szparę i szczelinę, jaka się znalazła.

— Perouse! — zawołał Regan w ciemnościach. — Perouse! Maclise!

Jakiś zmęczony głos spytał:

— Co to było, u diabła?

— Minęła ładna noc, prawda? — zażartował Perouse. — Dalibóg, myślałem, że już po nas.

Ziewnął. Był śmiertelnie znużony.

— Czy bezpiecznie jest wyjść na pokład?

— Nie.

— Co się tam stało? — spytali Perouse i Maclise jednocześnie.

— Powinniście zobaczyć pokład — odrzekł z wolna Regan. — Nie została ani jedna rzecz, ani jedna. „

Zapanowało milczenie pełne przerażenia. Wreszcie Perouse odważył się spytać.

— Koło sterowe?

— Zmyło. Nadbudówkę — zmyło.

— Och, nie! — doszedł żalony głos Julii. — Och, Regan, nie!

— Dosyć — uciał. — Czy nie słyszysz, co mówię? I przestań jęczeć. Dlaczego nikt nie zapala tej przeklętej lampy?

Ale nikt się nie poruszył. Tylko Regan kręcił się niespokojnie, tak że ktoś zaklął, gdy nastąpił na wyciągnięte nogi. Julia nie przestawała płakać, co szarpało nerwy mężczyzn. Strasznie bała się śmierci. Nawet wówczas, kiedy Maclise zaklął i to takim tonem, jakiego nigdy przedtem nie słyszała, nie przestała szlochać. Regan spytał: — Gdzie Vivian? — A Maclise odpowiedział: — Przyprowadziłem ją tutaj.

Obejmował ramionami jej skurczoną postać. Sam wsunął się między jedną dobrze umocowaną skrzynię a drugą, opancerzoną żelazem, o którą mocno opierał nogi zgięte w kolanach. Zabezpieczony w ten sposób, do pewnego stopnia, przed kołysaniem statku, trzymał mocno Vivian, obejmując jedną ręką jej

kolana, drugą — ramiona. Wtuliła się w zagłębienie, utworzone przez jego zgięte ciało, jak śpiące dziecko, oparłszy głowę o jego ramię. Na dźwięk swego imienia odezwała się wolno:

— Co się teraz stało? Doznałam takiego uczucia, jak gdyby ktoś wyrzucił nas przez okno.

— Gdzie jest Mike? — spytał Regan zaniepokojony.

— Kapeke właśnie dopiero co go przyniósł. Rozbił sobie o coś głowę. Ale nic mu nie będzie.

— Nie możecie skądś wydostać światła?

Byli tak zmęczeni, że głosy ich nie brzmiały głośniejsz od szeptu. Nikt już nie miał sił. Nawet Kapeke, przycupnąwszy w kącie, trzymając głowę Mike'a na kolanach, milczał. Perouse zasnął, wyciągnąwszy się jak długi na podłodze, głuchy na jęki Julii i przekleństwa Regana.

Teraz nie pozostawało nic innego jak czekanie. Choć Regan nie powiedział im, że ster był stracony, domyślili się tego. Całkowicie zdany na łaskę wiatru i morza „Spindrift” musi dryfować, aż się skończy sztorm. Czy statek go przeżyje czy nie — to było pytanie, którego nikt nie ośmielił się ująć w słowa. Zdawało się, że nic już nie mogło ich poruszyć. Wilgoć, niewygoda, złowrogie pochylanie się statku na lewo, wszystko było niczym, dopóki ich ciała znajdowały się poza zasięgiem morza. Powietrze w mesie stawało się stęchłe i ciężkie, ale oni nie czuli tego. Skrajne wyczerpanie narzuciło milczenie nawet Julii. Głuchy łoskot fal słyszało się bezustannie, statek podnosił się i opadał, kołysząc ich do snu. Zrobili tak wiele — a teraz już nic nie pozostało do zrobienia. Od czasu do czasu któreś z nich poruszyło się i zupełnie rozbudzone, nasłuchiwało. Po czym, wbrew woli, głowa osuwała się na piersi i znów zapadała w otchłań snu.

Tylko Maclise zachował czujność. Przeżywał ciągle na nowo tę godzinę przy pompach, kiedy pracował razem z Vivian. Jak dzielny chłopiec spełniała swoje zadanie, wysunąwszy uparty podbródek, z nieustraszonym wyrazem zalanych wodą oczu. Podziwiał siłę jej ramion i dłoni. Odważna, mała bestyjka! Śmiała bestyjka! Przypomniawszy sobie zachowanie Julii i zmarszczył brwi. A jednak przed sześcioma miesiącami był zakochany w Julii; kombinował, jak uchwycić chwilę, kiedy mógłby być z nią sam na sam; snuł niezliczone projekty wystrychnięcia na dudka Charlesa Huntera, wykradzenia mu tego, czego nie mógł zabrać siłą. Zdumiewała go jego własna niestałość. Ale nie

usiłował oszukiwać sam siebie. Maclise przekonał się już dawno, że żaden wróg nie mógł go znać lepiej, niż on znał siebie. Kochał Julię, a teraz przestał ją kochać. Kiedy płakała i urządziła scenę przy pompach, wzbudziła w nim złość i obrzydzenie. Jednakże, czego oczekiwał, znając ją tak dobrze? Ach, dosyć! Co, ostatecznie, wiedział o niej prócz tego, że działała mu na zmysły, jak przedtem kilka innych kobiet. Powab jej ciała uczynił go ślepym na jej wady, lub może raczej widział je, ale nie zwracał na nie uwagi, spragniony tylko jej namiętnych ust, jej gładkich pleców i silnych białych ramion, które przyciągały jego głowę, tuląc ją do kształtnych piersi.

Siedząc tak i obejmując Vivian, przypomniał sobie pewną noc... tak, i jeszcze inną... nocie kradzione, kiedy niebo i ziemia łączyły się dla niego w tej kobiecie, którą przed dwiema godzinami nazwał idiotką i tchórzem.

Rozprostował niecierpliwym ruchem swe skurczone ramiona i Vivian poruszyła się.

— Cicho... cicho... — szepnął.

— Co to jest? Co się teraz stało?

— Nic — odrzekł łagodnie. — Niech pani stara się zasnąć. Nie kołysze nawet tak bardzo. Wkrótce się rozwidni.

— Vivian — odezwała się Julia rozdrażnionym głosem. — Gdzie się podziewasz? Chodź tu! Jesteś mi potrzebna.

Maclise zacieśnił swój uścisk.

— Niech się pani nie rusza — szepnął.

— Vivian! Niech pani tu przyjdzie!

— Och, daj jej spokój — odrzekł Maclise. — Ona już prawie śpi.

Julia roześmiała się na te słowa ostrym, przeraźliwym śmiechem, w którym nie było wesołości.

— Właśnie! To bardzo prawdopodobne!

Zerwała się i zaczęła obchodzić jadalnię. Co oni robili, ta para? Co Maclise szeptał tej dziewczynie? Ach, musiała się znajdować bardzo blisko niego.

Prawdopodobnie on ją obejmuje. Dobrze, ona, Julia, zaraz im pokaże — pokaże im...

Nastąpiła na czyjaś nogę i Regan rzekł:

— Co pani robi? Niech pani sobie gdzieś usiądzie. Czego pani chce?

— Chce mnie — odezwał się Maclise z ciemności.

Regan chwycił Julię za rękę i zmusił do tego, ażeby usiadła i siedziała spokojnie.

Czas mijał, wlokąc się niechętnie ku porankowi. Julia nie odzywała się więcej. Siedziała milcząca i wściekła, podczas gdy myśli jej wirowały w mózgu jak oszalałe ptaki. Przecież przed sześcioma miesiącami — przed trzema — przed miesiącem — nie było dla Maclise'a nikogo na świecie poza nią. A teraz była niczym. Po raz pierwszy w życiu to ona została porzucona, choć dotychczas porzucanie było jej przywilejem. W przeciwieństwie do człowieka, który był jej kochankiem przed pojawieniem się Vivian, Julia nie chciała pogodzić się z prawdą. Było nie do uwierzenia, żeby jakiś mężczyzna odwrócił się od niej dla tej bladej, smukłej dziewczyny o jasnych oczach. Gorzka uraza, przepełniająca jej duszę, dominowała nad niepokojem tej godziny przedświt. Julia nie spostrzegła nawet światła, które wreszcie zaczęło się sączyć przez szczeliny i szpary. Nawet gdy Regan wstał i odrętwiałym krokiem skierował się ku schodom, nie spostrzegła tego. Dopóki światło bladego świtu nie trysnęło przez otwartą klapę, nie zwracała żadnej uwagi na to, co się wokół niej dzieje.

Regan wołał, że burza minęła. Wiatr stracił na sile i zmienił kierunek na wschodni. Fale były jeszcze duże, ale nie były już w „Spindrifta” z taką gwałtownością.

— Nie jest tak źle — rzekł Regan, cofając głowę i schodząc w dół. — Nie jest tak...

Zatrzymał się na widok tego, co Julię porwało na nogi. Vivian spała w objęciach Maclise'a. Leżała w niedbałej pozie osoby do cna wyczerpanej, z głową odrzuconą na ramię Maclise'a, w sukni porwanej na strzępy. Regan pomyślał: Jak on śmiał? — A Julia myślała: To mnie powinien tak trzymać. Maclise obserwował ich tryumfującym i złośliwym spojrzeniem.

XI

1

Około południa wiatr stał się zaledwie powiewem, a morze nabrało tego niewinnego wyglądu, który stwarza wrażenie, że rozpoczyna się szereg cichych, spokojnych dni. Perouse rozsypał tytoń, ażeby sechł na słońcu. Był właśnie na obchodzie

inspekcyjnym i przekonawszy się, że stracili ster, nie szczędził gorzkich uwag. Żywił pewną nadzieję, że może jeszcze się trzyma — choć na nitce, jak to się mówi. Jego zmartwienie było tak widoczne, że towarzyszący mu Kapeke cofnął się czym prędzej i unikał go przez pewien czas, tak jak gdyby to nieszczęście było przypisywane jemu. Perouse usiadł, oparłszy się plecami o maszt, i głośno wyrażał swoją opinię o burzy, o francuskiej kanonierce, utracie steru, zwilgotnieniu tytoniu i głupocie, z jaką człowiek przypuszcza, że jest coś pewnego na tym krwiożerczym świecie.

Wkrótce podszedł do niego Mike, blady i drżący, z czołem obwiązanym kawałkiem starego płótna. Ręce mu się trzęsły, a głos miał dziwne brzmienie. — Ta dziura jest porządnie załatana — odezwał się, siadając. — Byłem na dole, żeby popatrzeć. Trzyma się, choć nigdy bym nie przypuszczał. Niektóre skrzynie stłoczyły się tak, że jedna weszła w drugą. Przekłęta praca! — Wyglądał na bardzo zmęczonego. Wyraz oczu miał mętny.

Perouse jęknął:

— Mówisz, że porządnie się napracowałeś! Skrzynie! Tak, broń będzie w ładnym stanie, kiedy dopłyniemy do Rapuhi.

— Myślicie, że dopłyniemy?

— Jeszcze nie tak prędko. O ile wiem, prąd nas niesie w stronę archipelagu Aoronoto. Nie ma tam nic do zabrania, ale jest przynajmniej- suchy ląd. Jeżelibyśmy mogli tam wyjść na brzeg i podreperować trochę statek, może kiedyś dopłyniemy do Rapuhi.

— Jak wyglądają te wyspy Aoronoto?

— Zwyczajnie, jak wyspy. Palmy i tak dalej. Nie byłem tam już od lat. Zabawne, że ostatnio znalazłem się tam też podczas burzy. Nie, nie takiej, jak nasza dzisiejsza. Ale dostatecznie silnej. Było to na „Merry Maisie” — starego kapitana Hannofo- da — wsadziliśmy go dziobem na jakieś podwodne skały. Stary zszedł na dół zobaczyć, co się da zrobić. Cokolwiek by zrobił, na nic by się to nie zdało. Była to dziwna dziura — okrągła jak iluminator. — „Do diabła — mówi — wkrótce nas piekło pochłonie. Dajcie mi pomyśleć. Wy tam, Kanaki — mówi dalej — swoją drogą musicie wypompować wodę”. Potem spojrział na nich w zamyśleniu, a później na otwór. — „Do pioruna — wrzasnął — tu trzeba by jakiegoś szpuntu”. Z tymi słowami chwytą z tyłu jednego z chłopców okrętowych i wpycha go

nogami naprzód do otworu, aż po sam pas. Jeszcze widzę tego Kanaka — wtłoczonego w dziurę. Nie mógł wyjść, bo szczelnie „przylegał” ze wszystkich stron. Czy wrzeszczał? Nigdy nie słyszałem podobnego krzyku. Ale stary trzymał go tam, dopóki nie dotarliśmy do Pauketi. Trwało to dwa dni.

— Dojechał żywy?

— Ledwie, ledwie zipsał. Dłużej by nie wytrzymał. Stary kapitan musiał kazać odpiłować deski, żeby go wyciągnąć. Nie mógł już nigdy chodzić. Ale był dumny! Najdumniejszy w całym Pauketi. Kapitan zaopiekował się nim. Ostatnio słyszałem, że wożą go po całej wyspie w dzieciennym wózku, ubranego w cylinder i niebieską muślinową bluzę, a za nim kroczy siedem żon, gotowych na każde jego skinienie. Tak.

Mike zachichotał ochryple.

— Przeżył pan dużo dziwnych rzeczy. Perouse potwierdził:

— Aha. Ale żadna z tych przygód nie była tak dziwaczna jak obecna. Nie ze względu na sam rejs ani ładunek, ani burzę ubiegłej nocy. Ale ze względu na ludzi. Spójrz na nich. Przyjrzyj się nam wszystkim. Więc Regan — zawadiaka, człowiek, który mówi przy pomocy pięści. I Maclise — ach, nie lubisz go. Ale on jest mądry, Mike. On walczy rozumem, a to jest najtwardsza walka.

— Jest mądry — tak.

— Ale nie jest dość mądry, żeby trzymać się z daleka od kobiet. Mężczyzna, który to potrafi, może zawładnąć ziemią, jeżeli tego pragnie. Jednakże takich nie spotyka się często. Prawie każdy myśli o jakiejś dziewczynie, a z tego często wynika dla nas piekło...

Splunął znacząco.

— Następnie... ty — ciągnął dalej. — A kim ty jesteś? Młodym głupcem, który oszalał dla kobiety, traktującej go jak ścierkę. A Julia? Jaka jest ona? Zazdrosna, czy słyszysz? Wiem, że ją kochasz, ale to marna kreatura, Mike. Siadaj! Siadaj, ty młody głupcze!

Mike stanął w ogniu. Jego zaciśnięte ręce wystukiwały nerwowy rytm na obciążonej trykotem piersi.

— Następnie... Vivian — mówił dalej Perouse. — I według mnie, jeżeli przytrafi nam się jeszcze jakieś nieszczęście, to już za jej sprawą. Jednak jeżeli musisz być zakochany, Mike, spróbuj zakochać się w takiej dziewczynie jak ona,

w dziewczynie jeszcze nie zepsutej i miłej. Ale też słońce piecze!
Lecz Mike miał dosyć. Podniósł się sztywno i odszedł. Rekin płynął za statkiem. Jego szare płetwy widać było w odległości jakichś dwudziestu metrów. Mike zadrżał, przypomniawszy sobie powiedzenie, że rekiny czują krew, zanim zostanie przelana. Co ich jeszcze czekało w przyszłości? Bezpośrednie niebezpieczeństwo nie groziło w tej chwili ani ze strony morza, ani wiatru. Było prawdopodobne, że wkrótce dopłyną do wysp Aoronoto. Jeżeli będą mogli przybić do brzegu i naprawić wszystkie uszkodzenia, uda im się wkrótce dopłynąć do Rapuhi.

Ale tymczasem?

Prawdą było to, co mówił Perouse o ludziach na statku; przez nich wszystko wydawało się takie dziwne. Prawie jak w teatrze — myślał Mike, szarpiąc nerwowo bandaż. Ten rekin! Ciągle trzymał się statku-inwalidy, statku, który kiedyś był tak dumny.

Ktoś z nas dostanie mu się - pomyślał Mike. — Mam nadzieję, że to będzie Maclise.

Mike zrozumiał rdzeń tragedii, rozgrywającej się w ciągu tych wolno wlokących się godzin. Dopóki Maclise kochał Julię, chłopiec zwalczał w sobie zazdrość, która chwyta za gardło, gdy kochający mężczyzna widzi zwycięstwo rywala. Chociaż Mike był nieokrzesany i nie posiadał wykształcenia, miał tę dzielność zwaną zaparciem się siebie, która pozwalała mu stawiać szczęście innych ponad swe własne. Cierpiał męki trudne do zniesienia w jego wieku, gdy widział Julię z Mac-lise'em. Ale dopóki ona miała to, czego pragnęła, dopóki ona była szczęśliwa, znosił to wszystko ze stoicyzmem rzadkim w jego wieku.

Obserwował Julię tak, jak nie mający nadziei kochanek bada kobietę, która nigdy nie będzie należała do niego. Wiedział o niej więcej, niż Maclise mógłby dowiedzieć się kiedykolwiek.

i widział, że Julia kochała Maclise'a i dbała o niego tak, jak nie dbała nigdy o Huntera, Shottery'ego lub kogokolwiek innego. Czy dlatego, że nigdy nie była pewna Maclise'a? Czy zawsze wiedziała, że pewnego dnia zawiedzie się na nim? Może to właśnie trzymało ją — obawa, że nadejdzie dzień, kiedy...

I nadszedł. A Mike, obserwując i czekając na burzę, która musiała wybuchnąć, drżał z nerwowej niecierpliwości. W stosunku do Maclise'a odczuwał wolno wzbierającą, ale silną

urazę, która pewnego dnia musi zmienić się w trawiący płomień. Niech diabli porwą tego łajdaka! Jak śmiał odwrócić się od Julii? Mike zagryzł wargi, żeby powstrzymać łzy cisnące się do oczu na myśl o tym, jak nieszczęśliwa musi czuć się Julia...

Zszedł na dół i zastał ją siedzącą spokojnie w pustym kam-buzie. Oczy miała wlepione w ścianę, popstrzoną tłustymi plamami tworzącymi ciemne smugi. Nie podniosła głowy, kiedy wszedł, więc stał chwilę, patrząc na nią. Co zamieniło ją w kamień? Zmartwienie? Złość? Widział, że zachodzi tu pewnego rodzaju przesilenie. Miała jakiś dziwnie kamienny wyraz twarzy, który go przeraził.

— Julio!

— Odejdź odepchnął go ochryply głos. — Odejdź, Mike. Ale nie zrobił tego. Przebiegle zsunął bandaż opasujący mu głowę. Stał i niezdarnie starał się go poprawić, aż wreszcie Julia podniosła oczy i spojrzała na niego.

Co jest? Chodź tutaj. Musiałeś koniecznie go ruszać? Posłusznie podszedł do niej i ukląkł. Palce jej zajęły się wiązaniem węzła. Czuł jak dalece mechaniczne są jej ruchy. Kiedy wreszcie powiedziała „już” i lekko przyklepała supełek, Mike nie podniósł się. Zwrócił ku niej twarz i patrzył na nią zaniepokojonym wzrokiem.

— Julio!

— No?

— Och! — jęknął Mike rozpaczliwie. Ujął jej dłoń w swoje niezgrabne ręce i położył ją sobie na policzku.

— Nie mogę powiedzieć, czego chcę. Nie potrafię mówić. Julio, co mogę dla pani uczynić? Co pani chce, żeby z nim zrobić?

Czuł, jak sztywnieje.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Wie pani. O Maclisie.

— On jest niczym. Nie obchodzi mnie...

— Ach, niech pani nie stara się tego ukryć. Powinno się go zastrzelić, zabić.

— Mówisz głupstwa.

— Dlaczego pani jest taka blada? Co się stało? Czy to z powodu statku? Regan zamierza użyć wiosł. Nie jest jeszcze z nami dobrze, ale jednak...

- Co mnie obchodzi statek? Nie chcę dopłynąć do lądu. Żałuję, że nie zatonęliśmy zeszłej nocy.

— Niech pani tak nie mówi!

— Dlaczego nie? Na czym ma mi teraz zależeć?

— Więc jednak coś zaszło. Gdzie jest Maclise?

— Przed chwilą był w mesie.

— Tak? Sam?

— Z nią. Nie widział, że ich obserwuję. A może widział. Nie wiem. Ale ona tam była i on stanął za nią. Chwytał ją za przeguby rąk i zarzucił je sobie na szyję. To jest jego sztuczka. Pocałował ją. Potem odszedł. Tylko to. To jest wszystko. Ona pozwoliła na to.

Mówiąc, prawie nie pamiętała o Mike'u. Raczej sobie niż jemu opowiadała, co widziała. Ile razy Maclise robił to z nią?! Zdawało jej się, że czuje dotknięcie jego rąk, gdy stawał za nią, dotknięcie rąk ześlizgujących się po ramionach aż ku piersiom.

— Pozwoliła na to — powtarzała Julia monotonicznie. — Pozwoliła na to. Ona go lubi. Ale co to cię obchodzi, Mike? Wstań.

Chłopiec nie usłuchał. Twarz jego była ukryta, ale Julia czuła konwulsyjny chwyt palców koło swych kolan i widziała, jak ramiona jego podnoszą się pod podartą koszulą. Coś podobnego do współczucia skłoniło ją do delikatnego położenia ręki na tej skołtunionej głowie.

— Nie bądź głupi. To nie ma nic wspólnego z tobą.

— Owszem, ma — odezwał się stłumiony głos. — Ja panią tak kocham! Ja panią tak kocham!

Przez chwilę rozmyślała. Tutaj leżał miecz gotowy do użytku. Ujęła w dłonie spuszczoną głowę chłopca i zwróciła ją ku sobie. Ale Mike nie podniósł oczu.

— Dlaczego mnie kochasz? — spytała miękko. Byłam dla ciebie niegodziwa, Mike.

— Mniejsza o to. To nieważne.

— Owszem. Przykro mi.

— To nie pani wina.

— Mike, dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

— Myślałem, że pani wie. W każdym razie wiedziałem, że nie mam żadnych szans. Zawsze był Maclise.

— Teraz go już nie ma — rzekła z goryczą.

— Jest. Pani go kocha.

— Nie.

— Julio, nie kłam. Mnie nie oszukasz.

— Wcale cię nie oszukuję. To prawda. Kiedy go przed chwilą zobaczyłam, coś mi w sercu zamarło. Kachać?! Nie kocham go. Czy myślisz, że jakaś kobieta może kochać mężczyznę, który ją oszukuje? A on mnie oszukuje. Powiedział mi, że chce ją zdobyć razem ze statkiem. Powiedział mi, że z nią prowadzi tylko grę, potrzebną mu do innych celów. Kłamstwo! On ją kocha. I tak samo Regan, jak sędzę. Obaj kochają się w tej dziewczynie.

— Julio! Julio...

— Nienawidzę go! Nienawidzę jego widoku. Jeżeli wszyscy wyjdziemy cało z tej przygody, zapłaci za to, co zrobił. Tak samo ona. Ona wiedziała. Wiedziała, co robi, kiedy pozwoliła mu się całować!

— Julio...

— Zapłacą za to oboje — mówiła Julia zimnym, martwym głosem, którego głęboka gorycz przejęła Mike'a zdumieniem.

— Ale w jaki sposób? Co pani robi?

— Cóż mogę zrobić? Kobiety to biedne stworzenia, Mike. Tu porzebny jest mężczyzna.

— Mężczyzna...

Szybkim ruchem pochyliła się naprzód, tak że twarz jej prawie dotykała jego twarzy. Zbliżyła wargi do jego ucha, szepcząc mu coś, szepcząc długo, aż pobladł, zaczerwienił się i znowu pobladł.

2

Nastąpił istny koszmar, który trwał czterdzieści osiem godzin. „Spindrifft” kołysał się lekko, torując sobie drogę ku wyspom Aoronoto. Był bardzo poturbowany. Trzeba było ciągle wypompowywać wodę. Maclise i Perouse na zmianę rozwijali żagle, o ile to było możliwe, zaś Regan i Mike sporządzili prymitywny ster z długich wiosł. Taki sposób sterowania był ciężką pracą, powolną, mało skuteczną, która wywoływała nieznośny ból pod pachami i zabijała ducha. Nikt nie spał. Nikt nie ośmielał się opuszczać swego posterunku na dłużej niż kilka minut. Obie kobiety robiły, co mogły. W wilgotnym kambuzie gotowały kawę i odgrzewały posiłek dla mężczyzn, kiedy udawało im się na chwilę schodzić na dół.

Humory mieli okropne. Wszystkich wyczerpała długotrwała walka. W każdym sercu tkwił strach przed wzrastającym wiat-

rem. Statek nie oparłby się wzburzonemu morzu. Był bardzo chwiejny po tym, co już przeszedł.

W ciągu tych dwóch okropnych dni głównym bohaterem był Regan. Jego rosłe ciało dobrze znosiło zmęczenie i wysiłek. Klęski hartowały jego du-ha.

Wokół oczu miał czerwone obwódki, głos mu ochrypł, ale Regan wzruszał tylko ramionami i z tępą obojętnością znosił zarówno chłód, jak upał, pragnienie i brak snu. Przez ten cały czas ani on, ani żaden z mężczyzn nie pozwolili sobie na zmruczenie oka. Obydwu kobiet nie widywali prawie wcale, chyba jedynie wtedy, gdy pośpiesznie wpadali na dół, żeby coś przekąsić lub łyknąć whisky; wtedy zastawali w mesie milczącą Julię i bladą Vivian.

Na szczęście wiatr był dalej słaby i morze spokojne. Chociaż to oznaczało wolne posuwanie się naprzód, ale znaczyło też — bezpieczeństwo. Wolno, wolniutko, jak stara, zmęczona śmiertelnie wdowa, włókł się „Spindrift” na północ. Noc i dzień i noc minęły. Wreszcie, w bladym świetle świtu ujrzeli na widnokręgu cienką smugę i ulga, jaką odczuli, przekonała ich, jak dalece byli w strachu. Upał rodzącego się dnia już ich nie obchodził. Pot lejący się z ich ciał, ból każdego ścięgna — wszystko to się nie liczyło. Wobec pewności, że widzą przed sobą ląd, cała ich męka i wszystkie wysiłki gdzieś się rozwiały. Około godziny trzeciej wpłynęli na płytkie wody i zatrzymali się niedaleko najbliższej wyspy archipelagu Aoronoto, po stronie osłoniętej od wiatru. Jest to grupa wysp pochodzenia wulkanicznego, gęste skupisko dwudziestu siedmiu wysepek. Największa ma cztery i pół mili średnicy, a najmniejsza jest skałą, której wielkość nie dochodzi do mili. Kilka jest nie zamieszkanych. Odstąpione Holandii w roku 1893, nie zostały zagospodarowane. Na Hurari znajduje się dom gubernatora. Papalagos, leżącą najbardziej na północ, zajęto na kolonię dla trędownych. Ponieważ łódź ratunkowa została zmyta przez wodę, można było dopłynąć tylko przy pomocy tratwy. Zapowiadało się na przeprawę powolną i uciążliwą. Długie, leniwe fale wtaczały się z głuchym hukiem na brzeg i znów cofały się z bulgotem, co wywołało u Perouse'a kiwanie głową, pełne sceptyzmu.

— Co za szkoda, że straciliśmy łódź — powiedział do Regana. — Trudno, trzeba spróbować tratwy. Ale chciałbym zobaczyć coś, co nie jest mokre. Spójrz na palmy! Nigdy bym

nie przypuszczał, że ucieszy mnie widok palm. Jestem ciekaw, czy na brzegu są kozy?

— Czy myślisz, że uda nam się wydobyć statek na brzeg?

— Wątpię.

— Tak — rzekł Maclise. — Myślę, że musimy to zrobić. Inaczej nigdy nie zdołamy go naprawić.

Wszyscy trzej wpatrywali się w wybrzeże.

— Trzeba wydostać go na brzeg; ja bym to zrobił — nalegał Maclise. — Przypuśćmy, że złapie trochę wiatru? Natychmiast nabierze wody...

— Nigdy nie uda nam się spuścić go znów na wodę.

— Powinno nam się udać.

— Nie — rzekł Regan nagle. --- Nie wyciągnę go na brzeg. Niech zostanie tutaj.

Byli zbyt chorzy, zbyt zmęczeni, żeby się sprzeczać. Wszystko, czego chcieli, to wyspać się i czuć stałą ziemię pod stopami. Nie ogoleni, z zaczerwienionymi oczami, obstawali każdy przy swoim punkcie widzenia, gdy nagle Perouse jakoś się zakręcił i padł na pokład. Nie wstał, kiedy Maclise pochylił się nad nim. Leżał tam, gdzie upadł; okazało się, że zemdlał z wyczerpania.

Regan stanął u wylotu schodów i zawołał. Odpowiedziały mu zaniepokojone głosy kobiet.

— Wyjdźcie na pokład!

Przyszły. Do tej chwili Regan zabronił im wychodzenia na pokład. Jeden nieostrożny krok, jedno pochylenie się statku i można było znaleźć się w morzu. Były blade i wymęczone, wyczerpane świadomością przebytych niebezpieczeństw i obawą przed tymi, które przyjdą. Regan chwiał się nieznacznie.

— Możecie pobyć tu trochę. Ale trzymajcie się z daleka od burty. Inni niech idą położyć się.

— A pan? — spytała Vivian. Spojrzał na nią ostro.

— Co to panią obchodzi? Słyszała pani, co powiedziałem? Trzymać się z daleka od burty.

— Nie położy się pan spać? — spytała Julia.

— Nie.

Nie zrobił tego istotnie. W ciszy, która zapanowała na statku, słychać było, jak się krzątał. Zszedł na dół do ładowni, skąd dochodziły przytłumione uderzenia młotka. Dwa razy wychodził na pokład i mijał kobiety, nie odezwawszy się słowem. Podniósł Perouse'a i zaniósł na dół, w cień. Było gorąco, ale

Vivian nie chciała zejść do mesy. Stała oparta o maszt, pojąc oczy widokiem, jaki roztaczał się w odległości pół mili. Jak dobrze było widzieć coś poza nieskończonością morza! Na wyspie palmy rosły prawie nad wodą. Za nimi, na stoku wzgórza wznosiły się drzewa, paprocie i krzaki pats o jasnopomarańczowych kwiatach. Gąszcz bujnej roślinności pobudził w Vivian chęć zapuszczenia się w głąb wyspy. Kędzierzawe grzbiety fal rozbijały się o pochyły brzeg. Z dala dolatywał ostry krzyk jakiegoś ptaka morskiego. Zdawało się, że na wyspie nie ma ludzi. Na piasku nie było ani jednego katamarana*. Wśród krzaków wydzielających mocny zapach nie unosił się żaden dym.

— Jaka tu straszna pustka — powiedziała Vivian na głos.

— Pustka? — podchwyciła Julia. — Dla pani nigdzie nie ma pustki.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

Julia pochyliła się ku niej. Vivian cofnęła się przed spojrzeniem tych głębokich oczu.

— Nikt, kto ma kochankę, nie jest samotny.

Wargi Julii drżały, gdy to mówiła. Jej bujne włosy były rozpuszczone. Opadały na ramiona, zakrywając purpurowe przybranie sukni. Niecierpliwym gestem odrzuciła je do tyłu, przypomniawszy sobie, jak Maclise zanurzał się twarzą w ten gąszcz, gdy po raz ostatni trzymał ją w ramionach.

— Nie oszuka mnie pani. Widziałam, jak panią całował.

— Czym jest pocałunek? — napadła na nią Vivian. — Nie znaczy to zaraz, że jestem w nim zakochana.

— Pani?! — powiedziała Julia z pogardą. — Czy pani jest, czy nie jest zakochana, to nie odgrywa żadnej roli. Sądzi pani, że ktoś się tu liczy z pani uczuciami? Ale on — Maclise...

— Jeżeli pani myśli, że on mnie kocha...

— Czy myślę? Ja wiem najlepiej. On nie dba o nikogo, prócz własnej osoby. Nie wie, co to miłość. Nigdy nie wiedział. Zależy mu jedynie na jednym — na zadowoleniu. Pani jest młoda. Nie miała pani nigdy kochanka. Myśli pani, że mężczyźnie wystarczy pocałunek w ładną buzię i głaskanie po rękach. Nie, tak nie jest. Mężczyźni zawsze chcą tylko jednego. I zrobią wszystko, ażeby to otrzymać. Wszystko. Znam Maclise'a. Jest on dziwny pod niektórymi względami. Nigdy nie traci czasu na nadszoki-

* Łodzie krajowców.

wanie kobiecie, o ile nie ma w tym interesu. Nie dotyka jej ani nie zawraca sobie głowy flirtem.

— Nie kocham go. Po co pani mówi mi to wszystko? — spytała rozogniona Vivian.

— Czy pani pamięta, co pani powiedziałam kiedyś? Że dojrzała pani do tego, żeby mieć kochanka.

— Jest pani niemożliwa — zawołała Vivian. — Proszę być cicho! Nie ma pani prawa mówić mi takich rzeczy!

— On pragnie pani — mówiła dalej Julia niezrażona. — Ale nie jest zakochany. Miłość dla niego nie istnieje. Nie wie nawet, co oznacza. Ale Julia myliła się. Wiedział bardzo dobrze.

XII

1

Wyciągnęli jednak „Spindrifta” na brzeg. Nie można było go remontować, nie mając dostępu do kadłuba. Tak więc dostali się na ląd na tratwie, przy akompaniamencie soczystych przekleństw Perouse'a, i narąbali drzewa na pale, żeby przygotować dla statku coś w rodzaju doku. Korzystając z przypływu, skierowali statek ku brzegowi i wyciągnęli na podkład z gałęzi, żeby zapobiec zbyt głębokiemu zanurzeniu się w piasek. Ścinanie i piłowanie drzewa zajęło im większą część dnia. Statek skakał i cofał się, jak nerwowy koń, ale wreszcie zmusili go do poddania się ich woli, wydobywając wszystkie siły przy popychaniu go i ciągnięciu, aż znalazł się — ociekający wodą — poza zasięgiem morza. Był zniszczony i wyglądał strasznie nieszczęśliwie, gdy tak stał pochylony na prawo, opierając się o pale, wbite w piasek przez Regana i Mike'a.

Perouse w zamyśleniu odłupywał całe kolonie skorupiaków. Badając uszkodzenia statku, Perouse mrugał oczami, błyszczącymi jak oczy raszki.

— Robota na kilka dni — oświadczył. — Przeklęty ster! Tak, wiem, że żelazo zostało. Och, zdaje mi się, że zdołamy wszystko naprawić, o ile tylko znajdziemy odpowiednie drzewo. O, Boże, spójrzcie. I tu!... Może nie trzeba zatkać tych szpar? Powiedzcie, czy to nie dziw, że płynął jeszcze taki kawał drogi? Powie-

działbym, że to prawdziwy cud! Spójrzcie na ten szew! Spójrzcie na te drzazgi? I na to — i na tamto! Ach, ty cholero, bękarcie zapowietrzony... W przyjaznych słowach wypominał „Spindriftowi” jego zachowanie się podczas ostatniej burzy, zwłaszcza podczas zmiany kursu. Inni nie zwracali na niego uwagi. Byli zajęci skrzyniami w ładowni. Długie, wąskie pudła zostały wyjęte, jedno po drugim, a wieka ich poodbijano, żeby zawartość mogła wyschnąć na słońcu. Niektóre bardzo ucierpiały. Nabywcy w Ra-puhi nie podziękują i nie dadzą wiele za zardzewiałe strzelby i wilgotne ładownice. Na wybrzeżu rozłożona była dziwaczna mieszanina emaliowanych kubków, jaskrawych chustek, sztucznych kwiatów, budzików i męskich półbutów. Oddzielnie leżała broń palna, tworząca złowróżbną grupę w południowym słońcu. Regan zasadził do roboty Kapeke; chłopak wycierał broń naoliwionymi szmatami.

Z resztek żaglowego płótna, pod osłoną wysokiego brzegu, gdzie *frangipani* wydzielał odurzający zapach, wzniesiono namiot dla Julii i Vivian.

— Dlaczego nie mamy spać na statku? — spytała Vivian.

— Tam byłoby niewygodnie — odrzekł Regan sucho. — Widzi pani, jak statek jest przechylony. Wszystko na nim pochyla się. Lepiej wam będzie tu, gdzie jesteście.

— Ale...

— Niech pani posłucha, proszę nie nudzić j nie dyskutować. Nie ma pani o niczym pojęcia. Jedyne sposoby, w jaki pani może nam pomóc, to — siedzieć cicho.

— A jeżeli nie zrobię tego, to będzie pan mną tak potrząsał, jak to raz już pan zrobił?

Spojrzał na nią. Wiatr nawiał jej włosy na twarz, patrzyła na Regana poprzez te rozwiane pasma, jak zuchwały terier. Ręce miała założone na plecach i stała na szeroko rozstawionych nogach, jak chłopiec. Wstrząsnęła nim jakaś nieopanowana pasja. Przeszedł ku niej kilka kroków po piasku.

— Czy pani nie umie milczeć? Potrząsać panią? Zasługuje pani na coś gorszego. I niech pani pozwoli sobie powiedzieć jedno: Jeżeli przyłapię panią na wzniecaniu kłótni...

— Kłótni?

— Pani wie, co mam na myśli Maclise'a. Ma pani trzymać się od niego z daleka. Czy pani słyszała?

Vivian podniosła dumnie głowę.

— Nie zrobię nic podobnego. Jak pan śmie mi rozkazywać?

— Bo jestem tutaj zwierzchnikiem. Jeżeli pani musi mieć mężczyznę, który by za panią latał, niech pani robi słodkie oczy do Perouse'a. Do kogokolwiek bądź prócz Maclise'a.

— Pan się mną za bardzo interesuje.

Nie interesuję się panią wcale. Ale jeżeli pani wywoła awanturę między Maclise'em a tą kobietą, Bóg wie, gdzie wszyscy skończymy. Dlatego pozwoliłem jej zostać, żeby dać mu jakieś zadowolenie. A teraz pani znów włązi między nich.

— Nie robię tego. To co pan mówi, jest absurdalne. Przypuśćmy, że prowadziłam z nim łagodny fiircik? Przypuśćmy, że mnie pocałował? To co z tego? Nie żyjemy w średniowieczu. Zdaje się, że pan myśli, iż on musi się we mnie zakochać dlatego, że jestem dla niego miła.

Odgarnęła włosy z twarzy i patrzyła na Regana wyzywająco.

--- Nie chcę go wcale. Wiem, że należy do Julii. Ale nie pozwolę, do diabła, aby ktoś mi rozkazywał, ani pan, ani nikt inny.

Odwróciła się i z całą swobodą udała się tam, gdzie Maclise mocował się z jakimś opornym wiekiem skrzyni. Był czerwony, a w jego niebieskich oczach malował się gniew. Zmoczony blond włosy lepiły się do czoła. Vivian wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać skrzynię. Uśmiechnął się do niej; był to szybki, nieśmiały, chłopięcy uśmiech.

— Niech pani mocno trzyma — rzekł i powrócił do swej roboty. Stali obok siebie tak blisko, że Maclise czuł ciepło jej ciała w miejscu, gdzie dotykało jego ramienia.

— Jest pan bardzo silny. Czy to nie boli, gdy się tak mocno ciągnie?

— Ani trochę.

Nie wiedział, że wcale o nim nie myślała, że postępuje tak właściwie tylko na złość Reganowi. Ponieważ miał pochyloną głowę, nie widział, że mówiąc do niego, patrzyła na Regana. Wiedział tylko, że była blisko, taka miła i słodka, i że serce mu biło tak mocno, jak nigdy przy Julii ani przy żadnej innej kobiecie. Pragnął jej. Już od trzech dni wiedział, co się z nim dzieje. Kiedy się to zaczęło? Spoglądając wstecz, przypomniał sobie, iż śmiał przypuszczać, że to droga jego ambicji prowadzi poprzez ramiona Vivian. Kiedy wreszcie oderwał wieko skrzyni i spojrzął na dziewczynę, w oczach jego było coś, czego nie widziała żadna z jego licznych kochanek. Vivian popatrzyła na

niego zmieszana, trochę zalekniona. Maclise upuścił młotek i Kapeke podbiegł, ażeby go podnieść.

— Vivian — szeptał Maclise — Vivian...

— Co się stało? — spytała Julia podchodząc. — Och, otworzyłeś tę skrzynię? Czy było tak trudno? Vivian, niech pani pójdzie ze mną pomóc mi przy urządzaniu namiotu.

Twarz jej nie zdradzała nic, spokojny, równy ton głosu dobrze ukrywał wzburzenie. Ale serce bolało ją z zazdrości, szarpiącej ją przez te wszystkie szalone dni. Pamiętała swoje własne słowa: „Nigdy nie zatrzymuj mężczyzny, jeżeli chce odejść”. Jak często to powtarzała! Był to urywek mądrości otrzymanej z drugiej ręki, uroczyście powtarzanej przez tych, którzy nie mają pojęcia o rzeczy. A teraz, kiedy Maclise chciał odejść, czy była gotowa go puścić? Nie! Nie! Jak śmiał patrzeć na Vivian z wyrazem takiej pokory? Idąc w stronę namiotu, śmiała się w obawie, żeby idąca przy niej dziewczyna nie domyśliła się, że serce jej krwawi.

Regan podszedł do Maclise'a i zaczął wyjmować zawartość wąskiego pudła.

Pracowali w milczeniu, obaj świadomi wzajemnej wrogości. Podczas ostatniej burzy ich wroga niechęć prawie wygasła, ale bezpieczeństwo rozżarzyło znowu niewygasłe namiętności. Żaden z nich nic nie mówił.

Chociaż niedawno groziło im niebezpieczeństwo, chociaż mieli wspólny cel i wspólną sprawę, pracowali obok siebie jak obcy. Dzielił ich trup mężczyzny i żywa kobieta. Z powodu tych dwojga będą musieli pewnego dnia stoczyć walkę, tak jak to już raz uczynili.

Ale teraz może być to tylko walka śmiertelna.

W uszach Regana brzmiały słowa: „Nawet jeżeli mnie pocałował... ” Więc ją pocałował. Niech go diabli porwą. Do czego on dążył? A ona — ta mała szelma? Wszystkie kobiety są podobne! Każdy może ich zakosztować. Czy każdy? On na przykład? Pamiętał, jak walczyła z nim tej nocy, kiedy zaczęły się awantury z Maclise'em. Tak, i on, i ona, oboje byli uczciwi w swej niechęci, powiedział sobie Regan. W każdym razie nie próbowała z nim flirtować. Ale lepiej niech tego nie robi. Pokazałby jej, gdyby z nim chciała wyprawiać te małpie sztuczki!

Wstał, wycierając ręce o trykot. Co jednak mogła widzieć w Maclisie? Och tak, powiedziała, że nie zależy jej na nim. Ale — rozumował Regan — czy postępowałaby z nim w ten sposób, gdyby go nie lubiła. Jak ona ujęła się za nim i brała jego stronę! Jak go obserwowała i żartowała z nim, i pochlebstwem i przy-

milaniem się wprowadzała go w lepszy humor. Czy to nie wskazywało na to, jak się rzeczy miały? Czy to nie było jasne?

Poza tym, czy mogła mieć inny powód do takiego wyróżniania Maclise'a? Czy był ktoś, kogo chciała dotknąć? Nie. Oczywiście, że nie. Perouse się nie liczył. Mike się nie liczył. Pozostawał tylko on sam, a ona naturalnie nie dbała o niego więcej niż o źdźbło trawy. Wystarczy zwrócić uwagę na to, jak wyzywająco i lekceważąco go traktowała. Czyż go nawet nie uderzyła? Było zupełnie oczywiste, że jeżeli nawet kiedykolwiek myślała o nim, to z wzrastającą niechęcią i wrogością.

Rzucił okiem w stronę namiotu i zobaczył Julię i Vivian, rozmawiające przyjaźnie. Przemknęła mu przez głowę myśl, że może Julii już nie zależy na Maclisie. Gdyby tak było, fakt ten upraszczałby sprawę. Ale Regan wiedział, że oszukuje sam siebie. Julii gwałtownie zależało na Maclisie. Był tego pewny. Chociaż nie wiedział wiele o kobietach, znał Julię z jej zamiłowaniem do podbojów. Czy zniosłaby, żeby jakiś mężczyzna wyslizgnął się z jej ramion, zanim ona go rzuci? Hunter, Shot-tery, Maclise — wszyscy ją kochali. A ona cieszyła się tą miłością. Była dumna, tryumfująca, upojona władzą, jaką miała nad tymi mężczyznami dzięki swej urodzie. Należała do typu kobiet, które muszą mieć kochanka u swych stóp.

Był jeszcze młody Mike. Regan wzruszył ramionami niecierpliwie, odrzucając myśl o nim, jako bezpodstawną. Nie tego rodzaju miłości pragnęła Julia — nie tego uczucia pokornego

i pełnego uwielbienia, które chłopiec wylewał przed nią jak wino.

Postępowała z Mike'em szczerze, śmiała się z niego, wydrwiwała go, rzucała mu słówka, które sprawiały, że kurczył się i jak gdyby malał w oczach.

Regan zostawił pustą skrzynię i podszedł do statku. Perouse i Mike byli zajęci naprawą największych uszkodzeń. Pomimo upału starali się załatać dziury, pracując w szalonym tempie, popędzani batem czasu. Kapeke udał się na poszukiwania bananów i owoców z drzewa chlebowego. Oznajmił, że ma zamiar potem łowić ryby. Zapasy zmniejszyły się i trzeba było uzupełnić je w miarę możliwości. Regan pośpieszył do ładowni, gdzie stuk młotka oznajmił o obecności Perouse'a i Mike'a. Przyłączył się do nich i po upływie pół godziny trudno byłoby orzec, który z nich jest więcej spocony, zatłuszczony i zabrudzony. W pewnym oddaleniu od morza Julia prała bieliznę w strumyku, który z szumem spadał ze skarpy, gdzie kwitły

frangipau. Vivian, siedząc ze skrzyżowanymi nogami pod namiotem, cerowała rozdarte płótno żaglowe kawałkiem dratwy. Wszyscy byli zajęci. Wszyscy prócz Maclise'a.

Maclise siedział bez ruchu na piasku i patrzył na morze oczami, które nic nie widziały. O czym myślał? Może o Shotte-rym, leżącym pod palmami na wyspie Degas. Może o Reganie i zemście, jakiej pragnął dokonać na nim za śmierć tamtego. Albo może o Julii i rozrachunku z nią, jeżeli ona tego zażąda. Możliwe też, że nie myślał w ogóle o niczym, odurzony i oślepiiony tym słodkim i przejmującym bólem, któremu brak nazwy.

2

Tego wieczora Kapeke rozniecił ognisko, którego płomienie buchały do nieba. Schwycił dziewięć ryb *kales*, owinął je w wilgotne liście *ti* i zabrał się do gotowania. Przyniósł wieść o pasących się w głębi wyspy kozach i Mike obiecał, że nazajutrz uda się na polowanie.

Coraz wyżej i wyżej buchały płomienie, w miarę jak Kapeke dokładał chrustu. Zrobiło się bardzo gorąco i Vivian usunęła się w cień. Noc była bezchmurna. Nisko na niebie wisiał żółty księżyc. Gwiazdy świeciły jak diamenty na tle aksamitnej nocy. Wprost z księżycyca zawiewał leniwy nocny wiaterek, który marszczył grzbiety fal wbiegających na brzeg. Jak wygląda teraz New York? — myślała Vivian i widziała go w postaci niespokojnego, nienasyconego zwierzęcia, szarpiącego niecierpliwie pręty klatki. Uśmiechała się, przypomniawszy sobie Rodneya Beringera i resztę towarzystwa.

Julia wychyliła się z cienia i myśli Vivian skierowały się natychmiast na nią. Kim była? Czym była? Czy w żyłach jej płynęła krew jakiejś starej wiedźmy? Nie warto było dłużej udawać. Niemile uczucie, jakiego doznała Vivian przy ich pierwszym spotkaniu, trwało, a nawet potęgowało się z każdym dniem; w końcu czuła się tak, jak człowiek, który śpi w obecności lamparta spuszczonego z łańcucha.

Jak to się wszystko skończy? Co los dla niej szykuje? Spojrzała ukradkiem na Maclise'a i zobaczyła, że patrzy na nią oczami pełnymi dziwnego lęku.

Dlaczego patrzy na nią w ten sposób? Chyba... chyba nie myśli naprawdę, że jej na nim zależy?

Razem z tą świadomością przyszła myśl: „Więc on mnie pragnie. To nie było tylko spędzenie czasu. Ale...” I to „ale” zostało w tej chwili odrzucone. Bo jeżeli Maclise myślał poważnie... *to co z Julią?*

Aby uniknąć jego spojrzenia, odwróciła się i zmieniła pozycję. Ach, teraz musiała patrzeć na ciemną twarz Regana. Ale on nie miał znaczenia, wszystko jedno jak wyglądał i co myślał. Nigdy jej nie polubi. Od pierwszej chwili usiłował nad nią przewodzić. Usiłował? Czy nie potrząsał nią i nie uważał jej za niesforne dziecko? A teraz próbował wtrącić się do niej z powodu Maclise'a. Myślał, że wystarczy tylko wyrazić jakieś życzenie, a ona natychmiast będzie na jego rozkazy. Nigdy nie popełnił grubszej omyłki. Myślał, że będzie jej zwierzchnikiem. A właśnie!

— Mike! — Tok jej myśli został przerwany.

— Co, Julio?

— Poszukaj mi szala w mesie.

Jakaś postać podniosła się i skierowała w stronę „Spindrif-ta”, rysującego się na tle nocnego nieba. Nagle odezwał się Regan, podrażnionym tonem.

— Dlaczego używa pani tego chłopca do załatwiania swoich spraw? Biedak jest śmiertelnie zmęczony. Gdzie Kapeke?

— Mike się nie gniewa.

— Bo jest głupi! — warknął Regan.

— Jest zakochany — powiedział Perouse. — Czy każdy zakochany mężczyzna nie jest głupcem? Zdaje się, że wszyscy popełnialiśmy głupstwa dla tej lub innej dziewczyny. Ja to też robiłem. Kiedyś w Kalkucie jedna dziewczyna — nazywała się Daisy — chciała, żebym zabrał ją do Kali Ghat. No więc wziąłem ją. Odbywa się tam coś w rodzaju pielgrzymek religijnych — zabijają kozy, śpiewają i urządzają różne hece. Od zaduchu, brudu i widoku krwi zrobiło jej się słabo. Musiałem ją...

— Oto pani szal, Julio.

— ...zabrać do domu. Po drodze zgubiła jakieś świecidełko, głupstwo bez żadnej wartości. I co robi? Posyła mnie z powrotem, żebym szukał. Co wy na to? Biali nie są bezpieczni w Kali Ghat. Z trudem dostaliśmy się do domu. A czy palnąłem ją w głowę, gdy mnie posłała z powrotem? Nie! Czy poszedłem szukać jej głupiego świecidełka? Poszedłem. Wariactwo? Wszyscy zakochani są zwariowani.

— Czy chcecie przez to powiedzieć — odezwała się Julia z drugiej strony ogniska — czy chcecie powiedzieć, że robię z Mike'a głupca, bo posyłam go po okrycie?

Perouse chrząknął.

— Nie bądźcie nedorzeczni — mruknął Regan, wyciągając rękę do ognia. — Czas iść spać.

— Czy słyszeliście, Perouse, co mówiłam?

— Słyszałem — odpowiedział swobodnie. — A ponieważ pyta mnie pani po raz drugi, odpowiem: tak. Robi pani z niego głupca. Czy jest pani zadowolona?

Roześmiała się w odpowiedzi. -Minęła Mike'a i podeszła do miejsca, gdzie rozsiadł się Perouse. Szybkim ruchem osunęła się na ziemię obok niego. Światło padało na jej kruczoczarne włosy, jej głębokie oczy, śliczne wygięcie białej, gładkiej szyi. Obserwując ją, Vivian pomyślała: Przeszła tam tylko po to, żeby być blisko Maclise'a. Chce go zmusić do patrzenia na siebie.

— Perouse — zapytała Julia — czy nie po to są mężczyźni? Czy nie po to narodziliście się wszyscy, żeby przydać się jakiejś kobiecie?

Odsunął się niezręcznie, odwróciwszy swą pomarszczoną twarz, jak gdyby się jej bał.

— Och, na miłość boską, kobieto, nie próbuj oczarować Perouse'a — zakpił Regan znudzonym głosem. — Może będziemy musieli siedzieć tu miesiącami. Zostaw nam chociaż jednego zdrowego człowieka.

— Idę spać — oznajmił Perouse żywo. Zerwał się i skierował na statek.

Chociaż „Spindrift” stał pochyło, zawsze znajdzie się tam jakiś kątek.

Perouse'owi nie robiło różnicy, czy będzie spał choćby stojąc na głowie, byle był z dala od tej kobiety. Już dwóch doprowadziła do szału, czy teraz chce to zrobić z trzecim? Nie dostanie żadnego.

W grupie zgromadzonej przy ogniu zapanowało milczenie. Julia siedziała w odległości pół metra od Maclise'a. Ręka jej spoczywała beczynnym na piasku. Czy sięgnie po nią i położy na niej swą dłoń? Czekwała, a każdy jej rękaw był napięty jak struna.

Regan zmarszczył czoło. Julia widziała, jak jego grube brwi ściągały się. Kiedyś musi przekonać się, jaki właściwie jest jej stosunek do Regana. Ale nie teraz. Teraz nie było czasu ani myśli dla nikogo prócz Maclise'a — Maclise'a, który był jej

kochankiem, który będzie jej kochankiem znów, jak tylko ten zły urok zostanie z niego zdjęty. Patrzył na nią. Serce jej zaczęło bić prędeej. Nagle beztruskim ruchem uniosła ramiona nad głową. Szybki oddech, jaki doszedł jej uszu, powiedział jej, że nareszcie go poruszyła.

Wolno, wolniutko odwróciła się i spojrziała na niego, podnosząc swe ciemne oczy na jego rozpaloną i zmienioną twarz. Vivian, Regan, Mike — wszyscy to obserwowali. Co z tego? Co ją obchodzi nawet cały świat, jeżeli tylko Maclise odpowie na jej pytające spojrzenie? Przez długi czas nie odpowiadał, wpatrzony uporczywie w płomień. W nocnym powietrzu czuć było zapach morza, świeży i słodki, zmieszany z wonią jaśminu i żółtej kasji. Jak gdyby ukłuty jakimś wspomnieniem, Maclise zadrżał i spojrział na Julię szybko, twardo. Niewzruszona spotkała jego wzrok, prawie niepostrzeżenie pochyliwszy się ku niemu.

Usiadł, gniotąc piasek rozgrzanyimi dłońmi. Słowa padały z jego ust tak, jak gdyby nie chciał ich wypowiedzieć. W jego zachowaniu było coś prawie odpychającego.

— Chcesz się przejść przed spaniem, Julio?

Nie spostrzegł błysku tryumfu w jej oczach. Ziewnęła i rzekła:

— Jeżeli chcesz...

Bez pośpiechu podnieśli się, jakby mimo woli. Wolno, bardzo wolno dwie postacie wtopiły się w otaczającą noc. Słaby odgłos ich kroków na piasku zamarł. Trójka, pozostała przy ognisku, nie poruszyła się ani nie rzekła słowa. Kobieta i mężczyzna szli w milczeniu, aż blask ogniska pozostał daleko za nimi. Maclise nie miał nic do powiedzenia. A Julia nie chciała wcale, żeby tracił czas na słowa. Od czego były ciemności? Zatrzymała się i on się zatrzymał obok niej z cierpliwą powolnością prowadzonego zwierzęcia. Nie było słyhać żadnych dźwięków, prócz szumu bałwanów i szelestu wiatru wśród palm. Drząc, czekała, tak jak czekała przy ognisku.

— Julio!

— No?

— Po co mnie tu przyprowadziłaś? Ten zmęczony, obojętny głos...

— Przecież to ty chciałaś, żebym z tobą poszła.

— Bo tego pragnęłaś. Nie dlatego, że było to moim pragnieniem.

Stłumiła uczucie bolesnej trwogi. Maclise był zmęczony, przepracowany, wyczerpany. Ale czy wcześniej bywał obojętny? Stali tak blisko, że wystarczyłoby mu wyciągnąć rękę! Ale nie zrobił tego.

— Wróćmy — bąknął zakłopotany.

— Jeszcze nie.

Jeżeli teraz pozwoli mu wyslizgnąć się, nigdy go nie odzyska. Jeżeli mógł oprzeć się piękności jej ciała w tę wonną, gwiaździstą noc, jeżeli mógł odrzucić to, co mu ofiarowywała w obliczu tego złotego księżyca — to mogła istotnie uważać się za pokonaną.

Ostrożnie objęła ramionami jego szyję. Obojętność Maclise'a rozwiąła się. Dyszał szybko. Ręce miał gorące i niespokojne. Gwałtownie zamknął ją w ramionach, w dawnym, tak pamiętnym uścisku. Krew brzmiała tryumfującą pieśnią w jej uszach. Głupia, jeżeli zwątpiła. Głupia! Głupia!

Nagle odsunął ją od siebie. W świetle księżyca mogła dostrzec, jak pobladł. Co on mówi? Jakie dzikie, niewiarygodne rzeczy? Podniosła dłonie do uszu. Ale niepotrzebnie. Całe życie będzie słyszała ten zimny głos.

— Wszystko to na nic, Julio. Już cię nie kocham.

— Nie! Nie!... — usłyszała swe własne słowa. -- Tak. Przeszło. Lepiej, żebyś wiedziała.

— Vivian?

— Nie mieszaj jej do tego.

— Ty głupcze! Ona nigdy nie spojrzy na ciebie.

— Jesteś zazdrosna.

— Zazdrosna? A czy ty nigdy nie byłeś zazdrosny? Pamiętam...

— I ja byłem. Ale teraz to minęło.

— Miłość tak prędko nie przechodzi.

— Miłość? Bądź uczciwa, Julio. Nazwij to tym, czym było.

— No, więc czym było? Jak to nazwiesz?

--- Och, po co? — zawołał niecierpliwie. — Przykro mi z tego powodu. Ale nie mogę udawać. To by nie miało sensu.

— Nie wiem. Nie dbam o to, co mówisz. Kocham cię więcej niż kogokolwiek, nawet — Charlesa!

— Mówisz to niepotrzebnie — odburknął twardym głosem. — Ja z tobą skończyłem.

Odwrócił się i zaczął iść szybko ku ognisku, gdzie czekała Vivian. Nie obejrzał się nawet.

Julia długo stała w tym miejscu, gdzie ją zostawił, patrząc w ślad za nim rozszerzonymi, suchymi oczami. Wargi jej zacisnęły się w cienki, złośliwy uśmiech. Ręka jej sięgnęła do piersi, w poszukiwaniu przedmiotu, który tam ukryła. Jej błędzące palce znalazły go wreszcie i przytrzymały, tak że przywarł do serca, tam gdzie dawniej przywierały wargi Maclise'a.

XIII

1

W ciągu następnych dwóch dni mężczyźni pracowali jak niewolnicy. Przy pomocy posiadanych narzędzi i materiału, jaki mogli znaleźć, załatali uszkodzenia, jak się dało najlepiej. Zmontowano coś w rodzaju steru. Trzeba było naprawić złamane wiosła. Perouse znalazł w ładowni trochę smoły i oznajmił o tym odkryciu tryumfalnym okrzykiem. Pompy ucierpiały, więc Regan spędził przy pracy nad nimi co najmniej pół dnia. Kapeke był głównym dostawcą prowiantów. Odarł ze skóry i ugotował kozę upolowaną przez Mike'a i oszczędził całą wyspę w poszukiwaniu korzeni yamu i taro. Bananów było pod dostatkiem, ale wkrótce sprzykrzyły im się.

— To dobre dla jaroszów — skarżył się Perouse — ale ja wolę coś takiego, w czym jest więcej do jedzenia. Znam koło Rothert-hite taki szynk, gdzie można dostać doskonały befsztyk. Tak, wszystko zanurzone w cebulowym sosie. I żdziebełko czerwonego pieprzu. A kartofelki rozpływają się w gębie. Pokrajane, pływające w solonym maśle z dodatkiem kilku kropli sosu Worchester, smażone na patelni... Daj mi ten klucz. Kto mi zabrał spod ręki klucz do wkręcania śrub? O Boże, co za upał!

Nie było czasu na osobiste uczucia. Julia i Vivian szyły i łątały, aż im palce spuchły. Regan z Maclise'em klęli chórem z powodu opornego łańcucha od pompy. Tylko Mike, pracujący samotnie przy pogruchotanym przepierzeniu, zagryzał wargi na myśl o tym, co przeżyła Julia poprzedniego wieczoru. Znowu poczuł gorący gniew, który wezbrał w nim na widok Maclise'a, powracającego do ogniska. Czy go odesłała? Nie. Wrócił, bo nie chciał być z nią dłużej. Mike wbił w drzewo parę

gwoździ, żałując, że nie jest to głowa Maclise'a. Jak śmiał traktować ją w ten sposób? Jak śmiał?!

Tego wieczoru byli zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Zaraz po zachodzie słońca wszyscy udali się na spoczynek i spali twardo, wyczerpani uciążliwą pracą pod bezlitośnie prażącymi promieniami słońca. Zdawało się, że zostały z nich wyssane wszystkie siły. Nikt nie zwracał uwagi na zadziwiająco piękny zachód, na niebo płonące szkarłatem i złotem nad ciemniejącym morzem. Jedzenie i sen — co poza tym mogło być ważne? Nawet Mike, udręczony i czujny, połknął trochę koziej pieczeni i zdrzemnął się przy ogniu; dopiero Perouse wziął go na ręce i zaniósł na statek.

Następny dzień minął w ten sam sposób. Praca... praca... aż do chwili, kiedy „Spindrift” zaczął się trochę wyprostowywać i powracać do swego dawnego stanu. Jeszcze dwa dni i będą mogli zaryzykować podróż. Ale nie mogliby spodziewać się, że przetrzymają z łatwością burzliwą pogodę. Muszą dostać się do Rapuhi jak najprędzej.

Tuż przed zachodem słońca Kapeke zawołał, że kolacja jest gotowa. Stał przy ogniu i klaskał w dłonie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Na szyi miał girlandę z czerwonych kwiatów hibiscusa. W gęste włosy zatknął pojedynczy pęk koloru świeżej krwi.

— On kai-kai dobrze ugotować — krzyczał. — Jak nie prędko przyjść, kai-kai długo będzie się gotować. Regan! Maclise!

A do Julii i Vivian zwrócił się z zaimprovizowaną pieśnią w swoim języku.

„Uczta jest przygotowana

Na kogo czekamy?

Czekamy na was — o, księżniczki!

O, Julio, której włosy są jak noc,

O, Vivian, córko zmarłego szefa Hunita.

Śpieszcie się, zanim uczta się zepsuje,

Spieszcie, zanim duchy, spacerując po zachodzie słońca,

nie wedrą się na nasze miejsca!”

Kozia pieczeń wydawała smakowitą woń. Nawet Perouse przyznał, że miała dobry smak. Migotliwe światło ognia padało na jego pomarszczoną twarz, upodabniając go do gнома o spiczastym nosie, małych przenikliwych oczkach i zapadniętych policzkach. Prawie przez cały czas rozmawiał z Vivian, częścio-

wo *dlatego*, że wyglądała na zmęczoną i była bez humoru, częściowo zaś dlatego, że węszył w powietrzu tragedię i wiedział, że ona będzie jej przyczyną.

Vivian nie była dobrą słuchaczką. Spojrzenie jej przenosiło się ciągle z Regana na Julię, a z Julii na Maclise'a. Mike siedział ponury i milczący. Nikt nie mówił wiele. Wreszcie nawet Perouse zaczął się jąkać i głos jego rozpląnął się w ciszy. Gdzieś z lewej strony poruszał się rak lądowy. Wśród gąszcza krzaków tańczyły tysiące robaczek świętojańskich. Śmieszne, małe, zielone jaszczurki zwabione ogniskiem, wyciągały szyje w stronę płomieni, bez najmniejszej obawy.

Vivian wyciągnęła rękę i pogłodziła jedno z dziwacznych stworzonek. Regan natychmiast odepchnął jej dłoń. Zaskoczona, wyprostowała się i spytała:

— Dlaczego pan to zrobił?

— Niech pani je zostawi w spokoju.

— Ale dlaczego?

— Skąd pani wie, że bezpiecznie jest je dotykać?

— Pewnie bezpiecznie. A jeżeli nawet nie...

— Proszę być cicho!

— Muszę przyznać... — zaczęła Vivian, czerwieniąc się.

— Och, niech pani mówi, co chce — uciał niecierpliwie. — Ale ręce niech pani trzyma z daleka od takich stworzeń.

W odpowiedzi wysunęła rękę i połechtala grzbiet najbliższej jaszczurki.

Uderzył ją po gołym ramieniu tak mocno, że krzyknęła.

— Jak pan śmie?

— Da pani temu spokój, kiedy mówię...

— Nie chcę, ażeby mi pan rozkazywał — rzekła ze złością. — Zawsze się pan wtrąca. Proszę zostawić mnie w spokoju!

— Tak, zostaw ją w spokoju.

To był głos Maclise'a i Regan warknęła do niego gniewnie.

— Pilnuj własnego nosa.

Nie zwróciwszy na to najmniejszej uwagi, Maclise powiedział do Vivian:

— Gdybym był na pani miejscu, nie dotykałbym ich. Są one ładne, wiem, ale noszą na grzbiecie małą czerwoną pluskwę — maleńką jak pyłek — która, skoro dostanie się pod skórę, wywołuje zakażenie krwi.

Podczas pauzy, jaka nastąpiła, słychać było Perouse'a, mówiącego do Mike'a.

— ...i zrobił to i gorzko żałował. Palec mu spuchł i stał się ciemnoniebieski. Myśleliśmy, że umrze. Stary kapitan dał nam rozkaz i Jack Harvey podstępnie zbliżył się do niego i walnął go młotkiem po głowie. Kiedy stracił przytomność, wyciągnęliśmy z kapitanem piłę i odpiłowaliśmy mu rękę w przegubie... Och, uratowaliśmy mu życie. Takie są czerwone pluskwy, które przenoszą jaszczurki. Oto jak było.

Temat został w ten sposób wyczerpany, ale myśli Vivian nie chciały się uspokoić. Na ramieniu, w miejscu, gdzie Regan ją uderzył, widniał czerwony znak, który ją jeszcze palił. Dreszcz wściekłości wstrząsnął nią, kiedy spojrzała na Regana i zobaczyła jego niewzruszoną minę. Od tak dawna przyzwyczajony był rządzić mężczyznami, że nigdy nie nauczy się tego, iż kobiety są posłuszne tylko wtedy, gdy im to odpowiada. Vivian skończyła jeść kolację i siedziała, objąwszy kolana ramionami, wpatrzona w płomień. Opanowało ją uczucie podniecenia. Pokaże mu! Pokaże mu! Będzie miał nauzkę!

Zacząła mówić głośno do Mike'a, do Perouse'a i do Maclise'a. Głos jej brzmiał coraz donośniej, śmiech dźwięczał coraz swobodniej. Chociaż zdawało się, że wcale nie patrzy na Regana, doskonale wiedziała, że mu się jej zachowanie nie podoba. Pod wpływem jej głosu humory mężczyzn poprawiły się. Wkrótce wokół ognia siedziało prawdziwie wesołe towarzystwo. Nawet Julia dorzucała swe drobne, zgryźliwe uwagi, które zawsze trafiały w sedno. Wyglądała pięknie z czerwonym odbłaskiem na włosach i szyi. Ale nikt prócz Mike'a nie patrzył na nią. Vivian przykuwała uwagę ich wszystkich. Ożywiona rozmowa zeszła na temat miłości. Jakiś chochlik kazał Vivian opowiedzieć im o bladym widmie mężczyzny, którego знаła jako Rodneya Beringera. Jakże się śmieli, kiedy mówiła im o szafirach! Obdarzona talentem naśladowania, przy ognisku, wśród tropikalnej nocy, odtworzyła dla słuchaczy i widzów postać nieśmiałego artysty, sepleniącego i bełkoczącego uroczyste zaklęcia. Nawet Julia się śmiała. Vivian przypomniła sobie jeszcze innych dawnych przyjaciół, którzy ciągle tam, na drugim końcu świata, pisują swe nieprzyzwoite wiersze i malują nieprzyzwoite obrazy. „Pokażała im” Mabel Attword i I'iinkie Ball i Hedgely Roberts — dziwaczne trio kochanków, I'tlńyrh kariera zakończyła się przed dwoma laty katastrofalnie, wielkimi nagłówkami i fotografiami przedstawiającymi ich zwłoki, Parodiowała Herberta Wochina, pianistę, tak że

prawie widzieli poruszające się szybko ręce magika oraz przesadny ruch głowy. Recytowała to, co pamiętała z okropnych poezji, które uczyniły Chandlera Harrisa najbardziej popularnym autorem wśród erotomanów obojga płci na trzech kontynentach. W New Yorku poznała też słynną kokotę, znaną po prostu jako Catty. Czy miała inne imię, czy też nie — to nie było ważne. W każdym razie mało kto chciałby się przyznać do pokrewieństwa z nią. Maclise wiedział o niej. Perouse słyszał plotki. Julia podniosła szybko głowę, gdy zaczęto o niej mówić. A Vivian kazała jej ożyć i odtworzyła ją tak, że widzieli Catty, słyszeli jej ostrą, zniekształconą angielszczyznę i wyobrazili sobie prawdziwy charakter jej grzechów.

— Tak, tak, doskonale! — wołał Maclise podniecony. — Widziałem ją tańczącą we Frisco. Tak, mówi w ten sposób.

— Czy zostałeś jej przedstawiony? — spytał Perouse z uśmiechem.

— Nie! Poszedłem po przedstawieniu za kulisy i zobaczyłem w kolejce Anglika, Portugalczyka i kilku nowojorczyków, więc...

— Pozwól sobie powiedzieć... Gwar nie ustawał.

— Vivian!

Na dźwięk tego głosu umilkła i siedziała sztywno, czekając, co powie Regan.

— Czy wszyscy ci ludzie, o których pani mówiła, byli pani przyjaciółmi?

— Catty — nie.

— Ale inni?

— Tak. Co z tego?

— Nic — odrzekł z wolna. — Tylko jeżeli w taki sposób mówi pani o swoich przyjaciółach, cieszę się, że do nich nie należę.

— Może pan o to być spokojny — wybuchnęła. Trzymała dumnie głowę, ale wewnątrz skurczyła się na dźwięk pogardy w jego głosie. Zmieszła się pomyślawszy o tym, co wyrabiała od pół godziny. Wszystkie te wstrętne rzeczy, które mówiła... ordynarne, tchnące zepsuciem...

— Czas iść spać — rzekł Regan wstając.

W Vivian wstąpił jakiś diabeł. Poprzez zamierający ogień krzyknęła do Maclise'a:

— Nie jestem zmęczona. Pójdzie pan ze mną przejść się? Julia coś krzyknęła.
Maclise wstał i podawszy rękę Vivian,
pomógł jej się podnieść.
— Naturalnie. Chodźmy!

2

Ognisko zostało daleko za nimi. Szli. obok siebie w głąb tej tajemniczej wyspy. Ręce ich spotykały się w chwilowych zetknięciach, które przenikały dreszczem oboje. Z początku rozmawiali wesoło, potem tylko urywkami, a wreszcie umilkli. Jak kochankowie w zaklętej krainie, szli urzeczeni czarem tropikalnej nocy. Słabo rysujące się palmy kołysały się lekko na wietrze. Szum morza stawał się coraz słabszy, coraz bardziej oddalony.

— Jak tu cudownie! — przerwała milczenie Vivian.

— Słucham?

— Zapomniałam, co chciałam powiedzieć — zmieszana się trochę.

Roześmiał się.

— Boi się pani być tu ze mną?

— Nonsens!

— O, nie. Dlaczego się mnie boisz, Vivian?

— Nie boję się.

Chwycił ją za ramię i palce jego ześlizgnęły się aż do przegubu jej dłoni.

— W każdym razie puls pani jest bardzo przyspieszony — zauważył chłodno.

— Dlaczego pani chciała tu przyjść?

— Prawda, jak tu cicho? — spytała Vivian po pauzie.

— Tak.

Stali i wsłuchiwali się w noc. Vivian cofnęła się, a Maclise'owi serce silniej zabiło, kiedy spojrzenie jego ześlizgnęło się po zarysie ciała dziewczyny, widocznym dobrze w świetle gwiazd. Och, Vivian była częścią tych czarodziejskich ciemności — ciepłym, słodkim sercem nocy. Oddychał coraz prędzej, stojąc u jej boku.

— Vivian, Vivian...

— Co? Och, co się stało?

— Wiesz.

— N... nie, nie wiem.

— Kocham cię — powiedział ochryply, drżący głos. — Kocham cię, Vivian...

— Pan nie może... Ja nie chcę...

— Nie odtrącaj mnie — błagał. — Nigdy nie było w moim życiu takiej jak ty.

— Teraz jest Julia. Zapomniał pan o niej?

— Tak. Julia nigdy nie była dla mnie kimś. Nie powinienem tego mówić, ale to ona mnie prowokowała. Zareagowałem. To piękna kobieta.

— Nie postępuje pan z nią uczciwie.

— Kim pani jest, żeby mnie osądzać? Wy, kobiety, nie wiecie, co z nami wyrabiacie. Odkąd cię zobaczyłem... od tej chwili Julia przestała dla mnie istnieć.

Vivian drżała. Jego namiętność wzbudziła w niej jakieś dziwne, nowe wzruszenie. Więc taki był! Już nie ten zimny, obojętny Maclise z pierwszych dni. Teraz stał przed nią chłopiec, chłopiec zapłoniony i proszący. Nie wiadomo dlaczego, poczuła dla niego litość. To było dziwaczne, że on, zwycięzca, stał się tak pokorny. Przypomniała sobie, że ją pocałował — był to pocałunek dany lekko i równie lekko przyjęty. Pocałunek, który nic nie znaczył. Czy tak było? Dla niej — może.

— Vivian!

— Tak?

Mimo woli zniżyli głosy. Maclise osunął się na kolana. Trzymał w dłoni jej palce i podniósł je do ust. Gdzieś w podświadomości jakiś głos odzywał się:

— Bądź ostrożny! Bądź ostrożny, głupcze!

Vivian zachwiała się trochę i Maclise objął jej kibić. Spojrzała nań z góry i zdziwiła się, że w świetle księżycy wygląda tak blado i tak młodo.

— Czy pani mnie lubi?

Zastanawiała się nad tym, nie zdając sobie sprawy z własnych uczuć. Czy go kocha? Nie, chyba nie.

Z odrzuconą głową wysilał wzrok, żeby wyczytać coś z jej twarzy. Jego uścisk zacieśniał się. Dlaczego, u diabła, chodziła w tym męskim ubraniu? Zatęsknił nagle, żeby zobaczyć ją w miękkich, białych szatach, takich jakie noszą kobiety, w jedwabistych szatach, które opadają tak łatwo, za jednym dotknięciem ręki. Dlaczego ona nie odpowiada? Wymówił jej imię.

Wolnutko położyła ręce na jego ramionach i Maclise wydawszy jakiś dźwięk, który był prawie szlochem, objął ją i przycisnął swą rozpaloną twarz do jej gorącego ciała. Vivian poczuła jak gdyby wybuchający płomień, który wystrzelił wysoko na jedną

zawrotną chwilę i... zgasł natychmiast. Zaczęła ze strachu szybko oddychać i próbowała odepchnąć Maclise'a.

— Niech mnie pan puści, proszę! Nie było odpowiedzi.

— Proszę mnie puścić!

— Nigdy!

— Niech pan się podniesie! Proszę mnie puścić! Nie chcę! Niech mnie pan puści!

Wstał, ale teraz ramiona jego były jak stal; przygarnął ją ku sobie.

— Nie bój się. Wszystko jest w porządku. Teraz, kiedy się Kochamy...

— Ja nie...

Usta Maclise'a znalazły jej usta i wcisnęły słowa, które chciała powiedzieć. Kiedy nareszcie uniósł głowę, Vivian prawie zwisała na jego ramieniu, bez tchu, przerażona do najwyższego stopnia. Czy mogła być kiedyś tak szalona, ażeby sądzić, że go kocha? Pod wpływem strachu próbowała go uderzyć, ale bezskutecznie. Śmiał się, a w jego głośnym tryumfującym śmiechu ginęły jej gniewne słowa.

Z początku myślałem, że mnie nie chcesz — mówił. — Ale tak nie jest, prawda, Vivian? Ty, rozkoszne stworzenie, nie jesteś jeszcze rozbudzona. Nie wiesz, co to miłość.

Proszę mnie puścić! Wtedy dopiero ją usłyszał. Strach w jej głosie wzbudził w nim złość.

— Co ty sobie myślisz? Puścić cię? Nie ma obawy! Boisz się czegoś. — Głos jego znów stał się miękki. — Czego się boisz? Tego, co powie Julia? Czy tego, co zrobi Regan? Och, nic nie mogą zrobić. To nie jest ich sprawa.

Z rozpaczliwym wysiłkiem uwolniła swe prawe ramię. Twarda, zaciśnięta pięść zadała mu cios w szczękę.

— Cóż ty, u diabła, robisz? — spytał zdziwiony. — Słuchaj... uspokój się... O co ci chodzi?

Usłyszał jej szloch, suchy szloch wściekłości, bez jednej łzy.

— Co to znaczy, Vivian?

Puścił ją, a ona odsunęła się na odległość kilku kroków i rozcierała zdrętwiałe ramiona. Widział, jak drżała; tak drży człowiek, który uniknął wielkiego niebezpieczeństwa. Bez słowa odwróciła się w stronę oddalonego ogniska i zaczęła biec.

W tej samej chwili znalazł się obok niej i przytrzymał energicznym ruchem.

— Co się stało?

— Proszę mnie puścić!

— Ani mi się śni! Cóż za pomysł? Prosiłaś, ażeby pójść z tobą na spacer. Musiałaś wiedzieć, co czułem do ciebie. Chciałaś usłyszeć ode mnie... to, co powiedziałem. A teraz zachowujesz się w ten sposób?...

— To była omyłka. Nie powinnam była pójść z panem. Byłam tylko... tylko znudzona. Nie wiedziałam, że pan będzie taki.

— Ty mały kłamczuchu! Wiedziałaś doskonale. Była to po prostu gra, prawda? Chciałaś, żebym robił z siebie głupca, czy tak?

— Nie, nie!

— Tak. Wszystkie jesteście jednakowe, chcecie pokazać swoją siłę. Trzymał ją za ramiona. Wpił paznokcie z okrucieństwem w jej delikatne ciało. Słyszała, jak dyszał ciężko.

— Bawiłaś się mną. Mój Boże, prowokowałaś mnie, a teraz chcesz mnie odepchnąć. A właśnie tu się pomyliłaś, moja dziewczuszko!

Teraz głos jego był spokojniejszy, ale brzmiała w nim groźba, której nie było przedtem. Vivian poczuła chłód i niemoc w całym ciele, słysząc ten miękki, ale jakiś martwy ton, jakim teraz przemawiał.

— A więc, mniejsza o to. Wszystko co mówiłem, jest prawdą. Pragnę ciebie. Byłem idiotą, sądząc, że ważne są tu twoje uczucia. Naprawdę nie grają żadnej roli. Dla ciebie była to zabawa. To wszystko. Chciałaś się przekonać, jak daleko możesz zajść. Dobrze, posuniemy się odrobinę dalej.

Maclise widział przed oczami mgłę. Zachwiał się trochę, ale jego chwyt nie zelżał. Potem mgła się rozwiła. Wszystko się wyjaśniło. Był znowu sobą i widział z bezlitosną wyrazistością, co robi. Mała dziwka! Myślała, że wystrychnie go na dudka! Ach, znowu się wrywa... Niech się szarpie, ile jej się podoba. Nie odejdzie stąd, dopóki z nią nie skończy. Czy nie był głupcem? Czy nie był skończonym głupcem? Ale jeszcze można to odrobić. Płacze? Niech sobie płacze! Kobiety zawsze próbują tego środka. Myślał, że ona jest inna. Żadna kobieta jeszcze nie wzbudziła w nim takiej dziwnej, cichej czułości. Ale sama ją

zabiła, a ten ból rozrywał mu serce. Myślała, że go oszuka, co? Nic z tego, moja panno! Niechaj się wyrywa i walczy. Jest dosyć czasu...

— Regan! Regan!

Nie, temu musi położyć koniec. Położył jej dłoń na ustach, tłumiąc wołanie. Zęby Vivian zagłębiły się w przegub jego ręki, a nagły ból doprowadził go do wściekłości. Szarpiąc się z nią, poczuł, jak jej cienka, bawełniana koszulka drze się jak papier.

Śmiał się jakimś obłąkańczym śmiechem. Co za wariactwo, że mógł ją kiedyś kochać! Nienawidził jej. Chociaż ciągle jej pragnął, chciałby sprawić jej ból. Tak, ból śmiertelny. Sięgnął rękami do jej gardła i zacisnął dłonie.

Krzyczysz? Poczekaj chwilę, a będziesz miała powód do krzyku.

Miłość? Miłość była dla głupców. Dla niego pozostała tylko nienawiść i żądza.

— Możesz zamknąć buzię — warknął brutalnie. — Cicho bądź! Milcz!

Jak szalona wyrwała się z jego objęć, a potem nagle skoczyła na niego. Poczuł nagły, ostry ból w prawym ramieniu. Zdumiony patrzył na rosnącą szybko plamę krwi.

Vivian już nie było. Uciekała ku morzu. Biegła i biegła, z suchymi oczami i zaciśniętymi wargami, doznając dzikiego zadowolenia z tego, co zrobiła Maclise'owi. Biegł za nią. Słyszała go tuż za sobą. Do diabła z nim! Dzika radość rozpierała jej serce — pobiła go. Nie dopuściła, by ją zdobył. Strach przed nim rozwiął się, uleciał z wiatrem.

Ktoś szedł naprzeciw niej z latarnią okrętową. Był to Regan.

XIV

1

Kiedy odeszli od ogniska, pozostała trójka patrzyła za nimi w milczeniu, które przerwał ostry wybuch śmiechu Julii. Regan zmarszczył brwi, a Mike wyciągnął rękę i nieśmiało położył ją na sukni młodej kobiety.

— Niech się pani nie denerwuje — uspokajał. — To nic nie jest.

— Nic nie jest! Proszę posłuchać, jak to dziecko gaworzy! Słyszysz je, Regan? Nie, oczywiście, to nic nie znaczy.

W jej oczach błysnął gniew.

— Dlaczego pan pozwolił jej odejść? — spytała Regana. — Pozwala pan jej robić, co jej się podoba. Nie mógł jej pan zatrzymać?

— Nie.

— Bo pan nie chciał. Nigdy mnie pan nie lubił. Cieszy się pan moim upokorzeniem.

— Nie bądź głupia.

— Wszyscy jesteście przeciwko mnie. Och, bądź cicho, Mike. Wstała i zaczęła niespokojnie chodzić wokół wygasającego ogniska. Myśli jej biegły za parą, która odeszła. O czym mówili? Co Maclise robił? Och, użyje tych sposobów, które tak dobrze знаła, sposobów, których używał w okresie dziś dla niej skończonym. Przeszła obok Regana i widziała jego zaciśnięte pięści. Więc jednak obchodziło go to? Omyliła się, uważając go za obojętnego. Może uważała go za takiego, dlatego że przy niej pozostawał nieporuszony, myślała więc, że jest- taki przy wszystkich kobietach. Jedno spojrzenie na jego zatroskane oczy skłoniło ją do zapytania:

— Dlaczego pan nie idzie za nimi?

— Po co?

— Vivian...

— Sama chciała pójść.

— Czy to coś znaczy?

— Nie obchodzi mnie to, co ona robi.

— Owszem, obchodzi pana.

Grzebał palcami w piasku, starając się wyłobić w nim dołek.

— Czy myślał pan kiedyś, że pan mimo woli odstrasza Vivian?

— Nie.

— Więc niech pan pomyśli o tym teraz.

Milczał. Dzika kura przydreptała do ogniska i uciekła z hałasem, gdy Regan tupnął nogą, żeby ją przepędzić.

— Klóćcie się z Vivian tak często, że nie dziwiłabym się, gdybyście byli w sobie zakochani.

Roześmiał się.

— Cha, cha! Ładne ma pani wyobrażenie o miłości! Niech pani sobie wybije to z głowy.

Nie powiedziała nic więcej i wkrótce odeszła w kierunku namiotu, a Mike poszedł za nią. Gdy tylko znaleźli się w takiej

odległości, że Regan nie mógł ich słyszeć, Julia dotknęła ramienia chłopca.

— Mike!

— Tak?

— Mów cicho. Widziałeś, jak tych dwoje odeszło razem?

— Tak. Ale nie sądzę, ażeby Vivian miała coś złego na myśli. Po prostu chciała pokazać Reganowi, że robi to, co jej się podoba.

— Och, ona mnie nie obchodzi — odpowiedziała Julia niecierpliwie. — Ale on... Maclise. Nie mogę znieść tego dłużej.

— Czy pani nie może go odzyskać? Usta jej zacisnęły się na wspomnienie ubiegłej nocy.

— Nie. Nie mogę. On nie ma już oczu dla nikogo. Myśli tylko o niej. Stała cicho, smukła i wyprostowana w świetle księżyca. Serce chłopca biło niespokojnie. Wiedział, o co go zapyta.

— Obiecałeś mi coś kiedyś, Mike. Splótł dłonie rozpaczliwym gestem.

— Julio, przecież go pani nie nienawidzi do tego stopnia! Nie mogłaby pani pomówić z nim... powiedzieć mu...

— Jakże mogę? Głuptas jesteś, myślisz, że on mnie wysłucha?

— Więc... ja...

— Boisz się?

— Nie, nie to. Ale... będą wiedzieli, że to ja. Jest nas tylko sześcioro, z nim siedmioro. Regan to wykryje. Zatłucze mnie na śmierć.

— Ale dlaczego ma ktoś wykryć? Nie żądam, ażebyś użył strzelby i wywołał hałas. Nóż... własne ręce... cokolwiek.

— Nie moje ręce!

— Dobrze.

— Julio, czy nie może pani jeszcze trochę poczekać?

— Po co? Myślisz, że może mnie zranić coś więcej, niż to, co już uczynił? Mówię ci, tej nocy, kiedy on zostanie zabity, uspokoję się. Ale jeżeli się boisz...

— Nie boję się.

— ...jeżeli się boisz, ja to zrobię.

— Nie! Niech pani nie mówi takich rzeczy. Niech pani o tym nie myśli. Umarłbym, gdybym pani na to pozwolił.

— Jesteś bardzo silny. Później... potem, gdy już to będzie załatwione, zanieś go do morza. Nikt się nie dowie. Jeżeli zostawisz go za przyładkiem, nigdy nie znajdą ciała.

— Dobrze, dobrze! Jakoś to urządzę. Niech pani nie mówi o tym więcej, Julio.

— Muszę. Chcę być ciebie pewna. Jesteś miękki. Skąd mogę mieć pewność, że nie stchórzysz w ostatniej chwili?

— Julio... jeżeli dotrzymam obietnicy, czy pani dotrzyma swojej?

— Tak.

— Przysięga pani?

— Przysięgam.

Drżał lekko. Podeszła doń blisko i otworzyła ramiona. Rzucił się naprzód, ze szlochem, i przytulił do niej mocno, niepomny upokorzenia, rozplamiony bliskością tego wspaniałego ciała. Jednakże nie śmiał jej pocałować, ścisnął tylko i tulił, a krew szumiała mu w uszach. Sama znalazła jego usta i przycisnęła do nich swe szkarłatne wargi. Kiedy go wreszcie delikatnie odsunęła, był blady i ciężko oddychał.

— Jeżeli zrobisz to, cośmy postanowili... jeżeli ci się uda... będę cię oczekiwała.

Patrzył, jak weszła do namiotu. Kotara z żaglowego płótna opadła; został sam. Rozgarnął włosy rozpalonymi palcami i rozglądał się po zmienionym świecie. Więc myślał o tym naprawdę! Jeżeli... jeżeli zabije Maclise'a, Julia będzie jego. Za taką cenę warto było ryzykować.

Nie był już chłopcem. Pożądanie spalało go. Jego myśli wybiegały naprzód, w ciemność. Ku swemu przykremu zdziwieniu poczuł łzy na twarzy i otarł je grzbietem dłoni. Potem powrócił wolno do ogniska, gdzie Regan siedział nieruchomo, jak rzeźba. Kiedy to się może stać? Tej nocy? I jak? Wyjął swój nóż, długą, okrutną broń, którą wyrwał pijanemu „dago”* podczas bijatyki w Waikiti. W zamyśleniu popróbowował ostrości na swym palcu.

Czy ktoś krzyczał?

Odrzucił w tył głowę i nasłuchiwał. To nie mogła być Julia. Czy to była Vivian? Kiedy dotarł do ogniska, Regan stał nasłuchując.

— Czy słyszałeś coś?

— Brzmiało jak wołanie.

— Tak. Ciekaw jestem, czy się tam coś nie stało.

*** Pogardliwa nazwa jaką Anglosasi darzą Włochów, Hiszpanów i innych południowców (przyp. tłum.).**

Wysilali słuch. Tak, słyszeli. Teraz wołanie było słabsze. Regan wziął latarnię i zapalił ją.

— Idzie pan ich szukać?

— Sądzę, że to najlepsze. Ty możesz zostać. Idź spać.

— Nie. Zaczekam tutaj. Gdybym był potrzebny, niech pan krzyknie.

Ogromna postać Regana zaczęła się oddalać w migotliwym świetle latarni. Co tam się działo? Zaniepokojony szedł w stronę, skąd dochodził głos. Wokół niego była noc, milcząca, tajemnicza jak przyczajone zwierzę. Vivian... co się stało Vivian? Och, to co się jej stało, nie warto było nawet splunąć.

Cokolwiek by to było, chciała tego. Czy nie wiedziała, jakim rodzajem człowieka jest Maclise? Niech płaci za swą głupotę. Niech pozna, jak poznawały inne kobiety, czym są mężczyźni. Regan upewniał sam siebie, że to, co sam odczuwał w stosunku do tej całej sprawy, nie było ani złością, ani litością, tylko głęboką pogardą.

Liany oplątywały mu nogi, musiał więc stąpać ostrożniej. Może ostatecznie jest to idiotyczne, zupełnie zbyteczne poszukiwanie? Będzie wyglądał jak skończony głupiec, jeżeli wpadnie na tę parę, znajdującą się w czułym uścisku!

Ktoś biegł w ciemnościach. Były to kroki kobiety — lekkie, nierówne, szybkie. Regan zatrzymał się i podniósł wysoko latarnię.

Początkowo myślał, że Vivian nie widziała go. Później dopiero pojął, że nie mogła się zatrzymać, biegnąc po pochyłym zboczach. Wyciągnął rękę, a ona chwyciła ją i odzyskała równowagę; oddychała z trudem. Tymczasem nadbiegł Maclise, zdyszany i zły, z okrwawionym rękawem.

— Co się stało? — spytał Regan ostro. — Coś jej zrobił?

— Co zrobiłem? Co ona mi zrobiła! — Maclise z trudem łapał oddech. — Widzisz to? Zraniła mnie nożem za to, że ją pocałowałem. Sprowokowała mnie. Żmija! Kłamliwy mały gad!

— Nienawidzę pana! — krzyczała Vivian. — Nienawidzę! Jeżeli mnie pan jeszcze raz dotknie, zabiję!

— Boże wielki! — Regan był przestraszony. — Niech pani tak nie mówi. Czy biegła pani z tym nożem w ręku? Niech mi go pani odda. Proszę oddać... więc, dobrze, niech go pani odrzuci.

Z uległością, która była dla niego niespodzianką, zgodziła się oddać nóż.

Twarz miała rozpaloną, o tryumfującym wyrazie.

Jej świecące dumą oczy błyszczały jak gwiazdy. Żadne drzenie nie naruszało zdecydowanej linii ust. Zdawało się, że nic ją nie obchodzi, iż jej koszulka jest w strzępach. Kiedy Regan dał hasło do powrotu, wsadziła ręce w kieszenie swych bryczesów i ruszyła naprzód, pogwizdując zuchwale.

Nagle serce Regana zabiło mocniej. Była podobna do dzielnego chłopca.

Cokolwiek Maclise chciał uczynić — nie powiodło mu się. Nikt nie przerywał milczenia i mała procesja zatrzymała się dopiero przed wejściem do namiotu.

Smuga światła padająca spod zasłony wskazywała na to, że Julia nie śpi.

Vivian uniosła połowę zasłony i weszła do wnętrza. Kroki mężczyzn oddaliły się.

Julia nie zrobiła żadnej uwagi. Ile razy Vivian spojrzała na nią — odwracała się. Ale jej bystre oczy spostrzegły od razu podarte ubranie i dziki wzrok dziewczyny. Przez chwilę Vivian stała niezdecydowana. Potem osunęła się na ziemię i ukryła twarz w dłoniach. Julia nie mogła wytrzymać dłużej.

— Jest pani zadowolona? — spytała głębokim głosem. — Ma pani to, czego pani chciała?

— Cicho — brzmiała stłumiona odpowiedź.

— Dobry kochanek z niego, prawda? Nie potrzebuje pani mnie się wstydzić. Dobrze wiem, jaki on jest — powiedziała Julia z goryczą. — Ale zdaje się, że był trochę brutalny. Co pani jest? Pani płacze?

Vivian podniosła oczy zalane łzami. Wobec tego, co Julia w nich wyczytała, zmieniła ton.

— Co się stało? Niech mi pani powie?

— Usiłowałam go zabić.

— Co?

— Zwariowałam chyba. Nigdy nie sądziłam, że on myśli poważnie.

Tymczasem tak myślał. Nie chciał mnie puścić. Dźgnęłam go nożem.

— Zraniła go pani?

— Tak. W rękę.

— Cieszę się — powiedziała Julia chłodno. Więc nie dostał tego, czego chciał! Jemu, zwycięzcy, stawiono opór i wyszydzono go. To mu dobrze zrobi, będzie mniej dumny i pewny siebie. Niechaj pocierpi trochę, tak samo jak ona cierpiała przez niego. Spojrzenie jej zmiękło, gdy spojrzała na Vivian. Po raz pierwszy od wielu dni przemówiła do niej łagodnie:

— Pani jest zmęczona i przestraszona. Teraz proszę o tym wszystkim zapomnieć. Rozbiorę panią.

I Vivian, blada, wyczerpana i pozbawiona wszelkiej energii, poddała się długim, zręcznym palcom Julii.

2

Następnego dnia w obozie panowało napięcie. „Spindrift” był gotów do spuszczenia na morze. Miało to nastąpić nazajutrz około południa. Rana Maclise'a została obmyta zimną wodą, wykąpana w whisky i obwiązana gałganami. Ból przyprawiał go o zdenerwowanie. Widząc, że Regan pragnie się z nim rozprawić, unikał go, pomagając Perouse'owi w pakowaniu i zbijaniu długich skrzyń z bronią. Nie odzywał się ani do Vivian, ani do Julii. Wspólne posiłki były najgorsze; wszyscy jedli szybko w milczeniu i tylko Perouse był tym, który mówił.

— Poczekajcie tylko, aż odpłyniemy. Zdaje się, że wszyscy czujemy się mniej lub więcej nieswojo. Ale też cośmy przeżyli! Uchowaj Boże! Niechaj tylko dopłyniemy do Rapuhi. Uraczę się tam porządnie! W barze Pieta. Jestem ciekaw, czy ta mała dzierlatka w różowych spódniczkach jest tam jeszcze? Ostatnio, kiedy tam byłem, wybuchła o nią awantura. Jakiś chłopak wszczął bijatykę, bo dziewczyna usiadła na kolanach innego. Daję wam słowo, że nie czekałem na początek strzelaniny i schowałem się pod kontuar... Kiedy wszystkie kule zostały wystrzelone, wpełzłem stamtąd razem z Pie tern. Powiedział im, żeby zapłacili za szkody albo pójdą do więzienia. Więzienie w Rapuhi! Takiego drugiego miejsca nie ma chyba nawet w piekle. Powiedzieli, że zapłacą. Długo trwało, zanim policzyli, ile butelek rozbili. Piet był zdania, że lepiej się zabezpieczyć od razu i oskubał ich na czysto. Na drugi dzień, obliczając wszystko, przekonał się, że do liczby stłuczonych butelek doliczył półtora tuzina pustych, które stały tam również. Zabawne, co? Ale zawsze lepiej być zabezpieczonym, mawiał.

Perouse rozejrzał się i zamilkł. Siedzieli niewzruszeni. To wszystko dlatego, że wzięli na statek kobiety. Perouse odszedł do swojej roboty i znów poczuł tęsknotę za tym, żeby poczuć pod stopami deski pokładu kołyszącego się na morzu.

Mike był przez cały dzień bardzo spokojny. Gdy słońce zaszło, zdecydował się na pewien plan działania. Najprawdopodobniej wszyscy wcześniej pójdą spać, po zmęczeniu i przygo-

dach ostatnich dwudziestu czterech godzin. On i Perouse woleli spać na pokładzie pochylonego statku. Ale Maclise, zaraz pierwszej nocy, owinał się w koc i ułożył się do snu w zagłębieniu między dwoma wzniesieniami piasku. Regan leżał zwykle obok ogniska. Obaj, i Regan i Maclise, kładli na głowę worki z siatki, żeby się ustrzec od moskitów. Te małe bestyjki nigdy się nie uspokajały i nigdy nie milkły. Całą noc i cały dzień brzęczały, tańczyły i kłuły.

Mike zwykle udawał się na spoczynek wcześniej. Ale tej nocy siedział nachmurzony przy ognisku jeszcze potem, gdy wszyscy prócz Regana rozeszli się. Chciał się upewnić, gdzie leży Maclise. Ważne było, żeby Regan nie usłyszał żadnego dźwięku. Mike siedział z tej strony ogniska, która znajdowała się bliżej wzgórz, toteż naturalne było, że Regan rozłożył swój koc po drugiej stronie.

— Idź spać. Już późno.

Mike wstał i udał się na statek do Perouse'a. Tutaj robił dużo hałasu i zdradzał natrętą rozmowność. Perouse, choć już na wpół spał, rozzłościł się i rzucił w Mike'a butem. Mike roześmiał się i dalej gawędził, dopóki Perouse nie zwinął się pod swą cienką kołdrą i nie zaczął chrapać. Głos Mike'a stawał się coraz cichszy, wreszcie chłopiec upewnił się, że Perouse śpi. Gdyby nawet stary usłyszał teraz jakiś dźwięk, nie wstałby; byłby przekonany, że to dalsze błazeństwa Mike'a.

Noc stawała się coraz głębsza. O jedenastej czterdzieści pięć — światło księżyca padało właśnie na zegarek Perouse'a — Mike ostrożnie usiadł i zaczął wkładać ubranie, które w dzień przesmuglował do swojej koi.

Wciągnięcie spodni w skurzonej pozycji, w jakiej się znajdował, przedstawiało trudność nie lada, ale wreszcie spuścił nogi z koi i bardzo ostrożnie stanął. Kiedy wsunął ręce w rękawy granatowego trykotu, rzucił uważne spojrzenie na Perouse'a. Ale na koi, znajdującej się tak blisko niego, nic się nie poruszyło. Mike naciągnął na głowę czarną szalik, w której wyciął otwory na oczy. Miał przy sobie długą linę z pętlą na końcu.

Z niezwykłą ostrożnością przeszedł do otwartych drzwi. Wolno, wolniutko posuwał się po pokładzie, prosząc Boga, żeby żaden jego ruch nie obudził Perouse'a. Spuścił się wzdłuż burty statku po zwisającej tam linie. Dotknął stopami piasku. Wypuścił linę ostrożnie, aby nie uderzyła zbyt mocno o burtę.

Gwiazdy były bardzo jasne. Mike przez chwilę patrzył na nie, czekając, aż serce mu się uspokoi. Zabójstwo!...

Brzmiało to okropnie. I okropnym było to, co zamierzał uczynić.

Wyprostował ramiona i powiedział sobie, że mu wszystko jedno. Julia się nie cofnie; jeżeli on odmówi — Julia zrobi to zamiast niego. Co powiedziała? — „Będę leżała spokojnie tej nocy, kiedy on zostanie zabity”. Żadne argumenty Mike'a nie odniosłyby skutku. Co znaczy, że jego ręce będą czerwone, wobec tego, że jej ręce pozostaną czyste? Czuł wstręt do mężczyzny, który porzucił Julię. Cieszył się, że Maclise umrze. Dlaczego miałoby się pozwolić żyć człowiekowi, który postąpił z Julią tak, jak postąpił Maclise?

Ostrożnie, na czworakach posuwał się po piasku w stronę wzgórz. Skarpeta na twarzy grzała go niemożliwie. Ale nie ośmielał się zdjąć jej, bo Maclise mógł otworzyć oczy. Ogień prawie wygasł, ale Mike trzymał się z dala od kupki niewygasłego popiołu i okrążył go, nadkładając drogi, w obawie, że Regan mógłby się obudzić.

Dwa razy kładł się na płask i odpoczywał. Przerazało go bicie własnego serca, ręce miał zimne jak lód. Usiadł i pocierał je, ściskając palce, żeby pobudzić zastygłą krew. Cóż za szum wywoływało morze! Na pewno kogoś zbudzi przed czasem. Znow zaczął pełznąć. O, tu była głowa Maclise'a. Rozróżniał już zamglony zarys siatki przeciw moskitom. Podkładał się coraz bliżej, aż twarzą dotykał prawie nóg Maclise'a.

Zatrzymał się i podciągnął do pozycji klęczącej. Mógł widzieć Regana śpiącego przy ognisku, skurczonego pod kocem. Mike z liną w ręce posuwał się cal po calu, aż znalazł się przy głowie wroga. Maclise leżał na lewym boku i Mike musiał go obejść, żeby znaleźć się za jego plecami. Plan Mike'a był prosty: zrobić wyżłobienie w piasku przy karku Maclise'a, następnie przesuwać luźny koniec sznura pod szyją Maclise'a i przeciągnąć go przez pętlę na drugim końcu. Potem nie pozostałoby nic więcej, jak mocne pociągnięcie. Cierpliwie odgarniał piasek i ziemię, aż pod karkiem Mac-lise^A ukazał się mały rowek. Cal za cal, Mike ostrożnie przepychał luźny koniec sznura. Zajął mu to dziesięć minut i kolana drżały pod nim z napięcia. Obszedł Maclise'a wkoło, aż znalazł się przy jego twarzy i posunął sznur trochę

dalej. Schyliwszy się, przeciągnął wolny koniec sznura przez pętlę.

Teraz!

Mocno szarpnął. Sznur naprężył się. Ciągnął go jak bezlitosna śmierć. Nie przewidział ogromnej siły Maclise'a. Ten walczył rozpaczliwie, wymachując rękami w powietrzu, aż natrafiły na naciągnięty sznur. Chwycił zań i ciągnął ku sobie, ażeby osłabić naprężenie. Ten manewr zaskoczył całkowicie Mike'a. Został szarpnięty naprzód. Zanim zdążył odzyskać równowagę, Maclise rozluźnił pętlę na tyle, że mógł wrzasnąć ochrypłym głosem.

Nerwy odmówiły Mike'owi posłuszeństwa. Puścił sznur i zaczął biec w stronę statku. Kiedy wdrapał się po linie na pokład, zerwał z siebie ubranie i zwinawszy je w kłębek, rzucił w kąt. Teraz zaczął krzyczeć: „Idę, idę”, w odpowiedzi Maclise'owi, który darł się wniebogłosy. Po czym zawołał na Perouse'a:

— Chodźcie! Czy nigdy nie wstaniecie? Coś się stało. Tymczasem Perouse wybiegł już na pokład i spuszczał się po

linie na dół. Razem pobiegli do miejsca wypadku; za nimi pędził Kapeke.

— Zapalić latarnię — usłyszeli głos Regana, więc Mike pobiegł do ogniska, gdzie Regan miał zawsze latarnię w pogotowiu. Mike był teraz spokojny i bardzo pewny siebie. Nawet ręka mu nie drżała przy zapalaniu lampy. Kiedy dotarł do grupy przy wzgórzach, zastał Maclise'a siedzącego, z purpurową i nabrzmiałą twarzą, z oczami nabiegłymi krwią.

— Ktoś mnie chciał udusić — mówił, trzymając się za obolałą szyję. — Chciał mnie powiesić na tym sznurze. Kto to był? Kto to był? — Spoglądał na wszystkich po kolei i oczy jego zatrzymały się na Reganie.

— Więc? Co wiesz o tym?

— Nic. Usłyszałem twój krzyk, więc przyszedłem. To nie byłem ja. Ale powiem ci jedno: widziałem kogoś uciekającego.

— Kto to był?

— Nie wiem. Przemknął jak cień. W stronę statku.

— Jakoś mało prawdopodobna historia z tym cieniem. To zabawne, że znalazłeś się tu tak prędko, prawda? Czy przypadkiem nie byłeś już rozbudzony?

— Nie. Czy posądzasz mnie o to, że chciałem cię zamordować?

— Ktoś chciał to zrobić! Spójrz na moją szyję. I tu jest sznur. Zresztą mówisz, że widziałeś umykający cień.

Stłoczyli się wokół niego — Perouse, Kapeke, Regan, Julia i Vivian, wreszcie Mike, trzymający latarnię.

— Był to ktoś z was — ryknął Maclise z nagłą pasją. — Myślicie, że jestem głupcem? Troje z was nie życzy mi zbyt dobrze.

— Czy jesteś pewny, że ci się to nie śniło?!

Było to przypuszczenie Perouse'a i Maclise wsiałdł na niego.

— Ty głupi, stary ośle, myślisz, że powiesiłbym się dla żartu? Ty wiesz coś o tym, no nie?

Regan wystąpił naprzód, żeby zatrzymać ten potok słów.

— Po kolei. Perouse zeznaje pierwszy. Co cię zbudziło?

— Ten chłopak — odrzekł Perouse strapiony. — Był na pokładzie i wrzeszczał, abym wstawał jak najprędzej. Wstałem i przybiegliśmy razem, a tu nagle mówią, że to ja zrobiłem.

— Czy słyszałeś coś, zanim Mike cię zawołał?

— Nie.

— W porządku. Mike, co słyszałeś?

— Słyszałem, że ktoś krzyczy — odrzekł Mike. — Myślałem, że Perouse słyszy też, więc wybiegłem na pokład. Gdy nie przychodził, zawołałem go. Potem przybiegliśmy tutaj.

— Widzę — sztydził Maclise — że wszyscy jesteście zaopatrzeni w doskonałe alibi. Co panie mają do powiedzenia?

— Jeżeli myślisz, że jakaś kobieta mogłaby...

— Co one mają do powiedzenia?

— Czy pan myśli, że ja to zrobiłam? — spytała Vivian. — Niech pan to powie, jeżeli pan tak sądzi.

— Nie zdywiłbym się — odrzekł Maclise z goryczą. — Ale nie myślę, że to była pani. To był mężczyzna. Żadna kobieta nie miałaby siły tak ciągnąć.

Spojrzenie jego znów powędrowało do Regana.

— A może myślisz, że to ja? — spytała Julia. — Jestem bardzo silna.

— Co cię zbudziło? — spytał nagle Maclise.

— Twój wrzask. Obie spałyśmy bardzo mocno.

— Jesteś pewna?

— Jestem pewna. Vivian była oparta o mnie. Gdyby któraś z nas się poruszyła, druga musiałaby się obudzić.

Spojrzała na Mike'a. W oczach jej nie było ani litości, ani potępienia.

Jednakże wiedział, że dla niego nie było już nadziei.

Nie będzie nigdy spał tam, gdzie spała Vivian w ciągu tych niespokojnych, morderczych godzin. Odwrócił głowę, ale nie mógł zapomnieć jej spojrzenia.

— Nie myślcie, że na tym się skończy — usłyszeli warkliwy głos Maclise'a.

— Był to ktoś z was, stojących tutaj.

— Dobrze, więc kto? — spytał Perouse. — Wypluj to, Maclise. Z kim miałeś awanturę ostatnio? Nie ze mną. Nie z Mike'em. Z Kapeke? Nie? Więc ktoś z pozostałej trójki. Czy tak myślisz?

Maclise nie odpowiedział. Wstał sztywno, przesuwając ciągle dłońmi po szyi.

— Może w głębi wyspy są jacyś tubylcy — wyraził przypuszczenie Regan. — Uważaliśmy, że to miejsce jest nie zamieszkane. Ale na pewno nie wiemy. Nie zdziwiłbym się, gdyby to był krajowiec.

— To bardzo sprytnie z twojej strony wciągać w tę sprawę jeszcze jakichś nie istniejących krajowców — naskoczył na niego Maclise. — Wspaniała myśl, prawda? Jestem ciekaw, co cię na nią naprowadziło?

Regan wystąpił naprzód.

— O co ci właściwie chodzi? Czy posądzasz mnie, że chciałem cię zabić?

— Do diabła z posądzeniem! Twierdzę to. Czy słyszysz? Oczywiście, że to byłeś ty. Któż inny mógłby być?

Drżał teraz, wstrząśnięty, zupełnie rozbity tym okropnym przebudzeniem.

Cały świat przestał dla niego istnieć, pozostał tylko ten wróg, ten śniady Cygan, który zabił jego przyrodniego brata i pewnego dnia na pewno zabije też jego. Zaciśnął pięści i cofnął się, gotując się do skoku. Ale Regan pchnął go i rozłożył na ziemi.

— Idź do wszystkich diabłów! Nie walczę w ciemności. Maclise leżał cicho i tam go zostawili; niechaj śpi, jeżeli

będzie mógł, jeżeli nie, niechaj leży tam do świtu. Julia i Vivian powróciły do swego namiotu. Regan usiadł wyprostowany przy ognisku, mając u boku nóż zatknięty w piasek. Kapeke zwinął się w kłębek na przodzie pokładu. Perouse zastanawiał się i snuł przypuszczenia przez kwadrans, po czym mruczając coś położył się spać w swej pochyłej koi.

Mike trzymał się do chwili, kiedy jedynym dźwiękiem słyszonym w kabinie stał się regularny oddech Perouse'a. Wtedy nasunął kołdrę na głowę i pozwolił płynąć łzom.

XV

1

Następnego dnia „Spindrift” znów znalazł się na wodzie. Spuszczenie go wymagało wiele czasu. Mężczyźni, ociekając potem, mocowali się z nim aż do zupełnego wyczerpania. Statek zdradzał upór, przeciwstawiał się twardo wszystkim ich wysiłkom. Lecz wreszcie go zwyciężyli, stopniowo wysuwając z prymitywnej stoczni własnego pomysłu. Fale zabrały go i uniosły na płytką wodę w odległości kilkunastu metrów od brzegu.

Ładowanie też zabrało sporo czasu. Tratwa dziewiętnaście razy płynęła z brzegu do statku i z powrotem, albowiem rozładowano go całkowicie przed przystąpieniem do naprawy. Kiedy nareszcie wszystko znów znalazło się na pokładzie, była czwarta. Ale Regan nie chciał czekać. Skierował statek na południowy wschód, na Rapuhi. Przyjemnie było znów czuć kołysanie pokładu pod stopami i wiatr na twarzy. Może teraz, kiedy znów znaleźli się na morzu, wzburzenie, które ogarnęło Maclise'a i obie kobiety, minie. Regan próbował w ten sposób się pocieszyć, chociaż w głębi serca wiedział, że okłamuje sam siebie.

Kto zamierzał zabić Maclise'a? Regan pomyślał o Julii. Była wysoka i bardzo silna. Ale gdyby to była ona, musiałyby ją widzieć przechodzącą. Przypomniał sobie, gdzie znajdował się namiot. Aby się tam dostać, musiałyby przejść obok niego. Zresztą on pierwszy obudził się na wrzask Maclise'a. A ten ciemny cień, biegnący w kierunku statku?

Ten cień...

Do kogo należał? Na statku spało trzech mężczyzn — Kape-ke, Perouse i Mike. Perouse'a odrzucił od razu. Pozostał Mike i Kanak. Mógł być tylko jeden z nich. Który?

— Kapeke! — zawołał.

— Och, Regan!

Kapeke przybiegł pędem, a jego wielkie oczy były pełne pytań.

— Kapeke — odezwał się Regan surowo — Makeleti, Mac-lise, jak zawsze spać ostatnia noc. Zły człowiek próbował zabić Makeleti. Wiesz coś o tym?

— Wiedzieć.

— Kapeke, kto to był?

— Nie wiedzieć, Regan.

— Jesteś przekłety kłamczuch! Musisz mówić. Jeżeli nie powiesz, poślę ci zjawę; będzie cię gryzła całą noc.

Kapeke zatrząsł się.

— Nie wiedzieć.

— Ten zły człowiek biegł do „Spindrifta” — mówił dalej Regan. — Widziałeś go?

— Nie, nie!

Chłopiec był najwyraźniej zakłopotany. Regan był prawie pewien, że chłopiec mówi prawdę.

— Nie zabić Makeleti — mówił Kapeke. — Makeleti silny, sam diabeł. Jemu zawsze jeden człowiek mocny mężczyzna. Nie zabić.

Był to jego sposób wyrażania się, oznaczający, że podziwiał Maclise'a i za żadne skarby nie podniósłby na niego ręki. Regan skinął głową. Jeżeli Kanak mówił prawdę, pozostawał tylko Mike.

— Mike!

Mike wszedł, powłócząc trochę nogami; miał minę zdziwioną, co się Reganowi wydało podejrzanę.

— Chodź tu!

— Po co? Perouse mnie potrzebuje.

— Mniejsza o Perouse'a. Posłuchaj, co wiesz o tej sprawie z ubiegłej nocy?

— Jakiej sprawie?

— Nie bądź idiotą. Chodzi o Maclise'a. Co wiesz o tym?

— Nic.

— Jesteś pewny?

— Naturalnie, że jestem pewny. Skąd miałbym coś o tym wiedzieć? — odparł, unikając wzroku Regana.

— Czy masz jakąś pretensję do Maclise'a?

— Co znaczy — pretensja?

— To co mówię. Nie wykręcaj się sianem. Nie uda ci się.

— Czy Maclise podejrzewa mnie?

— Nie. O tobie nawet nie myśli. Do głowy mu nie przyszło, że możesz pragnąć jego śmierci. Myśli, że to ja zrobiłem. A myśli tak dlatego, że chce, żeby tak było. Mam to gdzieś. Ale chciałbym wiedzieć dla własnej przyjemności. Powiedz więc — dlaczego to zrobiłeś?

— Nie złapiecie mnie w ten sposób, kapitanie. Nie zrobiłem tego.

— W takim razie wiesz, kto zrobił.

— Nie.

— Czy jesteś zazdrosny o Maclise'a? — zapytał Regan z zaciekawieniem. — Nie kłam. Jesteś zazdrosny?

— Dlaczego miałbym być zazdrosny? Ona go już nic nie obchodzi.

— Julia?

— Powinno się go zastrzelić! — wykrzyknął nagle Mike z wściekłością. Po jego bladej twarzy przepłynął rumieniec. Szorstkie ręce były nerwowo zaciśnięte.

— Zastrzelić... lub powiesić... lub udusić, prawda? Zrobić coś takiego, żeby nie żył?

— Tak — nie — nie wiem! Przestańcie mi dokuczać!

— Więc to byłeś ty?

— Nie, nie.

— Następnym razem spróbuj zabić kogoś za dnia. W porządku. Możesz wrócić do Perouse'a.

— Ale... ja... pan...

— Słyszałeś, co powiedziałem?

Poszedł. Ale nie z powrotem do Perouse'a. Głowa go bolała. Wszystko wydawało mu się zmacone i nierzeczywiste. Potykając się, zszedł po schodach i skierował się do drzwi kabiny Julii. W odpowiedzi na jego pukanie — otworzyła.

— Hallo! Co się stało?

— Chcę z panią pomówić.

— Teraz nie mogę. Jestem zajęta. Ale postawił nogę w otworze drzwi.

— Muszę pomówić z panią — był zdesperowany. — Niech mnie pani wpuści.

— Ani mi się śni — powiedziała Julia. — Po co? Jaki skandal wywołasz znowu? Odejdź!

Ale nie chciał. Stał w miejscu, taki blady, tak wzbudzający współczucie, że wyszła do niego na korytarz.

— Więc?

— Nie możemy mówić tutaj.

— W takim razie nie będziemy mówić wcale. Nikogo nie ma w pobliżu. Vivian śpi. Kapeke jest w kambuzie. Inni — na pokładzie.

Mike zaczął się tłumaczyć.

— Julio, przykro mi... z powodu, wie pani z jakiego powodu.

— Uważaj! Nie tak głośno.

— Pani musi być na mnie strasznie zła?

— Czy spodziewałaś się, że będę zadowolona, młody głuptasie?

Sfuszerowałaś, nie wiem dlaczego. W porządku. Przeszło. Masz zamiar jęczeć przede mną z tego powodu?

— Nie ma pani pojęcia, jaka okropna jest świadomość, że mi się nie udało.

— Nie powinno było się nie udać. Gdzie twoja odwaga? — spytała pogardliwie. — Ale... to dlatego, sądzę, że jesteś jeszcze dzieckiem.

— Próbowałem. Naprawdę próbowałem.

— Dobrze, dobrze! Czy to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia?

— Tak. Tylko jeszcze...

— No?

Zwilżył swe suche wargi.

— Julio...

— Och, śpieszę się! Czego chcesz?

Podniósł na nią oczy, pokorne, błagalne, usiłując znaleźć jakiś przejaw dobroci w jej zimnej piękności. Puls chłopca tętnił przyśpieszonym rytmem. Jego nerwowe ręce wyciągnęły się ku rękom Julii, po czym cofnęły z przestraszeniem.

— Zrobiłem, co mogłem. I... i... nie mogę żyć bez pani. Nie zniosę tego, Julio. Widzieć panią codziennie... to okropne! A miałem nadzieję... myślałem... gdyby mi się udało... gdybym zrobił to, co pani chciała...

Nie powiedziała ani słowa, tylko patrzyła na niego, gdy tak stał, dręczony jedynym pragnieniem, które nie dawało mu spokoju ani w dzień, ani w nocy.

— Nie mogę tego znieść — powtórzył chrapliwym, drżącym głosem.

— Ale będziesz musiał to znieść. To był interes, Mike. Gdybyś wypełnił swoje zobowiązanie, otrzymałbyś to, czegoś pragnął. Twoja wina, że ci się nie udało. No, nie mogę stać tutaj cały dzień.

— Niech pani nie odchodzi! — błagał udęczony. — Niech pani nie odchodzi! Julio, czy nie ma dla mnie żadnej nadziei? Czy nigdy nie odczuwała pani współczucia dla nikogo?

Gardziła nim dlatego, że był taki pokorny, że się tak płaczkliwie usprawiedliwiał. Dlaczego głupiec nie porwał jej w ramio-

na? Tak, wtedy by go szanowała. Ale to całe uwielbienie, psu na buty...

— Nigdy mi nie żal nikogo — odpowiedziała ze spokojem. — Większość ludzi nie zasługuje na współczucie.

— Pani jest okrutna.

— Jesteś rozżalony, Mike, bo nie możesz mieć tego, czego pragniesz. Nie cofnę swego słowa. Jest ono jeszcze w mocy.

— Co pani ma na myśli?

— To, co mówię. Nic się nie zmieniło od czasu opuszczenia wyspy. Ja jestem tutaj. Ty jesteś. On jest.

Wtedy dopiero Mike zrozumiał.

— To znaczy... mam spróbować po raz drugi?

— Jak chcesz.

— Nie mogę. Nigdy nie mógłbym zrobić tego po raz drugi. To było straszne. Nie przeżyłem nigdy nic okropniejszego. Nie zrobiłbym tego po raz drugi. Niech pani tego nie żąda.

— Boisz się?

Tak. Przedtem się nie bałem. Myślałem, że będę w stanie uczynić wszystko, czegokolwiek pani zażąda, bo na końcu tego wszystkiego była pani, jako nagroda. Ale teraz — nie mogę! Nawet dla pani!

Błagał spojrzeniem o pozwolenie odejścia, ale Julia nie reagowała na to. Była dotknięta gwałtownością Mike'a.

— Nie przypuszczałam, że mi zrobisz zawód.

— Nie robię zawodu. Ale nie jestem w stanie. Nie mogę próbować po raz drugi. Przypuśćmy, że go zabiję, Julio... Regan mnie powiesi.

— Głupstwa gadasz.

— Zrobiłby to — powiedział Mike zmęczonym głosem. — On wie. Domyślił się. Nie, nie o pani. Ale wie, że to ja byłem. Wykombinował sobie, że mógł to być tylko Kapeke albo ja i stwierdził ostatecznie — że ja.

Więc Regan domyślił się? Julia zadrżała. Czy będzie tak długo rozważał, aż wykryje, kto stoi za plecami Mike'a? Wpaść w łapy Regana...

— Więc widzi pani, że nie mogę — mówił dalej Mike poważnie. — Jeżeli cokolwiek stanie się Maclise'owi, Regan będzie wiedział, kto to zrobił. On nie traci czasu. Toteż nie byłoby nawet czasu na...

— Więc niech tak będzie — ucięła krótko Julia. — Nie mówmy już o tym. Ale pamiętaj, co ci mówiłam. Jeżeli do-

trzymasz słowa, ja go też dotrzymam. Teraz odejdź. Jestem zajęta.

Odsunęła go łagodnie i zamknęła drzwi. Idąc przez korytarz, słyszał, jak sobie nuciła.

Wolno wyszedł na pokład i zastał tam Perouse'a, przeglądającego połatanę żagle.

— Dziewczyny ponaprawiały je, jak mogły najlepiej — rzucił przez ramię Mike'owi. — Ale uderz mnie, jeżeli nie myślę, że tylko mężczyzna zna się na żaglach. Kobięce ręce nie są stworzone do szorstkich przedmiotów.

— Jak długo pozostaniemy w Rapuhi? — spytał Mike, jak gdyby nie słyszał słów Perouse'a.

— Nie wiem. Nie więcej jak dwa, trzy dni. Dostyc długo, żeby wylądować towar i wypić parę szklaneczek. Rapuhi nie jest teraz zdrowe dla nikogo z nas.

— Rozumiem.

— Chodź ze mną, gdy wylądujemy — Perouse przyjrzał się Mike'owi uważniej. — Pokażę ci to i owo. Masz przecież już prawie dwadzieścia lat, prawda? Czas, żebyś stał się mężczyzną. Nigdy się nie upiłeś? Nie byłeś naprawdę porządnie urżnięty?

— Nie.

— Najlepsza rzecz na świecie na zapomnienie o swych kłopotach — oświadczył Perouse. — Rozumie się, że przypominają się znów, kiedy się wytrzeźwieje, ale nie wydają się już takie beznadziejne. Dzierlatki również. No dobrze, ale nie patrz na mnie w taki sposób. Domyślam się, jakie są twoje troski. Zostaw je, Mike. Po ciemku nie odróżnia się jednej kobiety od drugiej. Zagłębił się we wspomnienia, ale Mike nie słuchał — ...dzierlatka w różowym... toczona z przodu i z tyłu... więc powiedziałem... więc ona zaczyna...

— Perouse.

— No?

— Nie mówcie Reganowi ani... ani nikomu. Ale jak dopłyniemy do Rapuhi, poszukam sobie innego statku.

— A to na co?

— Nie mogę pozostać tutaj dłużej. Muszę coś zmienić. Znacie masę ludzi. Powiedzcie o mnie jakiemuś szyprowi.

— Ale dlaczego?

— Mniejsza o to. Pomówicie, prawda?

— Pomyślę o tym — przyrzekł Perouse. — Hej, patrz, trzeba sklarować liny. Skoczyli do głównego masztu. Maclise przyłączył się do nich. Wobec bliskości człowieka, którego usiłował zamordować, Mike poczuł się nieswojo. Jakoś nie czuł do niego takiej nienawiści, jaką sobie wmawiał. Ale jeżeli tak — to czy w ogóle go kiedyś nienawidził? Czy nie było to raczej uczucie wymuszone, mające tylko dać podstawę jego czynom i utwierdzić go w wierze, że zabija Maclise'a dla swojego własnego zadowolenia, a nie dlatego, że pragnie tego jakaś kobieta.

Stanął przy burcie i patrzył, jak morze od wieczornego nieba przybierało kolor ciemnego wina. Kilka delfinów koziółkowało w odległości jakichś stu metrów, a ich duże, mokre grzbiety połyskiwały w zachodzącym słońcu. Na następny dzień zapowiadała się piękna pogoda. Ani jedna chmurka nie plamiła ciemnobłękitnego nieba. Wkrótce nastąpi pora kolacji i Mike będzie musiał zejść na dół, zjeść swą porcję i brać udział w ogólnej rozmowie. Jedzenie, whisky, błyszczące plecy Kapeke, Perouse tnący tytoń, rozmowa o widokach na dobrą podróż, śmiech Vivian, zapach świeżego pieczywa — wszystkie te banalności ich codziennego życia, oto co go czekało.

I Julia...

Nie myśleć o niej... nie myśleć... nie myśleć...

2

Podróż z bezimiennej wyspy do Rapuhi zajęła im pięć dni. Gdyby postawili więcej żagli, zyskaliby jeden dzień. Ale Regan nalegał aby zachować ostrożność. Każdy z nich spał, mając tylko jedno oko zamknięte i nad całym statkiem unosił się duch niepokoju. Ramię Maclise'a goiło się szybko, choć Vivian zraniła go głębiej, niż przypuszczała. Za każdym razem, gdy ją spotykał, doznawał takiego uczucia, jak gdyby nóż wwierał mu się w serce. Pożądanie szarpało go dalej — wściekłe, dzikie pragnienie, którego nic nie mogło osłabić. Kiedy przechodziła koło niego, patrzył w ślad za nią. Kiedy mówiła, słuchał z napięciem. Wiedział, gdzie się znajduje o każdej godzinie dnia.

Z tęsknotą mieszała się nienawiść, której intensywność zastanawiała go. Chciałby zadać ból Vivian, chciałby torturować to delikatne ciało tak długo, żeby musiała błagać o łaskę. Dotknę-

ła go śmiertelnie. Ale zapłaci za to! Niech uważa! Dopadnie ją jeszcze — pocieszał sam siebie. Niechaj płacze i broni się i odpycha go, aż osłabnie z wysiłku. Niechaj cierpi i przez całe życie pamięta ten wstyd i ból.

O Julii myślał niewiele. Chodził po statku z zaciśniętymi ustami i zawsze zamyślony, nie wiedząc wcale, jak go śledzi i obserwuje. W ciągu tych dni byli bardzo do siebie podobni; para nieszczęśliwych kochanków, których plany zostały pokrzyżowane, których najbardziej wypróbowane sztuczki zawiodły. Pozornie Julia odzyskała spokój. Przysłuchiwała się planom mężczyzn, zabierała głos w dyskusjach, uśmiechała się nawet do Maclise'a, patrząc nań wielkimi, spokojnymi oczami, w których nie odbijało się nic prócz obojętności. Po pewnym czasie Maclise powiedział sobie z uczuciem ulgi, że sprawa z Julią jest skończona. Robiła początkowo z siebie wariatkę, ale w końcu postanowiła pogodzić się z faktami, jak przystało kobiecie z klasą. Ach, to doskonale! Miał dosyć trosk poza kłopotem z nią. Dopóki ona dawała mu spokój, mógł poświęcać swe myśli Vivian i — Reganowi.

Bo Regana należało śledzić. Maclise nie miał nawet cienia wątpliwości, co do autorstwa napaści. Kto by to mógł być, jeżeli nie Regan, jego śmiertelny wróg? To przebiegły drań. Pewnego dnia spróbuje ponownie. Należy do tych, którzy nigdy nie dają za wygraną. Tak, wkrótce powtórzy zamach, rozumował Maclise, i następnym razem powie mu się. Maclise śledził Regana jak kot, podpatrując ukradkiem jego kroki. Trudno było przewidzieć, skąd przyjdzie atak. W to, że przyjdzie, Maclise wierzył tak jak w to, że słońce wzejdzie. Vivian, ubrana w bryczesy i purpurową koszulę, poruszała się swobodnie w tej atmosferze podejrzeń i nieufności. Mając z natury wesołe usposobienie, jak wszyscy ludzie lekkomyślni, nie dawała się pogrążyć w ciemnej fali złego humoru, która zalewała innych. O Maclisie starała się myśleć jak najmniej. Z Julią pozostawała w dobrej komitywie, choć właściwie miały ze sobą niewiele wspólnego. Zresztą Vivian widziała to, czego nie widzieli inni — że czarnowłosa kobieta obserwowała Maclise'a, tak jak człowiek uzbrojony w strzelbę obserwuje skradającego się wilka. Czasami Vivian przejmował dreszcz na widok ukradkowych, badawczych spojrzeń Julii. Patrzyła tak prawie zawsze. Czasami wyraz skupienia zniknął z jej oczu, wtedy na przykład, gdy leniwie gawędziła z Vivian; skoro jednak usły-

szała jakieś kroki na schodach, wyraz ten pojawiał się natychmiast pod jej spuszczonej powiekami. Bezustannie czegoś nasłuchiwała, na coś czekała, kogoś śledziła. Kiedy Vivian ją zagadywała, odpowiadała, ale było jasne, że myśli jej błądziły — tak, błądziły, aby zatrzymać się w tym miejscu statku, gdzie Maclise siedział przy sterze i kierował „Spindriftem” na południowy wschód poprzez białe bryzgi fal.

Ze skrzypieniem rej i chrzęstem lin „Spindriftem” zmierzał do Rapuhi. Pogoda utrzymywała się. Na trzeci dzień rano zobaczyli albatrosa prującego powietrze. Perouse śledził go z otwartymi ustami, osłaniając sobie oczy pomarszczoną dłonią.

— Nigdy nie mogę się nasycić widokiem tych ptaków — zachwycił się. — Widzieliście kiedyś taki lot? Żaden inny ptak nie fruwa w ten sposób.

Wygląda zupełnie tak, jak gdyby się wcale nie poruszał. Sądzę, że to oznacza dla nas szczęście. Czytałem raz poemat o jednym facecie, który zastrzelił albatrosa — Boże, co on przeszedł! Widział go ciągle przed sobą. Piękny poemat. Nazywa się „Stary marynarz”.

— „Dawny Marynarz” — poprawiła go Vivian. Mężczyźni odwrócili się na dźwięk jej głosu. Stała na wprost nich, wysmukła i zuchwała, z wyzywająco podniesioną głową.

— Więc co z tego? — mrucał Perouse odchodząc. Vivian roześmiała się.

— Wie pani — odezwał się Regan — że pani jest jedyną osobą na tym statku, która jeszcze potrafi się śmiać?

Natychmiast ochłoneła. Jej szare oczy zamgliły się.

— Więc pan to czuje także? Czy to nie jest okropne? I jak się to skończy?

— Nie wiem — patrzył na nią z wysokości swego wzrostu. — Ktoś z nich rozpocznie awanturę, a później my się przyłączymy i znajdziemy tego, kogo szukamy.

— Kto rozpocznie, jak pan sądzi?

— Maclise.

— Tak pan uważa?

— Tak. I jeżeli nie będę ostrożny, zabije mnie w ten sam sposób, jak jego przyrodni brat zabił ojca pani.

Zbladła.

— Ależ dlaczego?

— Bo znam Maclise'a. Wiem, jaki jest, kiedy chce kogoś podejść. Właśnie teraz tak się zachowuje. Myśli, że to byłem ja — wtedy w nocy, na wyspie.

— A to był pan?

— Nie. To był Mike. Tak, on. Prawie że się przyznał. Dlaczego to zrobił? O, do stu piorunów! Jaki ma sens pytać o przyczyny? Jest zazdrosny, jak sędzę.

— Ale Maclise...

— Maclise nie dba już o Julię. A dlaczego? Bo obchodzi go tylko pani. Na panią spada odpowiedzialność za niejedną rzecz.

Spojrzała nań z przerażeniem.

— To prawda, Vivian. Prowokowała go pani. Bawiła się pani nim, jak gdyby był rybą. Czy pani go chciała zdobyć? Nie wygląda na to. Więc po co, u diabła, zaczynała z nim pani?

— Ja...

— Niech pani się nie tłumaczy. Doprowadziła pani do tego, że się zakochał, a później odepchnęła go. Oto jest prawda, czy nie tak? Ejże?

Nie odpowiedziała.

— Pani wie, że mam słuszość. Przecież nigdy by nie zaproponował tego spaceru, który miał takie skutki, gdyby go pani nie poprosiła.

— To był tylko żart.

— Nic nie jest żartem, kiedy mężczyzna jest zakochany. Pomyślał to, co pomyślałby każdy mężczyzna — że zaprosiła go pani, żeby... dać mu coś konkretnego. Zdaje się, że pani tego nie chciała. Ale nie może pani go winić za to, że myślał inaczej.

— Nigdy nie miałam tego zamiaru.

— Więc po co pani szła z nim?

— Żeby pokazać panu, że robię to, co mi się podoba — odparła Vivian lekkomyślnie. — Oto dlaczego. Pan wciąż chciał nade mną przewodzić i byłam na pana wściekła. Wiedziałam, że to pana rozzłości, gdy pójdę z Maclise'em. Dlatego to zrobiłam. Dobrze... Wiem, co pan powie. Sama to sobie powiedziałam. Więc niech pan już nic nie mówi. Żałuję tego.

Więc dlatego to zrobiła? Nie dlatego, że jej zależało na Maclisie, tylko żeby mu pokazać, że robi to, co chce. Mała szelma! Mała...

— Głuptasie! — huknął na nią. — Kiedy nareszcie będzie pani miała trochę oleju w głowie? Myśli pani, że dużo sobie robiłem z tego, że pani z nim odeszła? Zarozumialec z pani!

— Jeżeli pana to nie obchodzi, to czemu mi pan ciągle dokucza?

— Kto pani dokucza? Głupie babskie gadanie! Jak gdyby cokolwiek miało jakieś znaczenie prócz wyładowania broni w Rapuhi i wydostania się stamtąd z całą skórą.

— Pan się na mnie gniewa?

— A czego pani oczekiwała? Nawarzyła pani dobrego piwa. Tym razem z Maclise'em sprawa jest poważna. Widziałem go już z niejedną kobietą, więc wiem. Musi pani być ostrożna. Wystrychnęła go pani na dudka, a on tego nie zapomni.

Odwróciła się, spuściła głowę i nerwowo splatała i rozplatała palce. Regan przypominał sobie, jak szła pogwizdując tamtej nocy, kiedy wyszedł na poszukiwanie jej i Maclise'a. Mówił jeszcze do niej, lecz nie odpowiadała, więc ją wreszcie zostawił i zszedł na dół. Ale nie mógł o niej nie myśleć. Kiedy siedział wpatrzony w mapę skał podwodnych, otaczających Rapuhi, przyłapywał się na tym, że myśli o Vivian. Zaczął uświadamiać sobie, że nie przestawał o niej myśleć. Zaskoczony tym, położył łokieć na mapie i zaczął rozmyślać nad sobą.

Ale nie trwało to długo. Klapa była otwarta i z góry doszły go głosy.

— Co on powiedział?

— To nie pana interes.

— Właśnie że mój. Wszystko, co pani robi — mnie obchodzi. Prócz pani nie istnieje dla mnie nic na świecie.

— Proszę, niech pan tak nie mówi.

— Raz mnie pani oszukała. Drugi raz to się nie powtórzy. Myślała pani, że jest diablo mądra, prawda? Ach, ale ja wiedziałem. Gdy tylko pani... zadała mi cios nożem, wiedziałem!

— Co pan wiedział?

— Niech pani nie udaje. Ze mną lepiej nie próbować. Myślała pani, że przyciągnie go w ten sposób, prawda? Myślała pani, że w ten sposób zmusi go pani do wyznania, jeżeli w ogóle coś go zmusi. Jednakże nie zmusiło. Ale co powiedział pani przed chwilą?

— Kto? Regan?

— Tak. Jego Niewinność Regan. Och, niech się pani nie zgrywa!

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Jak daleko pani z nim zaszła?

— Zaszłam?

— Czy pozwoliła mu pani całować się, tak jak mnie? Czy pani kpi z niego, tak jak zakpiła ze mnie? Spodziewam się, że tak.

— A to niby dlaczego?

— Bo jeżeli nie, to zabiję panią! Czy pani słyszy? Nikt inny

nie będzie pani miał. Powinna pani być moją i jeszcze nie jest za późno. Ale on nie dostanie pani — nigdy!

— Czy to jest groźba?

— Niech pani nazywa to, jak chce. Nikt inny nie będzie pani miał, dopóki ja z panią nie skończę. Dlaczego nie mówisz mi prawdy, Vivian? Ty... zależy ci na nim, prawda?

— To nie pański interes.

— Boi się pani mi powiedzieć. Ot, co jest. Więc mam słuszność. On panią obchodzi.

— Nie.

— Ty mały kłamczuchu! Czy to nie jest tylko mydlenie oczu, że się wzajemnie nie lubicie? Hm, myśleliście, że dam się na to złapać, czy nie tak? Otóż tutaj pomyliliście się!

— Co to ma znaczyć?

— Rozmawiała pani z nim, a potem on odszedł. Widziałem spojrzenie, jakim pani go odprowadziła.

— Głupstwa! Cóż to za dowód?

— Dostateczny, Vivian — w głosie Maclise'a czuło się mękę. — Pani go kocha, a on, on zawsze pani pragnął. Wiedziałem o tym przed panią. Niechaj go piekło pochłonie!

Nastąpiło dłuższe milczenie. Regan bał się poruszyć. Krew dudniła mu w uszach. Był oszołomiony, zdumiony. Więc to była przyczyna tego dziwnego antagonizmu między nim a Vivian! Myślał, że dziki ból w sercu, jaki odczuwał na widok Vivian i Maclise'a — to był gniew. Teraz wiedział, co to było. Nienawiść do Maclise'a, zwiększająca się z każdym dniem, była nienawiścią mężczyzny do rywala.

Na pokładzie panowała cisza. Regan wreszcie podniósł się. Obok luku dało się słyszeć westchnienie, jak gdyby ktoś zachłysnął się strachem, i Regan ujrzał nad sobą pobladłą twarz Vivian. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

— Czy pan był tutaj cały czas? — spytała wreszcie dziewczyna drżącym głosem.

Skinął głową.

— Gdzie jest Maclise? — spytał. Położyła palec na ustach.

— Niech pani zejdzie tutaj.

Podszedł do podstawy schodów i czekał niecierpliwie, aż usłyszy jej lekkie kroki. Gdy się znalazła na ostatnim schodku, zatarasowało jej drogę dwoje wyciągniętych ramion.

— Vivian!

— Co?

— Byłem skończonym durniem — nie ośmielił się jednak jej dotknąć. — Myślałem, że... że my się nie lubimy. Pani bała się mnie trochę, była pani tak nieznośnym małym uparciuchem, że musiałem panią straszyć, ażeby zachować powagę.

Patrzyła nań z góry, zapłoniona jak róża. Powstrzymał oddech ze zdziwienia, widząc ją po raz pierwszy tak łagodną. Stała nad nim na schodku, wstrzymana zaporą jego ramion. Jego głowa znajdowała się na poziomie jej serca i Regan nagle poczuł tęsknotę do spokoju, kryjącego się między piersiami kobiety.

Poczuł się tak słaby, jak gdyby dopiero co uniknął jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Dlaczego nic nie mówiła?

— To co powiedział Maclise... — zaczął się jąkać. — Czy pani... to znaczy... Zamilkł. Twarz miał rozpaloną i z całą ostrością uświadomił sobie, że pewnie wygląda jak dureń.

— Przykro mi — bąknął. — Nic nie miałem na myśli...

— A co on do mnie mówił? — spytała Vivian.

— Mówił, że... myślał, że... że pani na mnie zależy. Naturalnie, wiem, że to kłamca. Nie potrzebuje mi pani tego mówić.

— On nie jest kłamcą. Spojrzał szybko w górę.

— To znaczy...

— Powiedział co innego. Powiedział, że pan mnie zawsze pragnął — że wiedział o tym, zanim pan się o tym dowiedział.

— Ma słuszość — przyznał Regan. — Właśnie to był nasz błąd. Staraliśmy się oszukiwać sami siebie.

Nieśmiało, nie mogąc złapać tchu, przysunęli się do siebie, aż Vivian znalazła się w objęciach Regana.

— Kocham cię, kocham cię, Vivian...

Mówił cicho, jak gdyby przestraszony własnym szczęściem, że ledwie go mogła dosłyszeć.

— Kiedy to sobie uświadomiłaś? — szeptał. — Kiedy sobie uświadomiłaś, że nie jestem ci obojętny?

— Owej nocy na wyspie. Kiedy chciałam go zabić już wiedziałam. Bo nie chciałam, żeby mnie ktokolwiek dotykał prócz ciebie. Ale do tamtej chwili nie wiedziałam.

Przebiegł ją lekki dreszcz strachu.

— Nie możemy pozwolić, żeby się dowiedział.

— Maclise?

— Tak. Zabiłby cię na pewno, gdyby wierzył w to, że cię kocham. Słyszałeś, co mówił. Gdybyś widział jego twarz! Przeraziła mnie — blada i zawzięta, o oczach błyszczących jak węgiel.

Regan roześmiał się.

— Och, nie! On nie może mnie skrzywdzić. W słowa jego wdarło się wołanie Kapeke z pokładu.

— Regan!

— Muszę odejść. Vivian, kiedy się już pozbędziemy tej sprawy w Rapuhi... Nie skończył, ale go zrozumiała. Nie było czasu na miłość przed ukończeniem tej długiej podróży. Potem... potem...

— Regan! — doszło znów niecierpliwe wołanie z pokładu. Regan cofnął się i Vivian prześlizgnęła się obok niego do mesy. W przejściu chwycił ją za rękę i podniósł ją do ust. Potem — poszedł. Vivian usiadła na stole, wymachując swobodnie nogami, i starała się zrozumieć te zaloty, tak różne od burzliwych oświadczeń Maclise'a. Nie było tu potrzeby stosowania wykrętów ani pochlebstw. Kokieteryjne sztuczki kobiety, czującej swą przewagę, byłyby dla Regana marnowaniem czasu. Nawet nie zapytał, czy go kocha! Czy brał przypuszczenie za pewnik, czy też po prostu domyślił się prawdy, której ona zresztą nie starała się ukryć. Pomimo czułego tonu ich głosów można było uważać, że są parą znajomych, rozmawiających o pogodzie. Czy to wypływało z tego, że oboje mieli podobne usposobienia — głęboką powściągliwość ludzi wrażliwych, która każe się trzymać z dala od ukochanej osoby w obawie, żeby realność posiadania nie rozbiła piękna nie spełnionego pragnienia? Kiedy Vivian stała na wąskich schodach i patrzyła na zwróconą ku sobie twarz Regana, doznawała niezwykłego uczucia spokoju. Słowa nie były potrzebne. Jak gdyby dwóch walczących rycerzy podniosło przyłbice i przekonało się, że nie są wrogami, lecz przyjaciółmi.

Maclise nigdy nie byłby przyjacielem. Pan, kochanek i — co było nieuniknione — kochanek niewierny. Natomiast w spokoju miłości Regana było jakieś ciepło, coś uspokajającego, solidnego i tyczącego jej wnętrza, a nie tylko — jej ciała. Gdy tymczasem dla Maclise'a nie istniało nic prócz jej ciała, którego pożądał z taką namiętnością.

Co on zrobi? Vivian zagryzła wargi. Nie powinien się dowiedzieć. Ona i Regan muszą zachować to w tajemnicy. Wtem

przypomniała sobie, że Maclise domyślał się prawdy. Umysł jej pracował gorączkowo. Należy go wyprowadzić w pole, otumanić. Ale czy łatwo było oszukać badawcze spojrzenie?

Przez jeden dzień i noc udało im się. Do rana tego dnia, u schyłku którego zarzucili kotwicę w porcie Rapuhi, oszukiwali Maclise'a. Wtedy zaszło coś, co mu powiedziało, że to, czego się obawiał, co przewidział, a czego nie chciał widzieć — stało się.

Właściwie nie było to nic ważnego — po prostu czarny cień dwóch postaci, rysujących się na zamglonym niebie wczesnego świtu. Ale dla Maclise'a był to koniec nadziei. Odeszli, a on przywarł do schodów i obserwował ich. Nie widzieli go.

Porwał go śmiech, cichy, złowrogi. Więc Regan myślał, że to mu ujdzie na sucho! Głupiec — nadęty, zarozumiały głupiec! Niech się dobrze napatrzy Vivian! Niechaj nasyci wzrok jej pięknnością, bo wkrótce będzie za późno. Przypatrz się jej, Regan — powiedział sobie Maclise w duszy. — Nadchodzi czas, kiedy dla ciebie pozostanie na świecie tylko jedna twarz — która ci zakryje niebo i przeklętą ziemię — ostatnia twarz, jaką będziesz widział — moja!

XVI

1

Miasto Rapuhi ciągnie się niby długi biały wąż, tuż nad brzegiem morza. Stary holenderski fort na wschodnim krańcu wznosi się szarą zaporą, najeżoną armatami niby wyszczerzonymi kłami. Domy stłoczone są w jedną grupę, jak gdyby szukały opieki przed tubylczymi plemionami, które śledzą je dniem i nocą spoza ogrodzenia. Ogrodzenie to jest bardzo potrzebne. Otacza miasto z trzech stron. Ma siedem stóp wysokości i składa się z żelaznych sztachet, zakończonych girlandami kolczastego drutu. Jest tam tylko jedna brama, przy której straż stoi dniem i nocą, brama zamykana na pół godziny przed zachodem słońca. Jeżeli ktoś znajdzie się poza ogrodzeniem po zapadnięciu nocy — niechaj Bóg go ma w swej opiece!

Port był jakby dla nich stworzony. Molo wysunięte w morze zostało zbudowane na wschodnim krańcu, tuż przy forcie. Tutaj

panuje ruch prawie przez dwadzieścia cztery godziny. Ładowanie i wyładowywanie trwa bez ustanku. Nikt nie zostaje w Ra-puhi ani chwili dłużej, niż musi. Anglicy, Francuzi i Holendrzy — starzy wrogowie, pogardzający sobą wzajemnie — spotykają się i zmuszają się do obcowania, zrodzonego z wspólnego niebezpieczeństwa. Każdy patrzy na drugiego zazdrosnym wzrokiem, uważając go za uzurpatora i prawdziwą przyczynę kłopotów z tubylcami...

Piet Maartens oczekiwał na „Spindrifta”. Siedział w swym barze i patrzył na jasne butelki zawierające najlepsze środki pocieszenia. Jego szerokie bary rozsadały kraciatą koszulę. Rozpięty kołnierz odsłaniał szyję byka, tłustą i pofałdowaną. Tępa twarz o wystających kościach policzkowych i płaskich wargach robiłaby wrażenie głupawe, gdyby nie badawcze oczy sępa. Piet oparł pulchne łapy na gładkiej ladzie i zaczął świdrować językiem w dziurawym zębie.

Dlaczego statek tak się spóźniał? Czy został wystraszony przez kanonierkę, która wpłynęła do portu przed dziesięcioma dniami? Ale teraz jej już nie ma, popłynęła na południe, dowiedziawszy się o zamieszkach na wyspach dostarczających korzeni. Może „Spindrifft” wkrótce przybędzie. Hunter zawsze dotrzymywał słowa. Jeżeli się spóźnia, na pewno ma powody. Piet podniósł się zamyślony i podał sznapsa jakiemuś przygodnemu klientowi, wyglądającemu na bardzo znużonego, który rzucił monetę, dodając uwagę po holdendersku:

— Nie dawaj mi fałszywych pieniędzy, Piet! Piet spojrzał nań uważnie.

— Jedyne fałszywe pieniądze, jakie kiedyś dałem, był dany pewnemu Francuzowi.

— Dobrze.

Piet zastanowił się szybko. Hasło zgadzało się co do sylaby, ale nigdy przedtem nie widział tego człowieka. Czy to było bezpieczne? W Rapuhi tak mało... mało co było bezpieczne!

Bar był pusty.

— Czy już jest? — spytał Piet. — Mam nadzieję, że pan wie, o czym mówię? Czy pan go widział?

— Tak, już jest — odpowiedział nieznajomy.

— Kto pana przysłał?

— Hans Schmagel. Inni byli obserwowani. Francuzi domyślili się czegoś. U van Luytsa była rewizja zeszłej nocy.

Piet znacząco nachylił się do przybysza.

— Tym razem będzie dosyć broni, ażeby skończyć z francuską bandą. Amunicji też. Będziemy mogli utrzymać miasto przy pomocy Anglików.

— Nie można na nich polegać.

— Więc będziemy polegać na sobie. Czy nie lepsze jest każde ryzyko od tych bezustannych opłat i od tych nie kończących się ograniczeń? Anglikom i Holendrom wszystkiego się zabrania. Zupełnie co innego francuskie przywileje. Inna rzecz — francuski monopol. Jesteśmy traktowani jak psy w miejscowościach, które były nasze. Jak się pan nazywa?

— Jan Boomer. Jestem kuzynem van Luytsa — biednym kuzynem. Załatwiam różne sprawy dla Schmagla. Miałem mały sklepik. Rząd twierdził, że sprzedaję szmuglowany towar. Nie pozwolili mi handlować, a motłoch rozgrał mi sklep.

Piet spojrzał na drżącą brodę, na niespokojne ręce. Oto był człowiek rozgoryczony. Doskonale!

— Niech się pan jeszcze napije. Chciałbym, żeby mi pan pomógł...

Głowy ich pochylały się ku sobie. Szept ich brzmiał monotonnie w pokoju o zamkniętych okiennicach.

Wkrótce Jan Boomer poszedł na przystań, by obserwować wchodzącego do niej „Spindrifta”. Statek nie wpływał do portu pod własnym imieniem. Na trzy dni przed przybyciem do Rapuhi Mike zamalował białe litery i na ich miejscu wypisał inną nazwę statku, pod którą był znany w Rapuhi. Toteż wpłynął jako „Spendthrift”* i nikt prócz kilku wybranych nie wiedział, że Mike zużył pracowite dwie godziny na to, żeby przy pomocy piasku i skorup od ostryg zatrzeć świeżość malowania i nadać napisowi trochę patyny.

— Dlaczego wybraliście tę nazwę? — spytała Vivian, kiedy w gorące popołudnie wpłynęli do portu. — Jest bardzo podobna do poprzedniej.

— Właśnie dlatego — wyjaśnił Perouse. — Jeżeli ktoś będzie miał podejrzenie i zechce zeszkrobać farbę, żeby się przekonać, czy to nazwa prawdziwa, będzie mu bardzo trudno połapać się wobec takiej ilości jednakowych liter. Już nie raz używaliśmy tego wybiegu.

Wytrząsnął fajkę i stał z wzrokiem wlepionym w rysujący się przed nimi port.

* „Utracjusz”.

— Podła dziura. Dobrze będzie, jak się stąd wydostaniemy. Pani tatuś... nie lubił Rapuhi. Ale oczywiście stary Maartens dobrze płaci.

Vivian podniosła kawałek sznura i bawiła się nim machinalnie. Jej wzrok skierowany był w przestrzeń.

— Dlaczego to jest podła miejscowość? Wiem, naturalnie, że niebezpieczne jest to... co robimy. Ale dlaczego mówi pan takim głosem? Czy jest jeszcze coś, o czym ja nie wiem?

Perouse rozejrzył się wokoło. Nie było widać nikogo, ale stary zniżył głos.

— Niech pani uważa na Maclise'a — szepnął. — Zamierza coś niedobrego. Nie wiem co, ale niedługo to się okaże.

— Maclise? Ależ on nie...

— Co — nie?

— Nic. Ale jak pan myśli, co zrobi?

— Pan Bóg wie! Ale ktoś straci życie. Mam nadzieję, że nie Regan. To wszystko.

Mike pojawił się z jakimś zapytaniem i Perouse odszedł. Vivian stała tam, gdzie ją zostawił, przerażona i zaskoczona. Co Maclise może zrobić?

Ostatecznie Regan powinien na siebie uważać. Teraz był przy sterze, więc usiadła w takim miejscu, skąd mogła go widzieć. Żadne z nich nic nie mówiło, ale żywo odczuwało obecność drugiego. Chociaż milczeli, oczy ich często się spotykały. Perouse widział ich, ale nic nie spostrzegł. Mike przeszedł obok nich, też ślepy na wyraz ich twarzy. Maclise spojrzął na nich przypadkowo i zszedł w dół po schodach, zataczając się jak pijany.

W mesie była tylko Julia. Na widok jego pobladłej twarzy nie poruszyła się, siedziała spokojnie. Maclise nie zwracał na nią uwagi. Właściwie początkowo jej nie dostrzegł. Jak człowiek pobity w wyścigu, oparł się obiema rękami o stół, spuścił głowę i oddychał szybko i z trudem. Wokół oczu miał głębokie cienie z niewyspania. Usta wyglądały jak wąska czerwona nitka. Julia patrzyła na niego jak na dziecko, które ktoś zbił bez powodu. Serce zaczęło jej bić szybciej. Wstała i podeszła do niego.

— Co ci jest?

Uświadomiwszy sobie jej obecność, podniósł gwałtownie głowę.

— Nic.

Ale Julia nie odchodziła. Stała tam ciągle, kołysząc się lekko.

— Powiedz mi.

— Naprawdę — nic.

— Nie kłam. Co cię doprowadziło do tego stanu? Chory jesteś?

— Chory? To dobre! Nie, jestem zdrow. I to jest właśnie źle. Powinienem nie żyć. On by się cieszył. Chciał mnie zamordować tamtej nocy.

— Regan?

— Tak. Boi się mnie. Dlatego chciał się mnie pozbyć.

— Ale dlaczego by miał się bać?

— Przez nią, ty idiotko! Czy jesteś taka ślepa, jak ja byłem? Zwrócił się ku niej, odsłaniając swe serce, gdyż ból, jakiego doznał, zabijał go.

— Kochają się. Mój Boże, czy to można znieść! Po wszystkim, co zrobiłem, po tym wszystkim, co zamierzałem — sprawa bierze taki obrót! Rozumiesz to? Byłem skończonym durniem. Myślałem, że ją rozkocham w sobie, tak że nawet nie spojrzy na niego. Chciałem mieć statek. Chciałem zająć miejsce Huntera. Po prostu chciałem ją wykorzystać. Nic mnie nie obchodziła. A od czasu pracy przy pompach — i potem... nie mogę o niej przestać myśleć. Myślałem, że mnie lubi. Byłem zarozumiałym osłem! Jak wszystkie kobiety — bawiła się po prostu. Prowokuje człowieka, żeby za nią zaczął szaleć, a później zabija jak parszywego psa, który stał się niebezpieczny.

Z oczu popłynęły mu gorące łzy.

— Nigdy jej nie obchodziłem. Przez cały czas myślała o nim. Dzisiejszego ranka... widziałem ich o wschodzie słońca. Otaczał ją ramieniem. Nie, nie całował jej. Ale trzymał ją i przyciskał do siebie, tak jak ja nigdy jej nie trzymałem. Ona była za mądra, Julio. Mnie uwodziła, jego — kochała. Odwrócił się od niej, żeby ukryć twarz. Widziała tylko trzęsące się ramiona i słyszała szloch, który usiłował zdusić.

— Żal mi ciebie — powiedziała współczująco. Wyciągnęła ku niemu rękę, ale zaraz je opuściła.

— Wcale ci nie żal — odezwał się zdławionym głosem. — Zdaje mi się, że byłem łajdakiem. Ale nie kłam, Julio. Jesteś zadowolona, że widzisz mnie w takim stanie. Odejdź, proszę.

— Posłuchaj!

Stała za nim i lekko dotknęła jego ramię.

— Słuchaj! Teraz jesteś tym wszystkim wstrząśnięty. Ale to przejdzie. Po pewnym czasie wszystko przedstawi się lepiej...

— Zamilcz, głupia!

— Nie, nie! Przebrniesz przez to. Już nieraz odczuwałeś coś podobnego. Przeszedł szlochając i zwrócił się ku niej. Twarz miał zalaną łzami, ale chwila słabości minęła. Odkrył w jej głosie nutę tryumfu. To go wzburzyło.

— Co ty sobie myślisz? Nigdy dla żadnej kobiety nie miałem takiego uczucia. Żadnej tak nie kochałem.

— Żadnej?

— Nie. Jeżeli masz na myśli siebie, to też — nie. Słyszysz? Cieszysz się z tego, bo chcesz mnie odzyskać. Prawda? Chcesz, żebym wrócił. Ale to nigdy nie nastąpi. Musisz szukać nowego kochanka. To nie będzie trudne.

— Obrażasz mnie!

— Oczywiście. Czy nie byłem twoim kochankiem? Wiem, jaka jesteś, Julio. Jesteś twarda, chciwa i namiętna. Hunter, Shottery, ja — każdy mężczyzna jest dobry. Jesteś niewolnicą swego ciała. Tak. Myślałaś, że jesteś bardzo mądra, bo potrafiłaś mieć kilku kochanków, a jeden nie wiedział o drugim. Och, milcz. Daj mi mówić!... Potraktowałem cię bardzo źle. Nie żałuję tego. Nie obchodzi mnie teraz nic... teraz, kiedy straciłem... to, czego pragnąłem.

— Oszalałeś — usta Julii zbieleły. — Mówisz to wszystko, bo zwariowałeś, Maclise. Nasze dawne stosunki są skończone. Ja właśnie... bawiłam się tobą. Chyba o tym wiedziałeś?

— Bawiłaś się? Chcesz przez to powiedzieć, że było ci wszystko jedno, czy kocham Vivian, czy nie?

— Tak. Wszystko mi jedno. Rozumiesz? Myślisz, że jestem zazdrosna? Ani trochę. Gdybyś w tej chwili przestał ją kochać, nic by się nie zmieniło. Nie pozwoliłabym ci się dotknąć.

Usiadł na krawędzi stołu i patrzył na nią.

— Byłem bardzo głupi — szepnął. — Julio, myślę, że pomieszało mi się w głowie. Ale jeżeli ona kocha Regana, to wszystko skończone. Miałaś słuszość. Byłem głupcem. Ale teraz już minęło. Czy nie zechcesz mi pomóc? Nie możesz mi pomóc, Julio? Jesteśmy zbyt związani, ażeby się wyzwolić, ty i ja. Co za sens zadawać sobie wzajemnie ciosy? Przewycięzę to. Miałaś słuszość w tym, co powiedziałaś. Miewałem takie uczucie dla wielu kobiet. Ale dopiero ty mi to uświadomiłaś.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Nie poruszyła się ani nie odezwała.

— Przebacz mi — dał się słyszeć łagodny głos. Czy nie możemy zacząć na nowo, Julio?

Delikatnie przyciągnął ją ku sobie. Jego palce ześlizgnęły się po jej nagich ramionach, w dobrze znany sposób. Pod tym dotknięciem zadrżała, osłabiona słodyczą odżywającej starej miłości.

— Julio, zapomnijmy. Skłamałaś teraz, prawda? Zawsze mnie kochałaś, no, czy nie? Nawet, gdy się zachowywałem jak potwór?

Potrząsnęła głową, ale nie mogła wydobyć słowa. Obejmował ją i nagle poczuła jego usta na swoich, tak jak się już tego nigdy nie spodziewała... Nagle zatoczyła się na skrzynię, gdzie ją pchnął. W mesie rozległ się jego śmiech. Chwyciła się najbliższego krzesła, żeby utrzymać równowagę, podczas gdy Maclise wypluwał swoje obelgi.

— Nie pozwolisz mi się dotknąć, co? Skończyłaś ze mną, prawda? Ale trochę pochlebstw, trochę pieszczot — wystarczyło. Na wszystko byś się zgodziła, byle mnie odzyskać. Ty dziwko! Nie chcę więcej mieć z tobą do czynienia. Przez ciebie straciłem Vivian. Gdyby nie ty, zakosztowałbym szczęścia. Ale nie dawałaś mi spokoju. Kiedy się dowiedziała o tobie, straciła dla mnie sympatię. Wiedziała, że dzieliłem się tobą z Hunterem. Gdyby nie to, gdyby nie ty...

Zatrzymał się. Jakie słowa mogły przynieść ulgę jego wściekłości? Jak mógł okazać jej nienawiść, jaką czuł do niej, do niej, którą kiedyś kochał? Kochał? Nie. Raczej — pożądał. Tak, pożądał. Nawet teraz, chociaż nią gardził, chociaż lżył ją i znieważał za to, czym była i czym się stała — jego zdradliwe zmysły nie mogły oprzeć się piękności jej ust, oczu, bladej, ślicznej cery.

— Chciałeś zakpić ze mnie! — jej głos przejął go niejasnym lękiem.

— Tak, żeby ci pokazać, jakie z ciebie nędzne stworzenie.

— Jesteś rozżalony na nią, a wywierasz złość na mnie. Staramy się oboje robić z siebie głupców.

— I doszliśmy do porozumienia. Dowiodłem ci, że wystarczy, żebym kiwnął małym palcem, abys do mnie wróciła. Jesteś taka sama jak wszystkie — nie możesz oprzeć się władzy mężczyzny.

— Myślisz, że to jest mądre. Dobrze. Przyznaję ci to. Zakpiłeś ze mnie dla własnej przyjemności. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

— Gdyby nie ty, miałbym szanse u Vivian.

— Nigdy w życiu! Bawiła się tylko tobą. Zawsze myślała o Reganie. On więcej na nią zasługuje niż ty.

Ich rozgoryczone spojrzenia spotkały się i rozeszły. Maclise wzruszył ramionami i wybiegł z mesy. Julii zdawało się, że mdleje. Przez chwilę doznawała wrażenia, że ściany zbliżają się do niej, olbrzymie, groźne. Potem cofnęły się. Jej zamglony wzrok przeniósł się z wiszącej lampy na bezbarwną skrzynię, potem na kolorowy obrazek, który Perouse powiesił na ścianie. Umysł jej przywarł do tego obrazka. Patrząc na niego, czyniła rozpaczliwe wysiłki, żeby odzyskać zdrowy rozsądek. Perouse wyciął ten obrazek ze starej ilustracji. Przedstawiał parę kochanków w jakimś nieprawdopodobnym ogrodzie, żegnających się przy niezwykłym świetle niezwykle jaskrawego zachodu słońca.

Kochankowie...

Prawdą było to, co powiedział Maclise. Mógł ją odzyskać jednym słowem, jednym dotknięciem. Planowała jego śmierć, a jednak rozczuliła ją jego żalсна mina. Zadrżała, przerażona własną słabością. Miał słuszność. Nie posiadała się z radości, że pragnienie jego serca nie zostało zaspokojone. Ale tryumf trwał krótko. Teraz wiedziała, że nigdy nie wróci do niej, do Julii, po pociechę. Pogardzał nią. Czynił ją winną swej straty, zrzucając na nią odpowiedzialność za to, co zaszło między nimi.

Stopniowo uspokoiła się. Burza minęła. Nagły błysk namiętności, wywołany jego dotknięciem — zgasł. Ale ból pozostał. Maclise pokazał jej, jaką jest, i teraz czuła nienawiść do siebie, wstyd i upokorzenie kobiety, którą wzgardzono. Przeszła przez mesę do małego lustra wiszącego na ścianie. Spojrzała na odbicie swej twarzy. Głębokie oczy, czerwone usta, kruczoczarne włosy — co mi teraz po was? Nie jesteście w stanie zatrzymać go. Nigdy mnie już nie dotknie... nigdy... nigdy...

Szybkim ruchem zerwała lustro ze ściany, podniosła je wysoko i cisnęła z całych sił o ziemię. Rozbiło się na tysiące kawałeczków, a ona postawiła na nich nogę, jak wojownik, który stawia stopę na trupie swego wroga.

2

Regan i Maclise zeszli na ląd, aby omówić interes z Pietem Maartensem. Siedzieli w ciemnym, dusznym pokoju za barem. Na zewnątrz rozkwitało piękno Rapuhi, ale nie zwracali na nie

uwagi. Piet zamknął drzwi oddzielające pokój od baru i wszedł do nich, wycierając ręce o brudny fartuch.

— Jak się macie? A Hunter?

— Hunter nie żyje — rzekł Regan.

Chytry wyraz zrozumienia przemknął po twarzy Pieta.

— Tak? To bardzo źle... Więc? Nie możecie mi powiedzieć dlaczego?

Mówił wolno, z trudem szukając angielskich wyrazów.

— Dlaczego umarł? Powiedz pan, Maclise.

— Został zabity — odpowiedział Regan, utkwivszy ciemne oczy w twarzy Maclise'a — ktoś go zastrzelił, strzelił mu w plecy.

— Ach! Ale schwytaliście go, tego — kogoś?

— Tak.

- No, a teraz — broń. Spodziewam się, że ją macie?

— Tak.

Regan wyjął arkusz papieru, zapisany pismem Huntera. Podał go Piętowi i obaj pochylili się nad nim, sprawdzając cyfry: ilości, ceny; dotykali się prawie ramionami, obaj całkowicie pogrążeni w pracy. Maclise czekał niecierpliwie. Na co zdało się to wszystko? — zadawał sobie pytanie. Wkrótce podniósł się i zaczął chodzić po wąskim pokoju, a myśli jego były tak daleko, że gdy Regan spytał go o coś, nawet tego nie słyszał.

— Hej, Maclise!

— Co tam?

— Czyś ogłuchł? Słyszałeś, co mówi Piet?

— Nie.

— Tu niebezpiecznie — odezwał się ciężki, ostrożny głos. — Te Francuzi coś podejrzewają. Jak dużo — nie mogę powiedzieć. Ale — trochę. Śledzą. Szukają niektórych moich przyjaciół. Musimy być ostrożni.

— Towar jest dobrze opakowany. Czy myśli pan, że lepiej go wyładować po zapadnięciu zmroku? Czy za dnia? Może za dnia byłoby bezpieczniej. Jak gdyby nie było nic do ukrywania, co?

— Nie, po ciemku lepiej —- odrzekł Piet po chwili. — Ale ostrożnie, bardzo ostrożnie.

W małym pokoju czuć było winem i cebulą. Wokół ścian biegły półki. Dwie ściany miały skrytki, choć na to nie wyglądały. Za dotknięciem sprężyny rozsuwały się, odsłaniając wąskie zagłębienia, w których można było gromadzić broń. Piet

dbał o to, aby półki były wypełnione różnym towarem. To zmniejszało ryzyko wykrycia schowków. Z holenderską systematycznością poustawiał flakony z perfumami, płynem do włosów, lekarstwami przeciwko bólom; stało to wszystko rzędami na najwyższych półkach. Niżej leżały stosy książek w żółtych okładkach, o soczystych tytułach, jak: „Nuit d'amour", „La femme s'amuse", „Crime passionelle"; książki te Piet wypożyczał za małą opłatą komu się dało, lecz przede wszystkim Anglikom, którzy czytali je potajemnie przy pomocy słownika. Na najniższych półkach zgromadzone były przeróżne towary: girlandy suchej cebuli, książki buchalteryjne, karty do gry, ryż, dzbanki z kwaszoną kapustą, aparat fotograficzny, dwie pary damskich sznurowanych bucików i inne różności. Panowała tam zwykła atmosfera, ot, taka, jaka bywa w małym' składziku za barem. Każdy mógł tam wejść. Piet zostawiał przez cały dzień drzwi szeroko otwarte. Trzymał tam swą księgę główną. Często zapraszał jakiegoś klienta, aby wszedł wypalić cygaro, wyjęte z czerwono-brunatnego pudełka, przesłanego z Amsterdamu. Przy sposobności wpadał tam jakiś francuski urzędnik i Piet wtedy wspaniale symulował i zapraszał go, żeby zajrzał do każdego kąta, jaki mu się spodoba... Teraz wstał i podszedł do półek. Jego tłuste palce macały coś za książkami i nacisnęły sprężynę. Półki wysunęły się na pokój. Piet zniknął na chwilę w zagłębieniu, po czym pojawił się z drugim spisem sporządzonym przez Huntera. Porównał oba papiery i przywrócił półkom ich zwykłą pozycję. — W porządku. Przyjemnie, że nie zrobiliście mi zawodu. Dziś wieczorem, tak... Nie powinniście zachowywać się zbyt spokojnie. Wystarczy — ostrożnie!

Wyjął swe ulubione cygara i poczęstował gości. Podczas palenia tłumaczył im, że teraz sprawy przedstawiają się gorzej. Francuski gubernator ogłosił odezwę w trzech językach — francuskim, angielskim i holenderskim — która została rozlepiona w widocznych miejscach. Wyjął jakiś papier, wygnieciony i poplamiony, i podał Reganowi. Angielski tekst znajdował się w środku, Maclise pochylił się nad ramieniem Regana i odczytał go na głos.

Do wszystkich mieszkańców Rapuhi, bez względu na narodowość. Ponieważ jest nam wiadome, że pewne osoby zajmują się zbrodniczym szmuglem broni, konspirując przeciwko Rządowi tej wyspy — podaje się niniejszym do wiadomości i ostrzega wszystkich, że na przywóz broni należy mieć pozwolenie wyżej wspomnianej władzy. Każdy, u kogo zostanie znaleziona nielegalnie posiadana

broń palna, podlega karze przewidzianej przez prawo, mianowicie uwięzieniu, nie więcej jak na przeciąg lat dziesięciu i nie mniej niż na lat siedem, konfiskacie dóbr i deportacji po odbyciu kary.

— Cholera! — zawołał Regan. — Patrz tu, tu jest jeszcze coś. Czytaj, Maclise. **A dalej, należy wziąć pod uwagę, że każdy, kto wwozi do kraju broń palną bez zezwolenia i wiadomości władzy, będzie uważany za konspiratora. Karą za spisek zbrojny przeciw państwu, wymienioną w Kodeksie (1917 r. par. C VI, dział II) — jest śmierć.**

Okropne, złowróżbne słowo na zakończenie tego wypracowanego urzędowego żargonu! Maclise zamilkł. Regan wlepił wzrok w zgnieciony papier. Co za ryzyko! Jednakowa myśl przeszła ich mózgi. Piet spostrzegł zmianę na ich twarzach.

— Boicie się?

— Nie. Nie boimy się. Ale teraz rozumiem, dlaczego pan prosił, żebyśmy byli ostrożni. Niech pan posłucha, co pan zrobi z tą bronią, kiedy ją pan już będzie miał?

Piet wyprostował się.

— Wkrótce będę miał dosyć broni dla każdego ze swych rodaków na Rapuhi. W pewnej chwili zrobimy powstanie przeciwko Francuzom.

— Dobrze, nie ganię was — zgodził się Regan. — Postępowali z wami jak świnie. Żadnemu Holendrowi nie wolno nosić broni bez pozwolenia, a rząd nie udziela pozwoleń Holendrom. Tak jest, prawda?

— O, tak.

— Krew będzie się tu lała, jeżeli coś rozpoczniecie — wtrącił Maclise. — To duże ryzyko, Piet. Sądzę, że planujecie coś w rodzaju rewolucji? Ale co na to Francuzi? Miasto jest dobrze strzeżone. Co to za gość wydał tę odezwę?

Przejechał palcem po papierze aż do podpisu.

— Henri Latour. Jakiś nowy, prawda?

— Przybył w zeszłym roku.

— Nowa miotła — mruknął Regan. — Smakują mi wasze cygara, Piet. Teraz omówimy dokładnie sprawę. Wyładujemy towar około dziesiątej. To nie jest za późno, żeby wyglądało podejrzanie, ani nie jest tak wcześnie, żeby każdy mógł mieć czas nas śledzić. Przyniesiemy skrzynie tutaj. Mogą stać w kącie do czasu, kiedy bar się opróżni. Gdy tylko zamkniesz budę, możemy towar wypakować i broń ukryć. Ustawimy skrzynie i towar tak, aby jutro każdy mógł je widzieć. Co wy na to?

— W porządku — skinął głową Piet. — Tylko jeszcze jedno. Teraz jest koło szóstej. Jeżeli przyjdziecie wieczorem — czy nie będzie wyglądało, że wam bardzo pilno? Jutro byłby też czas.

— Dobrze. Więc jutro. Możliwe, że to bezpieczniej. Tak, sędzę, że to słuszne. Zazwyczaj ludzie się tak nie śpieszą, żeby wyładowywać po zachodzie słońca. Może wyglądać trochę podejrzanie, zważywszy, żeśmy dopiero stanęli w porcie.

— Ten gość, ten Henri Latour, czy nie mieszka gdzieś w okolicy? — spytał Maclise niedbale. — Czy też mieszka w starej rezydencji? Pamiętam, że ostatni gubernator przeprowadził jakieś zmiany.

— Mieszka tam, gdzie poprzedni gubernator, w białym domu na zboczu — odpowiedział Piet. — Chcecie trochę wódki? Nie? Może rumu? Ach, widzę, że wolicie rum.

— Ale zaraz wyniesiemy się — Regan rozluźnił szalik na szyi. — Perouse i Mike zejdą na ląd.

Piet odkorkował butelkę z rumem. Spojrzenie jego poweselało.

— A Julia? Przyjechała także?

— Przyjechała — Regan zachował spokój, podczas gdy Maclise patrzył ponuro na szklanekę. — Ale nie zejdzie na ląd.

— O! Dlaczego?

— Bo ja tak mówię.

— Jakoś za bardzo się stawiasz — Maclise podniósł oczy. — Cóż, u diabła, możesz mieć wspólnego z tym, czy ona zejdzie na ląd, czy nie?

— A, widzę, o co chodzi — odezwał się Piet łagodnie. — Masz ją teraz, Regan, co? Hunter umarł, ty masz Julię. Tak?

— Nie — odrzekł Regan krótko, a Maclise roześmiał się.

— Nie zgadliście. Regan ani spojrzy na takie śmiecie jak Julia; lubi cnotliwe...

— Dosyć!

— ... i młode. Ma swoją własną pieszczotkę. Córka Huntera. Tak, przyplęnęła z nami. Prawdopodobnie pobiorą się podczas postoju tutaj — o ile uważają to za potrzebne.

Regan zerwał się na równe nogi, ale Maclise nie zwracał na to uwagi. Mówił dalej głosem coraz bardziej ochryplym i zduszonym.

— Myślisz, że nie widzieliśmy twej gry, Regan? Szczęśliwy pies! Dostanie mu się okręt i dziewczyna. Oczywiście wyglądasz diabło romantycznie ze swą cygańską urodą i kruczymi włosami. Chcesz mi dać po mordzie? Dlaczego jesteś zazdrosny? Nie masz powodu. Dostałem od Vivian to, czego chciałem.

Usunął się, zanim pięść Regana zdążyła go dosięgnąć. Piet z zadziwiającą zręcznością przycisnął Regana swym całym ciężarem i popchnął go ku drzwiom.

— Nie teraz, nie teraz! — dyszał ciężko. — Uspokójcie się, uspokójcie, Regan! Nie zabijajcie go, nie teraz! Zrobicie awanturę i wszyscy na tym stracimy. Uspokójcie się! Uspokójcie się! Uspokójcie...

Całą siłą wstrzymywał oszalałego mężczyznę. Regan nie mógł go odepchnąć, chcąc rzucić się na Maclise'a, który stał oparty o ścianę, blady i uśmiechnięty. Żaden z nich nie miał broni. Została w grzeczny sposób skonfiskowana przez urzędnika, który zatrzymał ich w przystani. Żaden obcy przybysz nie miał prawa chodzić po Rapuhi z jakąkolwiek bronią prócz noża.

— Kłamco! — ryczał Regan. — Cofnij, coś powiedział! Zapłacę ci za to! Nigdy jej nie miałeś!

Dorwał się do gardła Maclise'a. Piet odciągał go bez powodzenia.

— Powiedz, żeś skłamał! Powiedz, żeś skłamał! — dyszał ciężko Regan. Przy drzwiach dał się słyszeć hałas i Piet wrzasnął po holender sku:

— Pomocy! Chodźcie! Na pomoc!

Drzwi rozwarły się szeroko i wpadło kilku mężczyzn, przypadkowych klientów, którzy usłyszeli awanturę i rzucili się z gorliwością rozdzielać walczących. Jakoś udało się odciągnąć Regana i trzymać go, podczas gdy Maclise podniósł się; miał trochę podpuchnięte oczy i się zataczał.

— To był żart — odezwał się, gdy tylko był w stanie mówić. -Po prostu żart, ty chamie! Nie znasz się na żartach? Omal mnie nie zabiłeś. Coś mi tu złamałeś. Boli mnie jak diabli!

— Powiedz, że skłamałeś.

— Dobrze — zgodził się Maclise ponuro. — Skłamałem. Czy teraz jesteś zadowolony?

— Napijcie się — wybąkał Piet. — Wszyscy muszą się napić. Wyjdźmy stąd. Wyjdźmy z pokoju. A teraz podajcie sobie ręce. Drobnym żartem, a Regan jest taki wybuchowy.

Zakrzętała się przy butelkach i szklankach. Inni klienci wrócili do swych nie dopitych szklanek, a kelner Karl kołysał na ręce tacę i ustawione na niej puste szklanki zaczęły głośno dzwienceć. Bar pogrążył się w poprzedniej senności wypełnionej dymem. Jednakże jakiś niepokój wisiał w powietrzu i każ-

dy śledził Regana i Maclise'a z obojętnością zbyt wypracowaną, żeby była szczerą. Od czasu do czasu następowała chwila milczenia i jakiegoś napiętego oczekiwania. Ale nic się nie stało. Wkrótce obaj zapłacili i wyszli w aksamitną noc. Natychmiast języki się rozwiązały i po ich wyjściu powstał gwar.

Nie zwracali na siebie uwagi. W milczeniu doszli do kamiennego nabrzeża i odebrali swą broń. Kapeke miał pod swym nadzorem bardzo pokiereszowaną łódź, którą miał ich odwieźć na statek. Regan odezwał się zniechęca:

— Musimy na jutro wystarać się o *dinghy*.

Dopłynęli do statku i weszli na pokład bez słowa. Perouse i Mike wpakowali się na łódź i pojechali na ląd, ciesząc się z perspektywy wypitki i towarzystwa. Regan zszedł na dół w poszukiwaniu Vivian. Na pokładzie Maclise stał oparty o maszt i śledził światło latarki przyczepionej do dziobu łodzi, mknącej przez zatokę. Ze złością odgarnął z czoła swe żółte włosy.

Niechaj wszystko diabli porwą! Narobił bigosu!

Nad wodą rozlegał się śpiew i odgłos bębnow. Z portu dochodził głos trąbki, cienka, jasna nić dźwięku. Na wyspie migotały światła, a poza miastem wznosiły się wyniosłe wzgórza, gdzie czaili się wydziedziczeni tubylcy, trzymający zawsze w pogotowiu swe krzywe, ostre noże. Maclise mechanicznie napełnił fajkę i zapalił zapałkę.

Henri Latour...

Co mu przypomniało to nazwisko? Kim był... ach, nowy gubernator Rapuhi, naturalnie! Tak, jegomość, który wydał tę idiotyczną odezwę, kończącą się słowem „śmierć”. Kara za zbrojny spisek przeciw państwu... Każdy, kto zostanie schwytany... każdy...

Długo stał tam rozmyślając, z niezapałoną fajką w ręce.

XVII

1

Mike wrócił przed samą północą, a Perouse — o świcie. Inni siedzieli przy posiłku, kiedy zszedł po schodkach ze specjalną ostrożnością i poważną miną człowieka, który nie żałował sobie

trunku. Czapkę nosił zawadiacko zsuniętą na tył głowy. Miał podbite oko i podarte ubranie. Ale na twarzy malowało się zadowolenie i radość człowieka, który znowu zetknął się z cywilizacją.

— Hulaleś całą noc? — spytał Regan.

— Tak. Mike, gdzie się podziałeś?

— Wróciłem na statek.

-- Głuptasie — skarcił go Perouse. — Zamówiłem dla ciebie dziewczynkę, a ty... hik... już cię nie ma. To bez sensu. Absolutnie bez sensu. Co tu tak pachnie? Śniadanie? Nie, dziękuję. Dziękuję, ale... nie. Już jadłem śniad... hik... śniad... da... nie...

Odszedł z ogromną godnością i wpadł na Kapeke, który wchodził z kawą. Nastąpiło gorące interludium. Kiedy burza minęła i Mike, ściągawszy Perouse'owi buty, ulokował go na koi, Julia spytała:

— Kiedy pojedziemy na ląd?

— Po co chcesz jechać? — spytał Regan. — Nie ma tam nic do oglądania, a jeszcze mniej do kupienia. Zostałabyś lepiej tutaj.

— O nie! — zawołała Vivian. — Co za pomysł! Oczywiście jedziemy na ląd. Włożyłam przecież suknię.

Wszyscy spojrzeli na nią, a Julia szepnęła:

— Znów wyglądasz jak kobieta, Vivian. Jaki to piękny kolor!

— Wolałbym, byście nie jechały — Regan ustąpił niechętnie. — Jeżeli musicie jechać, weźcie Mike'a. Maclise i ja nie opuścimy dzisiaj statku.

— Mów za siebie — mruknął Maclise. — Ja jadę na brzeg, trochę później.

— Po co?

— Idź do diabła!

Wstał, włożył ręce w kieszenie i wyszedł na pokład. Słyszeli, jak chodzi nad ich głowami. Pod wpływem jakiegoś impulsu Julia pochyliła się i przez stół rzuciła Reganowi:

— Bądź ostrożny. On coś knuje.

— Co masz na myśli?

— Miej oko na niego — szepnęła. — Nie widzisz, że jest na wpół oszalały?

— Oszalały?

— Tak. Sprowadzi na was nieszczęście. O, że też nie umieliście się trzymać w karbach, żeby się nie dowiedział. Widział

was razem wczoraj rano. Zaszedł później do mnie — wściekły — szalony...

— Dlaczego nam to mówisz? — spytała Vivian zniecierpliwiona.

— To źle?

Wzruszyła ramionami i skierowała się do swej kabiny. Odwróciła się jeszcze tylko, ażeby powiedzieć:

— Kazesz komuś zawieźć nas na brzeg, za godzinę, dobrze?

— W porządku.

Gdy tylko odeszła, Vivian zbliżyła się do Regana i złożyła ręce w jego mocnych dłoniach. Już dawno nie widział jej w sukni. Chabrowa sukienka była prześliczna. Ostrożnie dotknął krótkiego rękawka. Co za śmieszne, głupie i rozkoszne rzeczy wkładają na siebie kobiety!

— Boję się Maclise'a — mówiła Vivian.

— Nie może nam nic zrobić.

— Nie ufaj mu.

— Ale muszę mu ufać. Jest w tym pogrążony po szyję.

— Kiedy macie zamiar... wylądować towar?

— Dziś wieczorem około dziesiątej.

— On wie o tym?

— Naturalnie, że wie. Nie bądź głupiutka. Na pewno nie będzie donosicielem. Poderżnąłby własne gardło.

— Kiedy już będzie po wszystkim, chciałabym skończyć z tym interesem. Czy możemy?

Mówiła nieśmiało. Przekonała się, jak stanowczym potrafi być Regan, kiedy coś postanowi. Objął ją mocniej.

— Jak zechcesz. Nie będę udawał, że tego nie lubiłem. Lubiłem. Lubiłem ten sport i niebezpieczeństwo. Ale sądzę, że mamy dosyć.

Ukryła twarz na jego ramieniu.

— Czy moglibyśmy potem pozbyć się ich wszystkich, prócz Mike'a i Perouse'a?

— To znaczy, że masz już dosyć Maclise'a i Julii?

— Tak.

Podniosła ku niemu zapłonioną twarz.

— Teraz lubię Julię więcej niż dawniej. Pod pewnymi względami była dla mnie bardzo dobra. Teraz, kiedy wie, że Maclise mnie nie obchodzi, polubiła mnie. Ale jemu nigdy nie przebaczy!

Roześmiał się z jej przerażonego tonu.

— Ty i Julia jesteście parą nerwowych dam — powiedział. —

Weź jakiś kapelusz z dużym rondem; Mike pojedzie z wami. Jutro poszukamy *dinghy*.

— A ty nie pojedziesz?

— Muszę zostać na wypadek, jeżeli przyjdzie jakiś nadęty jegomość ze złotymi wypustkami zadawać mi pytania.

Był to przekonujący powód. Ale gdy patrzył na tratwę, zbliżającą się do brzegu, przyznał sam przed sobą, że prawdziwym powodem było to, iż bał się zostawić na statku Mac-lise'a samego, by nie zrobił jakiegoś kawału.

Dlaczego, u diabła, Perouse się spał? Gdyby był trzeźwy, mógłby przypilnować Maclise'a. Regan spostrzegł, że z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu myśli o Shotterym. Czego właściwie się obawiał? Jakiejś formy podstępów? Może. Spojrzał na Maclise'a, stojącego nieruchomo, ze skrzyżowanymi ramionami, zapatrzonego w zmniejszającą się chabrową plamę, którą była suknia Vivian. Co on uczyni? Co uczynił Shottery?

O, pał go diabli, niechaj robi, co chce! Regan wyjął broń i trzymał ją namyślając się. Maclise, odwróciwszy się, widział, jak błysnęła w słońcu. Nie rzekł nic, udając, że nie zauważył, ale dłonie zaczęły go parzyć, jak gdyby chwycił pokrzywę. Więc takie ma Regan zamiary? Ciemna fala gniewu rosła i wzbierała w sercu Maclise'a tak, iż zdawało się, że Regan musi ją widzieć i domyśla się, co Maclise chce zrobić. Odgarnął w tył włosy niepewną ręką.

— Jadę na ląd — odezwał się nagle. — No, zaczynaj, histeryku. Wpadnij w szal, powiedz, że zabraniasz!

— Po cóż bym miał to robić? Maclise tupnął nogą niecierpliwie.

— Czy chcesz dogonić Vivian?

— Zapewniam cię, że nie.

— Daj mi słowo, że nie będziesz jej prześladował.

— Ty głupi ośle, o co ci chodzi? Myślisz, że będę się włóczył po Rapuhi po to, żeby uwieść Vivian?

— Dlaczego chcesz pojechać na ląd?

— Chcę kupić trochę cygar — odrzekł Maclise swobodnym tonem. — Chcę się ostrzyć. I whisky też już nam zabrakło.

Podszedł do burty, dał znak Kanakowi, który już wyciągnął łódź na ląd.

Kapeke posłusznie zepchnął ją znów na wodę i zaczął wiosłować, kierując się ku „Spindriftowi”. Maclise zszedł na dół i wystroił się odpowiednio — włożył czystą koszulę

i przeczesał włosy mokrym grzebieniem. Gdy Kapeke przyplłynął, Maclise był gotów; wyglądał schludnie i porządnie.

— Wróć za kilka godzin — rzucił do Regana, odwróconego plecami. — Ruszamy, Kapeke.

Odbili i Maclise, siedząc za Kanakiem, obserwował jego potężne, brązowe bary. Gdyby tubylcy posiadali rozum odpowiadający ich wspaniałym ciałom — rozmyślał — byłaby to rasa nadludzi. W stanie obecnym byli raczej zwierzętami, ze zwierzęcym pojmowaniem życia — jedzenie, spanie, zaspokajanie zmysłów i obawa o zachowanie całej skóry. Maclise uległ dziwnemu współczuciu dla tych ludzi, tak że gdy łódź dotknęła lądu, wyskoczył i powiedział: „Kapeke dobry chłopiec”, a gdy w brązowej twarzy Kapeke błysnęły wyszczerzone zęby w podzięcie za tak rzadką pochwałą, nawet uśmiechnął się do niego.

Maclise poszedł do miasta. Wstąpił do angielskiego golarza i kazał się ostrzyć i wmyć szamponem, rozkoszując się ostrym dźwiękiem błyszczących nożyczek oraz zetknięciem z mydlinami i gorącą wodą. Golibroda, pomarszczony mały człowieczek z blizną na twarzy, mówił o miejscowej polityce. Wygłaszał opinie, że niechęć przeciwko Holendrom wzrosła. Francuzi chętnie by ich wypędzili, gdyby mogli. Ach, widział niejedno! Gdyby chciał, mógłby wiele opowiedzieć! Ale wśród tej uprzejmej gadatliwości właściwie nic nie powiedział. Maclise zapłacił i znów wyszedł na słoneczną ulicę. Wypatrywał oczy, żeby ujrzeć gdzieś trójkę ze „Spindrifta”, ale na próżno. Zaszedł kupić trochę cygar od Henry'ego Setona — starego poczciwego Setona, o opadających siwych wusach, po czym skierował się na wzgórze, gdzie stał dom gubernatora.

Wałęsał się bez celu, jak człowiek, który nie mając zajęcia, wyszedł na przechadzkę, jak obcy przybysz, zwiedzający miasto. Ale po upływie pół godziny stał przed spiczasto zakończonymi wrotami domu gubernatora.

Żołnierz stojący na warcie spojrzał podejrzliwie.

— *Qui va là?*

— *Un ami* — odrzekł Maclise, rozpaczliwie szukając francuskich słów. — *Il faut voir monsieur Latour. C'est très, très important.*

— *Venez donc* — powiedział wartownik i wydał jakiś niezrozumiały rozkaz, na który pojawiło się dwóch żołnierzy. Maclise znalazł się między dwoma strażnikami, z którymi szedł po

zwirowanej ścieżce prowadzącej do niskiego, białego domku, otoczonego z obu stron drzewami cytrynowymi. Poprowadzono go przez chłodny, obszerny przedpokój i kazano zatrzymać się przed zamkniętymi drzwiami. Jeden ze strażników zapukał i wszedł do wnętrza... Po kilku chwilach wysunął zza drzwi głowę i skinął na Maclise'a, aby wszedł.

Pierwsze wrażenie, jakie na Maclisie wywarł Latour, to był widok dwojga szarych, przenikliwych i świdrujących oczu. Twarz o wydatnym nosie, szczupła, chuderlawa postać, mocna szczeka — oto był Henri Charles Latour, któremu Republika powierzyła rządy na Rapuhi. Głos miał ostry, rwący się. Zachowanie jego przypominało generała w dzień bitwy — ruchy szybkie, stanowcze. Maclise ukradkiem otarł ręce o spodnie i odchrząknął.

— Ee... *bonjour, monsieur* — zaczął. Latour zmarszczył brwi.

— Anglik? Mówię po angielsku. Kim pan jest?

— Nazywam się Maclise. Ze „Spendthrifta”.

— Dobrze, panie Maclise, czego pan sobie życzy?

Maclise odpowiedział mu spojrzeniem na spojrzenie i ocenił człowieka. Oto był ktoś, kto od razu trafiał w sedno rzeczy.

— Mam dla pana wiadomości.

— Słucham.

— Czytałem pańską odezwę o przemyśle. Jeżeli pan chce, może pan przyłapać kogoś.

— To ciekawe, monsieur. Proszę mówić dalej.

— Zanim powiem więcej, niech mi pan powie, na co mogę liczyć. Nie proszę o nagrodę...

— Nie dostanie jej pan — przerwał gubernator sucho.

— ...ale chciałbym mieć pewność, że jestem bezpieczny.

— To znaczy, że pan pomoże nam schwycić przestępców, ale chce pan sobie zapewnić nie uszkodzoną skórę? Niech pan posłucha. Niech mi pan powie wszystko, co pan wie. W zamian przyrzekam bezpieczeństwo.

Maclise zwilżył wargi.

— Zna pan Holendra nazwiskiem Piet Maartens?

— Tak. Czekał pan, mam tu jego *dossier*.

Podszedł do szafki z kartoteką. Po dwóch minutach położył na biurku papier.

— Mam *dossier* każdego Holendra w Rapuhi. Co dalej?

— Czy on jest podejrzany o sprowadzanie i ukrywanie broni?
— Niech się pan o to nie kłopotczy.
— Za sklepem ma skład. Ściany są tam rozsuwane. Za nimi leżą zapasy broni. Dziś wieczorem otrzyma nowy transport.
— Rzeczywiście? Skąd?
— Z okrętu stojącego w porcie, zwanego „Spendthrift”. Jego prawdziwa nazwa brzmi: „Spindrifft”. W ciągu ostatniego miesiąca był ścigany przez francuską kanonierkę. Ma broń ukrytą na pokładzie.
— Aha! I zamierzacie dziś wieczorem ją wyładować?
— Tak.
— O której godzinie?
— O dziesiątej. Jest dobrze ukryta w skrzyniach z tkaninami. Pańscy ludzie muszą dobrze szukać.
— I mnie się tak zdaje. Żegnaj pana. Maclise spojrzał zdziwiony.
— Pan mi nie wierzy?
— A dlaczego miałbym wierzyć? — odparł Latour łagodnie. — Słyszę o tylu przemytnikach broni. Ale z reguły są to plotki.
— Niech to diabli porwą — zaklął Maclise. — Przepraszam pana. Ale to, co mówię, to prawda.
— Niech mi pan powie, monsieur — rzekł Latour, bawiąc się nożem do rozcinania papieru — dlaczego pan tu przyszedł? Jak tam jest z tym statkiem? Ten, o którym pan mówił — „Spindrifft” czy „Spendthrift”? Ludzie, którzy mają być schwytani, to pańscy wspólnicy. Więc pan ich zdradza?
Nastąpiła pauza.
— Tak sędzę.
— Dlaczego panu tak pilno do tego, żeby zostać... zdrajcą?
— To moja rzecz. Gubernator zamyślił się.
— Monsieur, wierzę, że pańskie opowiadanie jest prawdziwe. Ma pan jakiś powód, aby zdradzić swoich wspólników. Robi to pan z korzyścią dla mnie. Obiecałem panu bezpieczeństwo. Ale uprzedzam pana. Jeżeli przekonam się, że pan kłamał...
— Nie kłamałem. Niech pan każe swoim ludziom czekać około dziesiątej w pobliżu baru Maartensa. Przekona się pan wtedy, czy kłamałem.

— A przywódca?

— Człowiek nazwiskiem Regan, wysoki, czarnowłosy, ze złotymi kołami w uszach i ciemną cerą.

— Rozumiem. Ilu jest jeszcze?

— Trzech, czterech. Muszę brać w tym udział, żeby uniknąć podejrzeń.

— Jak to mądrze z pańskiej strony! I sędzę, że chciałby pan mieć coś w rodzaju glejtu, aby być zabezpieczonym przed moimi ludźmi.

— Myślałem o tym.

— Więc niech pan dalej o tym myśli.

— To znaczy...

— To znaczy, że opiszę pana dokładnie moim ludziom i nie zaaresztują pana. Albo, jeżeli nie da się uniknąć aresztowania pana, dam panu słowo honoru, że pan odzyska wolność. Jest pan zadowolony?

— Zdaje się.

— Ach, sądził pan, że dobrze byłoby mieć jakiś kawałek papieru z magicznym nazwiskiem na dole. Nie, mój przyjacielu. Skąd wiem, jak pan zużytkuje jakikolwiek otrzymany ode mnie papier?

— Dam panu słowo, że nie wykorzystam go w żadnym innym celu, jak tylko do przekonania pańskich ludzi.

Latour udał, że nie słyszy.

— Może pan wykorzystać go w jakimkolwiek innym celu... glejt, który panu dam — mówił jak gdyby do siebie. — Bezpieczniej jest nie ryzykować.

— Czy pan nie słyszał, że dałem panu słowo honoru? — zawołał Maclise żywo.

Jastrzębie spojrzenie ześlizgnęło się po nim.

— Słowo człowieka, który zdradza swych przyjaciół? Pan wybaczy, monsieur, ale go nie uznaję. Do widzenia!

Audiencja była skończona. Maclise uklonił się i wyszedł. Straż odprowadziła go do bramy. W jego umyśle gniew walczył z jakimś ponurym zadowoleniem. Ten Latour! Co za diabelskie spojrzenie! Ale wysłuchał i uwierzył. Ten wieczór będzie dla Regana — ostatnim. Ale jeżeli dla Regana to będzie koniec, dla niego, Maclise'a, na pewno będzie oznaczał początek.

Był tak pogrążony w myślach, że szedł po zapyłonej drodze jak lunatyk i nie spostrzegł, że jakiś cień oderwał się od wielkiego filaru przy bramie i wolno podążył za nim.

— Regan!

— No?

— Chcę z tobą pomówić. Gdzie jest Maclise?

— Dlaczego pytasz? Julio, co się stało?

— Gdzie jest Maclise?

— Jest jeszcze na łądzie. Niedługo wróci. Dopiero pierwsza.

Julia drżała. Worek z korzeniami taro leżał na pokładzie, więc usiadła na nim, bo kolana uginały się pod nią. Ale nie dała Reganowi pójść po wino. Nie było czasu do stracenia. Maclise mógł wrócić w każdej chwili. Julia była blada.

— Więc co się stało? — spytał Regan ponownie. Podszedł do niej i stanął, patrząc z góry na tę kobietę, do której zawsze odnosił się podejrzliwie i której podświadomie nie lubił.

— Czy pamiętasz, że mówiłam ci, żebyś uważał na Mac-lise'a? — zaczęła Julia. — No i miałam słuszość. Widzieliśmy go w mieście. Nie wiem, co mnie tknęło, ale kazałam Mike'owi go śledzić.

— Ryzykowne — zauważył Regan. — No i co?

— Poszedł do gubernatora.

— Co?

— Tak. Miałam słuszość. Wiedziałam, że coś knuje. Mike mówi, że siedział tam ze dwadzieścia minut. Czego chciał? Powiedz mi, jeżeli możesz.

Regan chodził po pokładzie, miotany myślami.

— Wszedł do wnętrza?

— Tak! Co zrobimy, Regan?

— Świnia! Tak pograżyć nas wszystkich! Ale może się mylimy. Jednak po co by chodził do Latoura?

— No właśnie! Po co chodziłby tam, gdyby nie miał nas zdradzić? Jeżeli nas wydał — złapią nas.

— Ale jego nie wezmą. Uratuje swą brudną skórę. Możesz być tego pewna. Gdzie jest Vivian?

— Poszła rozpakować to, co kupiliśmy w mieście. Jest przygnębiona.

Przypuszczam, że uważa się za przyczynę tego wszystkiego. Mówi, że gdyby nie ona, ty i Maclise nigdy byście się nie posprzecjali. Do pewnego stopnia jest to słuszne.

— Jesteś pewna, że Maclise nie widział Mike'a?

— Zupełnie pewna. Co zrobimy?

— Chodźmy na dół. Trzeba natychmiast otrzeźwić Perouse'a. Zawołaj Mike'a. I sprowadź Vivian. Musimy to omówić.

Naradę wojenną odbyli w mesie. Perouse, który został zbudzony i wywołany, zanurzył głowę kilkakrotnie w kuble z morską wodą i oznajmił, że jest już zupełnie trzeźwy. Siedział wyprostowany na skrzyni i wycierał swe mokre włosy ostrym ręcznikiem. Mike opierał się o stół, ręce trzymał w kieszeniach, oczy miał wlepione w Julię. Vivian, blada i zdenerwowana, stała za krzesłem, na którym siedziała Julia. Wszyscy czekali na to, co powie Regan. W kilku zwartych zdaniach wyjaśnił Perouse'owi, co zaszło.

— Co? — ryknął Perouse. — Zdradził nas? Cholera!

— Cicho! Teraz nie ma czasu na emocje. Przynajmniej tak sądzimy wszyscy. Mike, jak on wyglądał, kiedy wyszedł od Latoura?

— Wyglądał... zadowolony — odrzekł Mike. — Szedł, uśmiechając się do siebie.

— Boże, co za heca! — wykrzykiwał Perouse. — Tak, widzę tę przekłętą odezwę. Mówię wam, zaczekają, aż wyniesiemy skrzynie na własnych plecach, a później nas zastrzelą. To się nazywa, że spełnili swój obowiązek.

— Jak myślicie, czy nie zrobią na nas najazdu? — spytał Mike.

— Nie. Zbyt ryzykowne — odpowiedział Regan. — Czy nie pamiętacie tego rabanu z powodu statku zrewidowanego na Amanu? Do tego muszą posiadać specjalny nakaz.

— A ta kanonierka. Ścigała nas. Nie miała prawa.

— Wzywali nas do zatrzymania się. Skoro nie zatrzymaliśmy się, jasne, że nas ścigali. Ale kanonierki mogą sobie na wiele pozwolić na pełnym morzu, a nie tu.

— Nie widzę powodu, dlaczego by nie mieli u nas zrobić rewizji.

— To byłoby dla nich ryzykowne. Jak mogą nam dowieść, że towar jest przeznaczony do wyładowania tutaj? Możemy im wmówić, że to są zamówienia dla Wakatea lub Ritaritari. Ale jeżeli schwytają nas w trakcie wyładowywania — wtedy mają nas w łapie. Chcą mieć pewność. I dlatego nie będą chcieli robić rewizji.

— Maclise powiedział im pewnie, że będziemy wyładowywać dziś wieczorem.

— Czy nie lepiej byłoby narazić się na straty i natychmiast podnieść żagle? — spytał Mike.

— I zostawić tutaj Maclise'a? Nie — wykrzyknął Regan. — Poczekamy, aż wróci i usłyszymy, co powie.

— Łajdak! — wybuchnął Perouse. — Jest taki jak Shottery; w tej rodzinie jest zła krew. Zużyliśmy całe miesiące, żeby dostarczyć tutaj ładunek, a teraz mamy stracić całą gotówkę? „Podnieść kotwicę” mówi Mike. A ja mówię: „nie”. Piet Maar-tens płaci dobrze i płaci gotówką. Ale nie zapłaci, zanim nie otrzyma towaru. Jestem za tym, żeby spróbować i jakoś wyładować tę broń. — Będą nas pilnowali — mitygował ich Mike. — Możliwe, że już nas mają na oku. Nie mamy żadnych szans. Nigdy nie wyładujemy tej broni.

— Jednak trzeba spróbować — odpowiedział mu Regan. — Myślisz, że cofnę się i będę patrzył, jak praca sześciu miesięcy idzie na marne dlatego, że Maclise otworzył gębę?

Vivian dotknęła jego ramienia.

— To szaleństwo! Czy nie rozumiesz, że on chce właśnie do tego doprowadzić? Chce, żebyś wyładował broń, został schwytany i — rozstrzelany. Wtedy dostanie wszystko.

— Więc co mamy robić? — zastanawiał się Regan. — Musimy zdecydować się na jedno lub drugie. Albo poświęcić pracę i zerwać kontrakt z Pietem, albo ryzykować i wyładować broń.

— Co mówiliście o tym, że nie mogą nas rewidować? — przerwał mu Perouse.

— Myślę, że to się nie trzyma kupy. Jeżeli nas zrewidują i znajdą broń, wyciągną jakąś dodatkową ustawę o osobach podejrzanych i wtrącą nas wszystkich do więzienia. Co może powstrzymać gubernatora od wystawienia nakazu rewizji? Mówię wam, że jeżeli Maclise zdradził nas, jesteśmy tyle wari co nieboszczycy.

Regan podniósł wzrok, w którym malowało się postanowienie.

— Posłuchajcie! Nie zejdziemy na ląd dzisiejszego wieczoru. Powiem Maclise'owi, że otrzymaliśmy wiadomość od Pieta, iż nie jest dość bezpiecznie. Trzymajmy się tego na razie. Czy Kapeke dowiedział się, co z łodzią?

— Tak. Mówi, że na dole u Haynesa jest *dinghy*, którą możemy dostać — powiedział Mike i rozmowa zeszała na inny temat. Perouse wyszedł, żeby dokończyć toalety. Regan i Mike udali się na pokład, rozmawiając o *dinghy*. Kobiety, pozostawione same, spojrzały na siebie bezradnie. Vivian była przestraszona. Wydawało jej się potwornością, że losy ich znajdują

się w rękę Maclise'a. Chłód, z jakim mężczyźni przyjęli tę wiadomość, zdumiewał ją. Podziwiała ich spokój. Stali na skraju przepaści. Jeżeli plan Maclise'a powiedzie się, zostaną schwytani i postawieni pod ścianę — to co się z nią stanie? Nie było sensu stawiać takiego pytania. Łup należy do zwycięzcy. Pamiętała twarz o złowrogim wyrazie, znajdującą się tuż obok jej twarzy...

— Co ci jest? — spytała Julia. — Boisz się?

— Trochę.

— Regan coś wykombinuje — zapewniała ją Julia. — Nie mówi wiele, ale nikt tu nie jest mądrzejszy od niego, nawet Maclise. Och, nie masz potrzeby robić takiej miny, wyrwałam go z serca ostatecznie!

— Teraz go nienawidzisz, prawda?

— Tak.

Jednosylabowe słówko padło jak strzał z jej zaciśniętych ust. Nienawiść? To słowo nawet w przybliżeniu nie dawało pojęcia o tym, co czuła w stosunku do Maclise'a.

— Czy... czy? Sądzę, że mnie nienawidzisz również — spytała Vivian.

— Nienawidziłam — odpowiedziała Julia w zamyśleniu. — Ale to minęło.

Kiedy go odprawiłaś, przestałam cię nienawidzić. Sprawiałaś mu ból. Cierpiał przez ciebie. Ja nie mogę mu już sprawić takiego bólu. Ale mogę dotknąć go w inny sposób.

— To okropne!

— Co tam — okropne! To łajdak. Kobiety, które brał i porzucał — jak one musiały przez niego cierpieć! A ja — jak cierpiałam! Teraz jego kolej. Jestem ci wdzięczna, Vivian. Och, niech cię to nie gorszy!

— Co znaczą te uderzenia młotka? — spytała nagle Vivian. Z ładowni dochodziły miarowe stukania. Powtarzały się przez jakiś czas, potem nastąpiła seria jakichś głuchych odgłosów, wreszcie — brzęk, i — cisza. Obie kobiety, przestraszone, pobiegly do luku i spojrzaly w dół, na niejasno rysujące się postacie pracujących.

— Co tam robicie?

Regan uchwycił linę i wciągnął się na górę tak, że głowa jego znalazła się na poziomie ich nóg. Uśmiechnął się, widząc zdziwione miny kobiet.

— Wszystko w porządku, Julio, rozwiązaliśmy to zadanie.

Zabierzemy jednak te skrzynie na ład o dziesiątej. Tylko — nie będzie w nich broni.

Znów opuścił się do ładowni. Tak, to był najlepszy plan. Maclise niczego się nie domyśli. Boże, ależ to będzie zabawne zobaczyć jego minę, kiedy skrzynie zostaną otwarte! Mężczyźni pracowali jak galernicy, przesuając strzelby i amunicję, upychając broń w starej pace, stojącej w najciemniejszym kącie. Przepakowali zawartość skrzyń i ponownie zabili je gwoździami. Pracowali przez całe popołudnie w najgorętszych godzinach, spoceni i spragnieni, aż około wpół do czwartej Julia zobaczyła zbliżającą się *dinghy*, w której znajdowali się Kapeke i Maclise.

Maclise był w doskonałym humorze. Gdy tylko znalazł się na pokładzie, zawołał Regana i popisывał się nabyciem łodzi.

— Kupiłem ją tanio u Haynesa. I powiedziałem mu o naszych reperacjach. Mówi, że nie przypuszcza, abyśmy musieli iść do suchego doku. Przyjdzie jutro rano rzucić okiem. Regan, możesz uregulować ze mną rachunek za *dinghy*, kiedy zechcesz. Wziąłem ją, bo była tylko jedna na składzie, a Pettifor z „Dagmar Lindsey” dopytywał się o nią wczoraj. Tak mi mówił Haynes. Regan skinął głową.

— Wygląda bardzo porządnie. Szczęśliwie się złożyło, żeś ją dostał. Będzie nam potrzebna dziś wieczorem do przewiezienia towaru.

— Tak — powiedział Maclise — tak... Czy jest tam coś do przegryzienia? Przydałoby się zamustrować paru marynarzy. Tylko że nie lubię chłopców z Rapuhi. Nie można im ufać.

— Lepiej zaczekajmy z tym do powrotu do Degas. Tam znajdziemy lepszych — odparł Regan.

— Byliście zajęci? — spytał Maclise, a Regan skinął głową potakująco.

— Wynieśliśmy wszystkie paki na górę. Perouse je ustawia.

— O Boże! Zaszło mi w gardle. Napijmy się czegoś. — Mówił zbyt wiele.

Był zbyt przyjacielski. Sam to czuł, ale nie mógł się powstrzymać. Jego podniecenie musiało znaleźć jakieś ujście, inaczej nie mógłby znieść napięcia, które go czekało w ciągu najbliższych godzin. Jego niebieskie oczy miały wyraz bardzo wesoły, twarz była rozpalona. Pił ostrożnie, żeby nic nie mogło mu popsuć bliskiego zwycięstwa. Podczas obiadu czynił gwałtowne wysiłki, aby znów powrócić do swego zwykłego, ponurego i obojętnego sposobu bycia, ale na próżno.

Kapeke przyniósł młodego prosiaka i świeżo bity drób i podał potrawę, która wszystkim zaostrzyła apetyt.

— Te świnie z ostrą sierścią spotyka się teraz rzadziej — mówił Perouse, z pełnymi ustami i nową porcją nadzianą na widelec. — Teraz nie widać ich prawie. Stare wieprze były twarde, ale miały jakiś słodkawy smak, którego nie znajdziecie w innych.

— Wszystko się zmienia — rzekł Maclise. — Nawet tu, w Rapuhi.

— Wszystko prócz natury ludzkiej — przypomniał mu Regan. — Słuchaj, właśnie myślałem o tym. Czy sądzisz, że bezpiecznie jest wyładować dziś wieczorem?

W dusznym pokoju zapanowała cisza. Brzękanie talerzami i nożami ustało. Regan i Maclise patrzyli na siebie przez stół.

— Dlaczego nie ma być bezpiecznie?

— Nie wiem. Tknęło mnie coś, żeby poczekać do jutra.

— O, ale dlaczego? Wszystko już jest ułożone. Co by powiedział Piet?

— Moglibyśmy posłać mu wiadomość.

— Nie rozumiem cię — powiedział Maclise gniewnie. — Co cię znów ukąsiło?

— Jakieś przeczucie niebezpieczeństwa.

— Absurd! Dlaczego by dziś miało być bardziej niebezpiecznie niż jutro? Regan zdawał się zastanawiać.

— Dobrze, być może, masz słuszość. Ale jeżeli nas złapią, wiesz, czym to pachnie. I wiesz, jacy są ludzie gubernatora. Najpierw strzelają, a później przeprowadzają śledztwo.

Maclise roześmiał się i zmienił temat rozmowy. Ale aluzja ta zapadła głęboko. Przypuśćmy — będzie strzelanina. Wtedy on może być tak samo trafiony, jak każdy. O, to być nie może! Dlaczego Latour nie dał mu glejtu, listu, dowodu, czegokolwiek, co by mu zapewniło przywileje. Stopniowo jego wzburzone uczucia przerodziły się w panikę. Rozstrzelany...

— Damy im, czego pragną, za ich pieniądze — mówił Regan. — Jeżeli powstanie jakieś zamieszanie, to już będzie prawdziwe piekło. Ale jeżeli chcą zamieszek, będą je mieli.

Maclise drżał trochę. Nawet największy wróg nie mógł nazwać go tchórzem. Ale w podnieceniu, w jakim się znajdował, jego ryzykowne przyłączenie się do awantury wydawało się czymś bezsensownym. Namiętnie pragnął żyć. Jego zamiary

były bliskie realizacji. Pozbywszy się Regana, mógł ować Vivian i „Spindriftem”. Nagle zrozumiał, że nie może stawiać wszystkiego na jedną kartę. Świszczące kule, migające noże — kto może orzec, gdzie się znajdzie lub padnie wśród tego zamętu? A Latour — czy można mu ufać? Teraz, kiedy już ma wiadomość jakiej pragnął, może wyprzeć się tego, kto mu jej dostarczył.

Maclise oparł się ciężko o stół. Podparł głowę rękami i westchnął głęboko. — O, źle się czuję! Kapeke przynieś mi marynarkę, prędko. Zaczął się trząść i gdy Kapeke przyniósł marynarkę, zarzucił ją sobie na ramiona. Inni patrzyli na niego z zainteresowaniem. Trzął się, czuł się źle — wyglądało to jak początek febry. Dali mu wódki, ale wypluł ją, twierdząc, że nie może połykać.

— Połóż się lepiej — poradził Regan. — Damy sobie radę bez ciebie. Ale kiedy obaj z Mike'em odprowadzili Maclise'a do jego koi i nakryli kolorową kołdrą, Mike orzekł:

— Udaje chorego.

— Tak. To dowodzi, że obawia się zejść na ląd. Ale to wszystko jedno. Jeżeli coś się stanie dzisiaj, to przekonamy się, że wiedział o tym i zlął się.

— Myślicie, że to bezpiecznie zostawić go tutaj?

— Naturalnie. Nie ruszy się, dopóki nie dowie się, jak się wszystko odbyło na ładzie. Kobietom też nic się nie stanie do naszego powrotu. Nie będzie miał czasu myśleć o nich.

Zatrzymali się na chwilę niezdecydowani, czując się nieswojo w atmosferze nieufności i niepewności. Co będzie, jeżeli się mylili i Maclise miał uczciwy powód do złożenia tej dziwnej wizyty Latourowi? Ale jeżeli naprawdę udawał — jeżeli nastawił na nich pułapkę — pułapkę, w którą zostaną schwytani...

— O, chodźmy — zdecydował Regan. Chodźmy!

XVIII

1

Maclise przeczekał, aż wszystko ucichło. Nasłuchiwał szybkich kroków, uderzeń skrzyń spuszcanych do kołyszącej się *dinghy*, nawoływań Kapeke i tysięcznych odgłosów wyładunku. Wkrótce na okręcie zapanowała cisza i Maclise odrzucił kołdrę

i usiadł. Tak, postąpił mądrze, że nie miesza się do tego, co się odbywa na brzegu. Czy Regan coś zwąchał? Spojrzał na niego podejrzliwie kilka razy. Ale nie było możliwe, żeby odkrył prawdę.

Maclise przeciągnął się leniwie i otworzył drzwi kabiny. W mesie paliło się światło, co przypomniało mu, że kobiety są jeszcze na statku. Vivian! No, teraz już nie będzie czekał długo na to, czego pragnął. Będzie to słodkie i niebezpieczne zwycięstwo, odniesione nad kobietą, której pożądał tak, jak jeszcze żadnej w życiu. Tak, miał dość najrozmaitszych dziewcząt. Natalie, Ewa, czerwonołosa Peg, dziewczyna, której imienia nigdy się nie dowiedział — ach, było ich tak wiele! Spoglądając wstecz stwierdził, że nawet ich już nie rozróżniał. Rozpływały się wszystkie w jednym cielem, którego urok działał nawet we wspomnieniu. Julia! Tej nigdy nie zapomni. Była najpiękniejsza ze wszystkich. Jego zmysł znawcy mówił mu, że Vivian nie ma tego ognia, który czynił z czarnowłosej diablidy taką wspaniałą kochankę. Julia nie miała sobie równej. Wiedział, że nawet gdy będzie trzymał w ramionach Vivian, myśleć będzie o tamtej. Była to część kary, którą bogowie wymierzili mu za jego nałogi. Cyniczna znajomość samego siebie narzuciła mu pytanie: „Czy Vivian będzie ostatnia”? Znał odpowiedź. Aczkolwiek nie chciał tego przyznać, zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że dla niego zawsze będzie istniała — następna.

Zaczął chodzić po kabinie, dotykając różnych przedmiotów. Zmysł posiadacza pochwyił go już w swą moc. Wkrótce statek będzie jego własnością. Maclise będzie jego panem, będzie go kochał, panował nad nim, podporządkowywał go swej woli. Zrobi z niego cacko. Będzie to najpiękniejszy statek na całym południowym Pacyfiku. Będzie znany od Wyspy Johnsona do Degas. W barach będzie się mówiło: — „Spindrift” wpłynął do portu... Widziałem Maclise'a — Maclise'a ze „Spindrifta”... Czy słyszałeś o „Spindrifice”?... On i okręt będą stanowili świetną parę. Popłyną do Les Aves, na ciemną wyspę i do Takura, gdzie w przyszłym roku mają być przydzielane nowe miejsca dla poławiaczy pereł. Skończy się już ten przeklęty przemysł broni. To było zbyt ryzykowne. Ale mogłby także spróbować przemysłu rumu. O, świat należał do niego i teraz wynagrodzi sobie te wszystkie stracone lata. Okręt jego serca i kobieta jego snów — czego mógł człowiek żądać więcej?

Wśród tych marzeń i planów zapomniał o Julii. Siedziała przy wiszącej lampie i szyla. Zatrzymał się przed nią, zawahał się trochę i niezgrabnie sięgnął po butelkę stojącą na stole. Julia nie podniosła oczu znad roboty. Wyglądało, jak gdyby wcale nie słyszała, że wszedł. Ale nie dał się zwieść.

— Poczulem pragnienie. Pojechali?

— Tak.

Coś w jej głosie sprawiło, że spojrzał na nią. Nawlekała igłę, trzymając ją pod światło, które padało na jej białą szyję.

— Gdzie jest Vivian?

— Pojechała z tamtymi.

— Mój Boże!

— Dlaczego nie miała pojechać? Sam mówiłeś, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Nie powinna była jechać! Czy Regan stracił zmysły?

— Nie. Pewnie sądził, że z nim będzie bezpieczniejsza.

— Bezpieczniejsza?

— Nie sądzę, żeby palił się do zostawienia jej tu z tobą. Teraz miała głowę spuszczoną nad robotą. Nie mógł widzieć jej oczu, ale domyślił się ich złośliwego wyrazu.

— Idiota! — wybuchnął. — Jeżeli coś się zdarzy...

— Więc myślisz, że coś się zdarzy? Szukał wykrętów.

— Naturalnie, że nie. Nie ma powodu. Ale jeżeli by się coś stało i ona została raniona... została raniona...

Nie mógł mówić dalej. Julia pomimo swego tryumfu poczuła ukłucie żalu.

— Czy nie ma nikogo na statku, prócz mnie i ciebie?

— Nikogo. Cieszyłoby cię to — kiedyś.

Odwrócił się nachmurzony. Jego falujące włosy rozwiewały się pod wpływem lekkiego powiewu, wpadającego przez otwartą kłapę. W tej chwili bardzo przypominał Shotttery'ego.

— Cieszę się, że czujesz się lepiej — odezwała się Julia. — Jakoś prędko wyzdrowiałeś, prawda?

— Ładne szybkie wyzdrowienie! — warknął naburmuszony. — Czuję się fatalnie. Ale tam jest duszno i nie mogę spać.

— Świeże powietrze dobrze by ci zrobiło. Jestem pewna, że wiosłowanie przy przejażdżce *dinghy* sprawiłoby cuda.

— Jesteś bardzo zła. Wiem, co cię ugryzło, Julio. Złóścisz się, bo byłem... byłem brutalny dla ciebie ostatnio. Więc przepraszam. Teraz zejdź z twego wysokiego konia.

— Jesteś czarujący — szepnęła Julia.

— Och, zostaw — ofuknął ją gniewnie. — Nie ma powodu, abyśmy byli nieprzyjaciółmi. Przyznaję, że nie zachowałem się zbyt dobrze. Przeprosiłem. Nie wiem, czego spodziewasz się więcej?

— Nigdy nie spodziewałam się nawet, że mnie przeprosisz — Julia odgryzła nitkę. — Wziąwszy pod uwagę to, cośmy razem przeszli, wydaje mi się to śmieszne.

— Śmieszne? Masz dziwne poczucie humoru.

— Chciałabym — odparła Julia gorzko. — Zmysł humoru pozwala przetrwać wiele. Vivian go posiada. Dlatego nie cierpiała wiele.

— Cierpiała? Dlaczego, u diabła, miała cierpieć?

— Obchodziłoby cię to, gdyby się czuła nieszczęśliwa?

— Tak.

— Ale jeżeli ja jestem nieszczęśliwa, to nie gra roli.

— Och, nie stosuj wszystkiego do siebie.

— Przypominam sobie pewien dzień w Les Aves, kiedy uderzyłam się w nogę. Nie było to nic poważnego. Po prostu trzeba było ją zabandażować. Szalałeś prawie, bo myślałeś, że mnie boli. Znosiłeś mi różne rzeczy, abym zapomniała o bólu — znalazioną gdzieś błyskotkę, starą gazetę do czytania, jakąś wymyślną potrawę... Kiedy Charlesa nie było w pobliżu, całowałeś mnie w taki delikatny sposób. Czułeś się nieszczęśliwy, bo myślałeś, że cierpię. Przed kilkoma dniami zadałeś mi inny ból. Ból moralny. To się nie liczy, prawda? Nigdy nie troszczyłeś się o moją duszę, dopóki chciałeś mieć moje ciało. To tylko czciłeś we mnie. To, że kochając Vivian, zadawałeś mi śmiertelny ból — to nie było ważne, prawda?

— To cię nie boli, istotnie. Jesteś tylko zazdrosna.

— Tylko... Tylko zazdrość! Zazdrość jest najokrutniejszym uczuciem na świecie. To jest uczucie, które zamienia ludzi w dzikusów i potwory. To jest uczucie leżące na dnie przynajmniej połowy grzechów świata.

— Więc czego się po mnie spodziewałaś? Co miałem robić? Próbować cię oszukiwać? Udawać, że mi jeszcze na tobie zależy? Nigdy jeszcze nie robiłem tego w stosunku do żadnej kobiety. Zawsze byłem uczciwy.

— I sądzisz, że uczciwość wszystko usprawiedliwia? Tak samo jak myślisz, że wystarczy powiedzieć „żałuję bardzo”, żeby wszystko zostało wybaczone i zapomniane. Uczciwy. Co

z tego, że udawałbyś cokolwiek. Wszyscy wiedzą, że kochasz się w Vivian, a ona cię nie chce.

— To ci się podoba, prawda? Zachwycona jesteś tym, że ja cierpię.

— Nie bądź głupi — Julia miała dość rozmowy. — Mówiliśmy już raz o tym. Dlaczego nie kładziesz się do łóżka?

Ale Maclise nie zrobił tego. Coś w Julii wydało mu się podejrzane. Znał ją dokładnie i zauważył, że była zaniepokojona, podniecona. Oznaki tego były ledwie dostrzegalne — jakiś gwałtowny ruch ręki, przyspieszony sposób mówienia — ale jego zmysły, wyostrzone oczekiwaniem niebezpieczeństwa, w lot je chwyciły.

— Julio!

— Co?

— Co się tu stało? — spytał Maclise mimo woli.

— Nic. Co za dziwne pytanie. Czego się boisz?

— Boję? Ja? Nie boję się niczego.

— To dobrze. Z początku myślałam, że obawiasz się mnie trochę.

— Ciebie? Wielkie nieba! Dlaczego?

— Nie śmieję się z tego. Kobiety, które zostały potraktowane w ten sposób, jak ja przez ciebie, bywają czasem uważane za niebezpieczne.

— Och, Boże, nie bądź śmieszna! Zresztą wytłumaczyłem ci, że... cóż jestem winien, iż ją pokochałem?

— Nie byłeś winien też, że pokochałeś mnie — w swoim czasie.

— Zaklinam cię, nie powracaj ciągle do tego samego! Przeszło. Przykro mi, ale tak jest. Będiesz ciągle mówiła swoje, ciągle w kółko, aż mdło się robi. I teraz udajesz, że jesteś niebezpieczna! Czy masz zamiar pewnej nocy zabić mnie?

Spojrzał na jej zaciśnięte wargi i przez głowę przebiegła mu pewna myśl. Czy zabiłaby go, gdyby mogła? Może. Czy mądrze zrobił, licząc na to, że Julia go zrozumie? Jeżeli była istotnie tak rozgoryczona, należało być ostrożniejszym. „Zabić go” — zaraz, zaraz! Przecież ktoś już próbował zrobić to na wyspie. Zawsze myślał, że to Regan. A jeżeli to była Julia? Stał jak wryty.

— Julio.

— Co?

— Czy istotnie nienawidzisz mnie do tego stopnia, żebyś mogła mnie zabić?

— Nie, naturalnie, że nie. Stajesz się nudny, Maclise.

— Boisz się powiedzieć mi prawdę. Teraz widzę, że mnie nienawidzisz. Regan też. Próbował mnie zamordować na wyspie.

Przeczekał chwilę.

— Prawda, że tak było, Julio?

— Skoro tak mówisz.

— Ale ty się zgadzasz z tym, co? Może wiesz lepiej? Czy tak?

— Nic o tym nie wiem.

— Wiesz o tym więcej niż Regan.

Był to próbny strzał, ale trafił w cel. Maclise widział, jak ręce jej zacisnęły się na jedwabiu, który trzymała. Wyraz twarzy jednak nie uległ zmianie. Ale już dawno przekonał się, że twarz Julii nie zdradzała jej myśli. Podszedł bliżej i stanął przed nią.

— Co wiesz o tym wypadku na wyspie?

— Nic. Proszę cię, nie zasłaniaj mi światła.

— Dobrze. Spójrz na mnie. Co wiesz o tym? Odpowiedz mi.

— Nie potrzebujesz tak krzyczeć! I nic nie wiem o tym.

— Wiesz, kto to był. Nie próbuj mnie oszukać, bo ci się nie uda. Czy myślisz, że nie wiem, kiedy kłamiesz? Wiesz dobrze, kto to był.

— Nie wiem! Nie wiem!...

— Czy to był Regan? Czy tak?

— Przypuszczam.

— Przypuszczasz! To ma znaczyć, że nie wiesz? Nie — drążył Maclise w zamyśleniu. — Gdyby miał taki zamiar, nie mówiłby o nim tobie.

Najprawdopodobniej nie mówiłby nikomu. Ale ty wiesz, kto to był. Kto mógł się tobie zwierzyć?

— Daj mi spokój.

Odsunął się. Julia sięgnęła po robotę, ale teraz ręce jej drżały, a ściegi wychodziły zupełnie krzywo. Spostrzegł to, starając się wyjaśnić tajemnicę.

— Nie sądzę, żebyś to była ty — cedził z wolna. — Jeżeli Regan mówi prawdę, widział kogoś biegnącego w stronę statku. Jeżeli to prawda, to by cię oczyściło, bo wyszłaś z namiotu razem z Vivian. Statek... Kapeke... Perouse... Mike. Perouse nie skrzywdziłby muchy. Nie sądzę, aby to był Kapeke, bo chłopak mnie lubi. Bóg wie dlaczego. Dałem mu nieraz szturchańca. Ale nie sądzę, żeby to był on. Poznałbym. Kanakowie mają specjalny zapach.

Rozmyślał nad tą zagadką, wpatrzony w nerwowo pracujące palce Julii.

— Pozostaje tylko Mike. Ale dlaczego, u diabła, Mike chciałby się mnie pozbyć?... Czy to był Mike? — zakończył ostro.

Skąd mogę wiedzieć?

— Mike! Boże święty, co uczyniłem Mike'owi? Poczekaj... ma do mnie żal za to, że mnie kiedyś kochałaś. Jest zazdrosny!

— Nie — powiedziała Julia nieopatrznie. Maclise w mgnieniu oka zwrócił się do niej.

- Naprawdę? Więc dlaczego chciał mnie zamordować?

— Nie wiesz, czy chciał.

— Ale ty wiesz. Nie patrz tak na mnie. Klnę się na Boga, że wydam cię z siebie prawdę! Czy to był Mike?

— Nie wiem.

Straciwszy panowanie nad sobą, wyrwał z jej rąk robotę i rzucił ją w kąt.

— Teraz uważaj. Ty wiesz, kto to był. Ja wierzę, że to był Mike. Musisz mi powiedzieć.

Przysunął skrzynię i usiadł na niej tak, że twarz jego znajdowała się na poziomie twarzy Julii. Oczy Maclise'a miały taki wyraz, że serce kobiety zaczęło bić prędzej.

— No, dalej! Będziesz tu siedziała tak długo, dopóki nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć. Czy to był Mike?

Spojrzała na niego kamiennym wzrokiem, zacisnąwszy usta w sposób buntowniczy.

— Nie odpowiesz? Więc stwierdzam, że milczenie oznacza potwierdzenie.

Teraz powiedz, dlaczego Mike chciał mnie zabić? Nie mogę powiedzieć, aby chłopak nienawidził mnie aż do tego stopnia. Nie czuje do mnie takiej nienawiści jak ty.

Przysunął skrzynię bliżej.

— Czego nie rozumiem, to powodu tego czynu. Po co człowiek popełnia zabójstwo? Aby zdobyć pieniądze. Tutaj to być nie mogło. Pod wpływem nagłego impulsu — też nie. Jasne jest, że rzecz była zaplanowana. Żeby zdobyć... czy żeby zdobyć ciebie? Czy obiecałaś mu, że jeżeli mu się uda?...

Julia straciła panowanie nad sobą. Bliskość Maclise'a, jego złość i upór, z jakim starał się rozwiązać prześladowającą go zagadkę — wystraszyły ją.

Uczyniła jakiś ruch, chcąc wstać, ale powstrzymał ją nakazującym gestem ręki.

— Siadaj! Czy obiecałaś mu, że zostanie twoim kochankiem, kiedy się mnie pozbędzie? Powiedz, obiecałaś?

Wlepił swe niebieskie oczy w czarne oczy Julii. Umilkł. Kiedy się znów odezwał, głos jego brzmiał ochryple. A może zrobił to, bo go o to poproszono! Nastąpiła cisza, pełna napięcia. Julia zasłoniła oczy rękami i odwróciła się. Maclise podniósł się.

— Więc to jest prawda? Za kulisami tego wszystkiego byłaś ty. Chciałaś, aby za ciebie wykonał brudną robotę...

Szarpnął Julię za rękę osłaniającą jej twarz, zmuszając do spojrzenia sobie w oczy. Skurczyła się, przejęta lękiem. Trwało to chwilę. Potem wstała i spojrzała mu zuchwale w twarz, ogarnięta jakimś gwałtownym przypiływem odwagi.

— Tak, to prawda! Namówiłam go. Chciałam cię zabić! Żałuję, że mu się nie udało. Żałuję! Słyszysz?

Głowę miała podniesioną. Jej pierś wznosiła się. Czuł dla tej kobiety, która umiała tak kochać i tak nienawidzić, coś w rodzaju podziwu. Potem fala gniewu zmyła wszystko prócz faktu, że pragnęła go uśmiercić.

— Powinienem cię rozdeptać, zmijo! Jakie miałas prawo spodziewać się, że nigdy nie spojrzę na inną kobietę? Niech cię diabli porwą! Próbowalaś mną rządzić i nasłalaś na mnie Mike'a dlatego, że cię nie chciałem. Jednakże nie wahałabyś się ani chwili i porzuciłabyś mnie, gdyby ci się spodobał ktoś inny.

— Nienawidzę cię! — powiedziała Julia. — Nienawidzę cię, Maclise. Miałaś słuszość co do Mike'a. Powiedziałam mu, że ma drogę do mnie wolną, jeżeli ciebie zabije. Biedny dzieciak — nie chciał. Nigdy by tego nie zrobił — nie próbowałby — gdyby nie to przyrzeczenie. Mówiłeś nie raz, że mnie kochasz. Możesz się uczyć od niego, co to jest miłość.

Oczy Maclise'a ślizgały się po jej postaci, po tym wspaniałym kobiecym ciele, które kiedyś należało do niego. Przypomniawszy sobie pierwsze dni ich miłości. Przez jedno mgnienie przeżył znowu parną, bezgwiezdna noc, słyszał swój własny, stłumiony głos, poczuł przyśpieszone bicie jej serca pod dotknięciem swych warg. Ta gorączkowa, skradziona godzina będzie żyła w jego pamięci do końca życia. Maclise przetarł ręką czoło; było wilgotne.

— Zapłacisz za to. Jak Bóg w niebie, zapłacisz mi za to, Julio.

— Co mi możesz zrobić? — wybuchnęła. — Powiesz Reganowi? Nie uwierzy ci. Może mnie uderzysz, może zbijesz? Chciał-

byś. Proszę, zrób to. Cokolwiek zrobisz, nie będzie miało żadnego znaczenia. Nie możesz sprawić mi większego bólu, niż sprawiłeś.

— Powiedzieć Reganowi? Nie mogę.

— Możesz. Myślisz, że wyrzuci mnie i zostawi w Rapuhi? Wszystko mi jedno.

— Nie powiem Redanowi — wycedził Maclise wolno. — Prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczę.

— Co takiego?

— Regan nigdy nie wróci z Rapuhi.

— Nigdy nie wróci?

— Nie. Jedyłą osobą z tej paczki, która powróci, będzie Vivian. A ona nie wróci wcześniej, aż pojadę po nią i przywiozę ją.

W podnieceniu nie spostrzegł tryumfu, jaki czaił się w jej oczach. Mówił coraz głośniej; z początku wolno, później coraz prędzej i prędzej, w miarę gdy marzenia swe ubierał w słowa.

— Od lat chciałem wyrównać swe rachunki z Reganem. Wiedziałaś o tym. Zawsze byliśmy wrogami. A później zabił mi brata. Gdyby nie on, Shottery by nie zginął. Regan! Miał „Spindrifta” i miał Vivian. Teraz nie będzie ich miał. Staną się moją własnością. Oboje. „Spindrifta” każę wyreperować i odnowić. Będzie to najpiękniejszy statek żeglujący między Rapuhi a Les Aves. To cacko! Hunter nigdy nie wydobył z niego wszystkiego, co mógł. Ale ja to zrobię. Potrafię być jego panem. A Vivian — pragnąłem jej i teraz będę ją miał. Słyszysz?

— Nigdy nie będziesz jej miał.

— Ha!... Mało wiesz. Będzie moja już jutro. Nie, nie będzie z tego zadowolona. Ale wszystko mi jedno. Jeżeli nie mogę jej mieć dobrowolnie, to zdobędę ją wbrew jej woli. Poskromię ją w krótkim czasie. Zawsze jest tak z kobietami.

— W jaki sposób stanie się to wszystko? Upajał się wizją zwycięstwa.

— Moje — jedno i drugie. A Regan z uncją ołowiu w mózgu. Duch Shottery'ego się uspokoi, kiedy dowie się o tym. Przemysłowcy broni! Krótko trwa rozprawa z nimi w Rapuhi! Latour — nawet nie wiem, czy mi wypłaci nagrodę. Wszystko mi jedno, czy zrobi to, czy też nie. Będę miał to, co chcę, bez jego parszywych pieniędzy. Mam trochę odłożonego grosza w Degas; starczy na doprowadzenie statku do porządku. Za dwa dni zejść na ląd, zaangażuję nową załogę i kilku Kanaków. W Degas też wezmę

kilku chłopców. Ci z Degas są najlepsi. Są to silne chłopy i nie tak zabobonni jak większość Kanaków.

— Wszystko to już sobie zaplanowałeś.

— No pewnie! Prawie nie zmrużyłem oka w nocy, tyle o tym myślałem. Statki i kobiety! Udało mi się pozyskać najpiękniejsze okazy jednych i drugich.

— Więc zdradziłeś ich. Taki jest sens tego wszystkiego, prawda? Całe to gadanie o Latourze i nagrodzie i ludziach, którzy nie wrócą — czy tak?

— Tak! — wrzasnął tryumfalnie. — Tak! I wszystko mi jedno, co o tym myślisz. Piekielną męką było trzymanie tego w tajemnicy. Teraz już mogę śmiało ci o tym powiedzieć, bo za późno jest na ratunek, nawet gdybyś chciała ich ratować.

Rozpierała go duma, płonął cały i z trudem chwycił oddech.

— Mówią, że nigdy nie osiąga się tego, czego się najwięcej pragnie. Ja to osiągnąłem. Latour wyśle oddział ludzi, którzy będą czekać na brzegu na przybicie *dinghy*. Skoro tylko Regan i inni wyjdą na ląd, zostaną aresztowani za przemyt broni. Jeżeli spróbują walczyć, zostaną zastrzeleni. W każdym razie zostaną rozstrzelani jako spiskowcy. Opracowałem ten plan. Ustaliłem. Obmyśliłem wszystko. Vivian — nie powinna była jechać. Muszę udać się po nią. Może ją zatrzymają na krótki czas, ale nic jej nie zrobią. Francuzi są rycerscy. Wypuszczą ją. Wytłumaczę wszystko Latourowi.

— Więc oni nie wrócą?

— Nie.

— A co zrobisz ze mną? — spytała Julia łagodnie. — Dlaczego nie miałbyś wystawić mnie na licytację na rynku w Rapuhi?

— Zostawię cię tutaj — odrzekł brutalnie. — Łatwo zarobisz na życie. Jest w Rapuhi dosyć starych głupców, którzy będą szczęśliwi, mogąc cię utrzymywać. Nie chcę mieć cię tutaj na statku, gdzie jest Vivian. Nie nadajesz się do tego, żeby być w pobliżu Vivian. Nie powinnaś nawet jej dotknąć. Patrzyła na niego przez chwilę, rozkoszując się swym tryumfem, przyglądając się tej dumie, którą za chwilę zetrze w proch. Był młody i kochała go kiedyś, a teraz musi użyć całej swej siły, żeby go zgnębić. Uśmiechnęła się.

— Jesteś pewny, że oni nie wrócą?

— Tak. Jestem pewny. Latour nie zawiedzie. Będzie w pogotowiu, aby ich przyłapać na gorącym uczynku.

— A gdyby nie był?

— Będzie. Będzie. Tak się umówiliśmy. Oni będą wynosili skrzynie z bronią...

— Z bronią? Maclise, czy znasz tę starą głęboką pakę w ładowni?

— Więc co z tego?

— Idź tam i zajrzyj do niej.

— Po jakiego diabła?

— Może tam coś znajdziesz.

— Co to ma znaczyć?

— Jesteś bardzo pewny, że strzelby zostały zapakowane do skrzyń spuszczonech do *dinghy*.

— Co to za gra? Co to za kawały?

— Chciałabym zobaczyć minę Latoura — uśmiechnęła się Julia znowu — kiedy skrzynie zostaną otwarte i gubernator zobaczy, że są wypakowane garnkami, patelniami, butami, chustkami do nosa...

— Milcz, głupia! Nie rozumiem cię! Co to ma znaczyć?

— To znaczy — odrzekła — że Latour nie znajdzie żadnej broni.

— Nie znajdzie żadnej broni?!

— Nie.

— Nie rób ze mnie idioty. Przecież broń jest w skrzyniach.

— Idź i zajrzyj do ładowni.

Ociągając się i wahając — poszedł. Czekwała, uśmiechając się ciągle w ten dziwny sposób. Podniosła robotę, którą Maclise odrzucił w kąt i ponownie nawlokła igłę. Ręka nabrała pewności. W chwili gdy robiła supełek, usłyszała kroki powracającego Maclise'a.

Na jego widok z krzykiem zerwała się z miejsca i podbiegła do ściany. Oparła się o nią plecami, zasłaniając się rękami przed atakiem. Te płonące oczy i blada twarz wywołały na jej usta modlitwę, a usta te już dawno nie powtarzały słów modlitwy.

— Strzelby! — warknął wściekle. — Tak, masz słuszność. Znalazłem je. Więc mnie podeszli? Niech ich czart porwie! Skąd wiedzieli?

Stał przy drzwiach, chwiejąc się na nogach.

— Skąd wiedzieli?

Julia wyprostowała się. To była jej godzina.

— Posłałam Mike'a, żeby cię szpiegował. Widział, jak wchodziłeś do domu Latoura.

— Więc tobie mam za to podziękować?

— Tak — uspokoiła się, nie zwracając uwagi na groźbę w jego spojrzeniu. — Tak. Robiłeś ze mną, co chciałeś. Teraz moja kolej. Zapłacisz za to, gdy Regan z innymi powrócą. Nigdy nie zdobędziesz „Spindrifta”. Nigdy nie zdobędziesz Vivian. Będziesz cierpieć tak, jak ja cierpiałam. Grałeś o wysoką stawkę, Maclise, i przegrałeś! Przy tym słowie zerwał się. Nie był już Maclise'em, lecz jakimś oszalałym zwierzęciem. Jak wilk wyszczerzył zęby, skoczywszy ku tej białej szyi, którą kiedyś pokrywał pocałunkami.

Przed oczami widział czerwoną mgłę. W sercu miał tylko jedno pragnienie zabić tę szyderczo uśmiechniętą kobietę, która pokrzyżowała jego plany. Wszystkie jego nadzieje waliły się w gruzy. Niechaj Julia umrze pod tymi ruinami! Prawie nie uświadamiał sobie, że krzyczała. Runął na nią całym swym ciężarem, a ona osunęła się na podłogę, broniąc się zajadle. Jej opór doprowadził go do szału. Ach, teraz przydusił. Nie mogła krzyczeć dłużej! W uniesieniu wściekłości chwycił ją rękami za gardło...

Stał znowu, wpatrując się w martwą twarz. Czy powinien na niej postawić nogę i rozgnieść obcasem? Dziki poryw minął i Maclise znów był słaby i drżący. Trzęsącymi się rękami nalał sobie rumu.

Nie miał odwagi spojrzeć na zmiętoszony strzęp leżący na podłodze.

Wiedział, że będzie go widział do końca życia. Do końca życia...

XIX

1

Dinghy otarła się o molo, Kapeke wyskoczył na brzeg i zacumował ją. Zaczął się wyładunek. Nie starali się o to, żeby zachowywać się spokojnie. Wszystko odbywało się przy akompaniamencie zwykłych porcji hałaśliwych odgłosów. Dwaj strażnicy portowi podeszli leniwie, zaświecili latarkami i zażądali oddania broni, która została natychmiast zanieśiona do okrągłej chatki, stojącej przy wejściu na molo. Był to zwykły sposób postępowania z obcymi i nikt nie robił na ten temat żadnych uwag prócz Perouse'a, który coś do siebie mruzczał, aż Regan

musiał go trącić. Wieczór był wietrzny. Palmy kołysały się i gięły w ciemnościach, a szelest ich liści czynił wrażenie szumu fal jakiegoś wewnętrznego morza. Od zatoki płynęło światło wysoko strzelających ognisk. Trzeszczący gramofon powtarzał bezustannie ten sam refren: „Tylko trochę miłości, jeden pocałunek...”, a strażnicy portowi nucili go półgłosem, ciesząc się, że coś przerywa monotonię ich nudnej pracy.

Skrzynie zostały wyładowane. Stały na moło, nagromadzone jedne na drugich. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby o tej godzinie można było dostać jakiś ręczny wózek lub taczki. Nie wyglądało też na to, aby dało się wynająć samochód do przewiezienia ładunku. Na całej wyspie znajdowały się trzy samochody, reumatyczne fordy, których właściciele cenili je zbyt wysoko, jak na takie hałaśliwe stare gruchoty, trzymające się kupy dzięki kawałkom sznurka i drutu.

— Sądzę, że stary van Luyt położył już swój samochód do łóżka z gorącą butelką na nogi — mruczał Perouse. — Ach, chodźcie. Zaniesiemy ten przeklęty towar sami. Nie, pani nie podniesie ani jednej rzeczy, panno Vivian. Niech pani weźmie latarkę. Regan, pomóż mi. Ho-op!

Mężczyźni wzięli skrzynie na ramiona. Przywieźli ich piętnaście, dużych i małych. Reszta, sumiennie opróżniona z niedozwolonej przez prawo zawartości i na powrót zabita gwoździami, pozostała na statku. Druga i trzecia podróż na ląd miała mieć miejsce nazajutrz.

— Wygląda na to, że będziemy trzy razy odbywać drogę stąd do składu Pieta Maartensa — mruknął Mike.

Regan skinął głową. Twarz jego w świetle latarni miała wyraz zmęczony i posępny. Nie było żadnego ryzyka. A jednak...

— Cieszę się, że przyjechałam z wami — odezwała się Vivian, idąc obok niego przez miasto.

— Myślisz, że miałbym spokój, wiedząc, że zostałam na statku z Maclise'em? W ciemnościach można było odróżnić Vivian od mężczyzn tylko dzięki jej drobnej budowie. Chłopięca postać, idąca obok niosących skrzynie marynarzy, wprowadziła w błąd kilku przechodniów, spotykanych na drodze do baru Pieta Maartensa. Z otwartych drzwi dochodziły przyjemne odgłosy dźwięczącego szkła i wesołych męskich rozmów. Przez chwilę wałęsająca się bez celu Francuzka szła za małą procesją, zwabiona wysoką

postać Regana. Zbłąkany pies obwąchał cuchnące dziegiem spodnie Mike'a i zdawał się mieć ochotę zawrzeć z nim przyjaźń. Nikt nie usiłował ich zatrzymać. Żaden ostry rozkaz nie zabrzmiał w ciemnościach. Szli więc wolno naprzód z tępych wyrazem twarzy, z obolałymi ramionami, nasłuchując z napięciem, czy nie usłyszą odgłosu biegnących za nimi nóg; podążali ze spojrzeniem czujnym na ciemny kształt, mogący wyłonić się spoza ochronnego muru.

Dotarli do baru Pieta i weszli do wnętrza. Powitał ich swobodnie, zrzędząc trochę z powodu spóźnienia. Klienci patrzyli obojętnie na to, że jacyś ludzie weszli do składu za barem i postawili skrzynie na podłodze. Wszyscy weszli z powrotem do baru i ocierali sobie szyje z potu, podczas gdy Piet rozlewał wódkę. Tylko Vivian pozostała w cieniu, tuż za drzwiami. Reszta piła spragniona; wesoły gwar rozmów w języku holenderskim i imponujący spokój samego Maartensa — wszystko to łagodziło napięcie ich nerwów.

— No dosyć — powiedział Regan, odstawiając pustą szklanę. — Możemy iść liczyć.

Poszedł za Pietem do bocznego pokoju i nachylili się nad skrzyniami. Piet trzymał w ręce spis i wykreślał niektóre pozycje kawałkiem kopiowego ołówka. Regan szepnął: „Uważajcie! Maclise pokrzyżował nasze plany. Był u Latoura. Mogą nas zatrzymać”.

Piet nie odpowiedział, ale pot wystąpił na jego świecące od tłuszczu czoło. — Wyjeliśmy broń. Nie bójcie się. Nic się nie może stać. Powrócili do baru i Regan dał znak reszcie swych ludzi,

wskazując ruchem głowy otwarte drzwi. Skończyli pić i wyszli przed próg, gdzie ich oczekiwała Vivian. W milczeniu zaczęli marsz z powrotem ku mołu. Poruszali się z żywością ludzi, którzy pozbyli się ciężaru i Vivian musiała biec, chcąc im dotrzymać kroku. Nikt nic nie mówił. Zdawało się, że nie ma nic do powiedzenia. Czy ostatecznie oszukano ich? Czy stracili możliwość wyładowania broni z powodu jakiejś omyłki? Jednakże fakt pozostał faktem. Maclise był u Latoura.

Dźwignęli drugą partię skrzyń, stawiając je sobie na ramionach. Szorstkie drzewo ocierało im karki. Ruszyli wolno, najpierw Regan z Vivian przy boku, dalej Perouse, na końcu — Mike. Kapeke został przy łodzi. Może będą musieli uciekać w pośpiechu.

Kiedy przechodzili obok białego domu, gdzie w ubiegłym roku został zabity młody Colman, usłyszeli ostre: „*Halte! Qui va là?*” Zatrzymali się natychmiast, złodowaciele pod wpływem tego rozkazu, którego oczekiwali. Regan czuł, jak mu serce wali. Więc ostecznie mieli słuszość!

— *Qui êtes vous?*

— Moje nazwisko Regan.

— *Un Anglais.* Panie Regan, co pan tam ma?

— Partię towaru dla Pieta Maartensa.

Zabłyśło światło elektrycznej latarki. W jej blasku ukazało się dwunastu żołnierzy i fertyczny mały oficer z podkreconymi wąsami i przenikliwymi ptasimi oczami.

— Bardzo dobrze. Pan pozwoli nam pójść też do Pieta Maartensa?

— Protestuję! Dlaczego się nas zatrzymuje?

— Co za głupstwa! — mruknął Perouse, poprawiając skrzynię na ramieniu.

Idąc za Reganem, wszyscy mówili jednocześnie, coraz bardziej kłótlivi i zniecierpliwieni zaczepką patrolu. Ciągłe protestując, pozwolili jednak eskortować się do baru Pieta Maartensa, gdzie pojawienie się zbrojnej straży napędziło strachu klientom. Piet Maartens pośpieszył im naprzeciw, z serwetką na ręce, ugrzeczniony i zakłopotany. Regan i inni postawili skrzynie na podłodze i pocierali sobie obolałe ramiona. Mruczełi coś buntowniczo, rzucając gniewne spojrzenia na żwawego oficerka.

— Te skrzynie muszą być otwarte — orzekła władza.

— Ale dlaczego? Są tam tylko towary dozwolone w handlu.

— Monsieur musi słuchać — rzekł oficer łagodnie. — Inaczej... Zrobił znaczącą pauzę. Wszystkie oczy były zwrócone na

nich. Regan znacznie przewyższał wzrostem Francuza. Przy jego potężnej piersi i barczystych ramionach tamten wyglądał jak człowieczek ze słomy. Klienci zapomnieli o piciu. W dusznym powietrzu, przepojonym oparami alkoholu, mężczyźni tłoczyli się, wyciągając twarze ponad ramiona innych, byle widzieć wszystko, co będzie do zobaczenia. Przeważnie byli to Holendrzy, ale też paru Francuzów i trzech jasnowłosych Anglików, synów Petera Gaunta, plantatora wanilii. Ci trzej przypadkowo znaleźli się tuż obok grupy sprzeczących się i stanęli za Reganem. Tam już pozostali, zachowując drewniany i obojętny wyraz twarzy i napięte mięśnie, aż do chwili, kiedy zaczęła się bijatyka. Jeżeli ten przeklęty mały Francuz zacznie, to rosły

marynarz z kolczykami, podobny do Cygana, znajdzie pomoc u niejednego. Dysputa trwała dalej, stając się coraz gorętsza w miarę tego, jak główni uczestnicy zaczęli wzajemnie wyrażać o sobie opinię. W toku kłótni jeden z Francuzów-klientów, który przyglądał się Vivian, szepnął coś towarzyszowi. Skinęli do siebie głowami. Ich bystre galijskie oczy odkryły przebranie. To było naprawdę odkrycie! Dalszy tok sprawy przestał ich interesować.

— Nie otworzę tych skrzyń, dopóki mi pan nie powie, dlaczego mam to zrobić? — grzmiał Regan. — Co pan podejrzewa? Co pan sądzi, że mam tutaj?

— Tego właśnie pragnę się dowiedzieć — krzyczał mały oficerek. — *Dieu*, daję panu trzy minuty. Albo pan mnie usłucha, albo będę strzelał.

Rzucił jakieś słowo i jego ludzie przygotowali broń. Nastąpiła ogólna ucieczka w popłochu. Z całego tłumu tylko trzech flegmatyczni Anglicy nie poruszyli się. Dwaj Francuzi popchnęli Vivian w bezpieczne miejsce, pomimo jej gorących protestów.

— *Tenez, mademoiselle* — mówili — *c'est mieuici*.

Piet pobiegł po młotek i klucz do wykręcania śrub. Położył je na podłodze obok skrzyni z napisem „Mydło, przybory toaletowe, wybór perfum”, po czym wycofał się za kontuar. Napięcie oczekiwania było już nie do zniesienia. Ludzie byli do najwyższego stopnia podnieceni.

Dwie minuty.

Gra trwała już dość długo. Oczekiwanie doprowadziło żołnierzy do maksymalnego napięcia; przewidywali nagłe i dramatyczne zajścia. Regan ukląkł na podłodze i wziął klucz do wykręcania śrub.

W tej chwili przez otwarte drzwi wszedł sam Latour. Na jego widok umilkł gwar rozmów, który wybuchł w chwili, gdy Regan wziął się do otwierania skrzyni. Wszyscy wstali, a Holendrzy odpowiedzieli na krótkie powitanie Latoura ponurym pozdrowieniem. Dwaj Francuzi skłonili się. Anglicy stali, jak wycięci z drewna.

Latour podszedł bliżej i stanął nad Reganem, przyglądając się, jak wieko każdej skrzyni zostaje odbite, a jej zawartość porozrzucana w nieładzie po wysypanej piaskiem podłodze. Perouse i Mike wywracali każdą skrzynię dnem do góry, wysypując towar, tak że w końcu pokój wyglądał jak targowisko.

Regan podniósł się. Był zgrzany i czerwony. Czarne włosy opadły mu na oczy, więc odrzucił je niecierpliwie. Zwrócił się do Latoura.

— Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego zostałem potraktowany w ten sposób? Nazywam się Regan. Mój statek to „Spendthrift”. Stoi teraz w porcie. Jestem spokojnym kupcem. Maartens zamówił te towary. Dlaczego mnie zatrzymano i...

— Czy to jest pańska załoga? — przerwał Latour, spoglądając na Perouse'a i Mike'a.

— Tak.

— Czy to wszyscy?

— Nie, jest jeszcze jeden człowiek, nazwiskiem Maclise.

— Gdzie on?

— Na statku. Jest chory.

— Rzeczywiście! A są tam jeszcze inni —jacyś pasażerowie?

— Dwie kobiety. Jedna z nich jest tutaj. Vivian! Wyrwała się z przytrzymujących ją rąk Francuzów i stanęła przy nim. Latour patrzył to na nią, to na Regana.

— Pańska żona?

— Jeszcze nie. Właśnie mamy jutro poszukać księdza. Latour znowu spojrzął na Vivian. Był zakłopotany. Omyłka była widoczna.

— Panie Regan — oświadczył — otrzymałem wiadomość, że pan przemycił na wyspę broń. Został pan zatrzymany na mój rozkaz i na mój rozkaz zrewidowano pańskie skrzynie.

— W takim razie podejrzewa pan niewłaściwego człowieka — odrzekł Regan bez wahania. — Nie mamy żadnej broni ani amunicji. Jeżeli pan ma wątpliwości, proszę kazać przeszukać wszystkie skrzynie. Jest tam ich więcej na molo. Mogę je przynieść wszystkie, jeżeli pan chce. Może pan w każdej chwili przybyć na mój statek i zrobić rewizję. Przysięgam, że nie ma tam nic, czego bym nie mógł pokazać całemu światu.

Postąpił krok naprzód. Obaj z Latourem stali wśród tłumu, przysłuchującego się tej rozmowie z zapartym oddechem.

— Jeżeli rozgniewałem pańskich ludzi, przepraszam. Jestem zapalczywy. Ale nigdy przedtem nie bywałem posądzany. Domyślam się, kto nam spletał tego figla. Jeżeli powiem panu, że Maclise i ja nie jesteśmy... przyjaciółmi, może i pan się domyśli.

Latour podchwycił chętnie myśl znalezienia kozła ofiarnego. Czuł się trochę nieswojo.

— Ma pan słuszność. Właśnie ten Maclise powiedział mi

0 tym. Nieprzyjaciele, może... rywale? A, pan jest skrepowany. Więc tak jest? Fałszywy donos. Nie ufałem temu jegomościowi od razu.

— Cieszyłby się, gdybym nie żył — mówił Regan. — Wtedy dostałoby mu się to, co po mnie zostanie.

Nastąpiła pauza.

— Wolałbym, żeby pan się upewnił — powiedział Regan chłodno do Latoura.

— Zechce pan pójść ze mną na molo

1 obejrzeć resztę skrzyń? Może pan pojedzie ze mną na statek i zrewiduje go?

Ale Latour czuł się jak dureń, jeżeli możliwe jest takie samopoczucie u gubernatora. Ten Regan robił wrażenie uczciwego. Zaraz zacznie mówić o rekompensacie, postrachu wszystkich władz. Na płaskich twarzach otaczających go Holendrów ukazały się już dyskretne uśmiešky. Z tylnego pokoju dobiegł stłumiony chichot, który przeszedł nagle w kaszel. Latour czuł, że się czerwieni. Grać rolę głupca wobec tych ludzi!

Zaraz, zaraz! Był jeszcze dalszy ciąg w opowiadaniu Mac-lise'a — plotka, jakoby skład Pieta Maartensa posiadał rozsuwane ściany, w których ukrywano przemywany towar. Zebrawszy swą całą godność, Latour wszedł do tylnego pokoju i po-stukał laską w ścianę. Przywołał swych żołnierzy i kazał im zrewidować pokój. Uroczyście obstukiwali ściany kolbami karabinów i dotykali różnych miejsc, szukając jakichś płyt i ukrytych drzwi, jakie nigdy nie istniały. Wkrótce Latour rozkazał zaprzestać, mówiąc, że ściany nie wyglądają na puste.

Istotnie, nie wyglądały na to. Piet w przewidywaniu takiego śledztwa jak to właśnie, zadbał, aby miały dwie stopy grubości.

To była porażka. Latour przyznawał się do niej. Podszedł do Regana, stojącego sztywno, z obrażoną miną, i zaczął się tłumaczyć i przeproszać go. Otrzymał fałszywą informację. Cieszy się niezmiernie, że to była pomyłka. Co się tyczy owego Maclise'a, to musi sprawdzić, czy przysługuje mu prawo aresztowania tego osobnika na zasadzie umyślnie złożonego fałszywego zeznania. — Należy zrozumieć — mówił z wielką powagą — że wobec tego, iż towar leżący na podłodze nie uległ żadnemu uszkodzeniu, o rekompensacie nie może być mowy. Że... ee... tego... to wszystko.

Z zachowaniem takiej godności, na jaką tylko mógł się zdobyć, Latour wyszedł. Żołnierze pośpieszyli za nim i natychmiast

podniósł się gwar, objijając się o zadymione belki sufitu. Pewien chłód w stosunku do dwóch klientów-Francuzów spowodował ich szybkie ulotnienie się. Milczący Anglicy ożywili się i zamówili więcej napitków. Wśród zamętu i podniecenia Vivian przytuliła się do Regana. Wsunęła dłonie w jego dużą rękę. Spojrzał na jej główkę, z której zdjęła czapkę, pożyczoną od Mike'a. Jej niespokojne oczy pytały o coś, więc Regan pochylił się ku dzie uczynię.

— Co?

— Gdy Maclise się dowie, że wystrychnąłeś go na dudka, to co zrobi?

2

Na „Spindriftcie” panował wielki spokój. Wiatr, który powstał z nastaniem ciemności, kołysał łagodnie statkiem. W kambuzie jakaś patelnia rytmicznie uderzała o ścianę. Słaby metaliczny dźwięk docierał do Maclise'a, siedzącego w ogłupieniu w mesie.

Co teraz pocznie? Jego zamroczony alkoholem umysł nie przychodził mu z pomocą. Coś należy zrobić. Julia nie może zostać znaleziona tutaj, w czasie, gdy on pojedzie na ląd po Vivian. Przypomniawszy sobie, że nie ma *dinghy*. Może Kapeke wróci. Tak, nikt przecież nie zechce zatrzymać Kanaka. Najprawdopodobniej został w łodzi, podczas gdy inni ponieśli skrzynie do baru Pieta. Jeżeli chłopak nie powróci do rana, będzie musiał przywołać łódź z brzegu. Nie miał zamiaru pozostawać długo na wyspie. Musi tylko zebrać załogę i odnaleźć Vivian. Ale — co zrobić z Julią?

Wiatr zwiększał się. Jęczał w olinowaniu i jego zimny powiew wdzierał się przez luk. Maclise przypomniał sobie, że „Spindrift” musi pozostać w porcie w celu naprawy. O, do diabła! To oznaczało tydzień, a może i dziesięć dni. Nie przestał zastanawiać się nad różnymi sposobami wyjścia z niewygodnej sytuacji. Nic nie miało znaczenia wobec klęski Regana i faktu, że on, Maclise, został posiadaczem statku i Vivian. Mógł to zrobić; mógł wszystko przeprowadzić, gdyby nie ten szalony czyn.

Dlaczego ją zabił? Ach, przypomina sobie. Powiedziała... powiedziała...

Przetarł oczy ręką. Co ona powiedziała?

Pamięć mu powróciła. Wstrząśnięty, zerwał się na równe nogi, chwyciwszy się stołu, aby mieć oparcie. Boże w niebie, co za głupstwa roił o sprowadzeniu Vivian i naprawie statku.

Przecież oni wszyscy wkrótce powrócą! Tak, powrócą! Teraz wiedział, co powiedziała Julia. Posłała Mike'a, żeby go śledził. Wszyscy wiedzieli o nim i Latourze! Regan wiedział! I Regan powróci! Strach wypełził z pogrążonych w mroku schodów i położył na nim swą zimną dłoń. Z wzrastającym wiatrem rosła w nim obawa, aż zbladł i poczuł jakieś zamroczenie — śmiertelny strach przed żywymi i umarłymi. Chciał uciec z tego okropnego miejsca, w którym rozrzucone po podłodze leżały jedwabie Julii, a igła tkwiła w robótce, tam, gdzie ją ostatnio wetknęła. Na białym płótnie robótki zakrzepło pasemko krwi. Musi uciekać! Zaraz! W tej chwili! Jeżeli zostanie, poczuje jej włosy ocierające się o jego policzek, jej pieszczotliwe ramię wokół swojej szyi... Nie mógł się poruszyć. Minuty mijały, a on ciągle stał w tym samym miejscu, z wyschniętym gardłem i spieczonymi wargami. Doznawał uczucia, że ktoś stoi tuż obok niego, ale nie ośmielał się odwrócić, ze strachu przed tym, co mógłby ujrzeć. Z pewnością czuł na szyi lekki kobiecy oddech. Było mu bardzo zimno. Spojrzał w dół i zobaczył, że ręce mu się trzęsą. Mózg pracował szybko. Przegrał tę grę. Co pocznie, gdy Regan wróci? Co zrobić z Julią? Musi ją zanieść do własnej koi i czekać na sposobność... Kilkanaście minut stał nad nią, wzdragając się ją dotknąć. Dwukrotnie nachylał się i znowu wyprostowywał. Nie odczuwał ani wyrzutów sumienia, ani żalu, jedynie zimny strach. Gdzie była teraz? Gdzie mogła być, jak nie w pobliżu niego, ale niewidzialna i niedosiężna? Wydawało się nie do pomyślenia, żeby duch jej mógł umrzeć razem z tym pięknym ciałem. Odwrócił się szybkim ruchem, uśmiechając się szyderczo z powodu własnej głupoty. Nie było nikogo. Zacisnął zęby i wziął się do przeniesienia ciała Julii. Śmiertelny chłód jej obnażonego ramienia sprawił, że Maclise omal nie zemdlał. Ale wytrwał do końca. Z wysiłkiem, który wywołał dudnienie krwi w uszach, uniósł ciało i potykając się, doszedł do własnej koi. Było po wszystkim. Wrócił do mesy, nalał sobie znowu i pił chciwie. Puls był teraz równiejszy, umysł jaśniejszy. Zaczął robić w mesie porządek, usuwając nieład, tuszując i ukrywając ślady zbrodni. Nikt nie powinien się dowiedzieć. Nikt nie powinien się domyślić. Niedługo powrócą. Regan powróci, Regan, którego posłał na śmierć. Maclise wszedł do kambuza i zanurzył głowę w kuble z wodą. Gwałtownie tarł sobie twarz

ręcznikiem, żeby wywołać na niej rumieniec. Zaczesał włosy mokrym grzebieniem. Nie wiadomo dlaczego nie chciał spojrzeć w kwadratowy kawałek lustra, który Vivian powiesiła na ścianie. Uzupełnił swą toaletę i pośpieszył z powrotem do mesy. Musi im wszystkim spojrzeć w twarz. Tak, spojrzeć im w twarz i stawić im czoło. Dotknąwszy rewolweru, wyprostował ramiona i wyjął z szuflady talię zatłuszczonych kart.

Ach!

Wrócili. Słyszał wołanie Kapeke, poczuł, jak statek zakołysał się, gdy *dinghy* dotknęła jego burty. Ktoś uchwycił luźno zwisającą linę, a w następnej chwili dały się słyszeć na pokładzie ciężkie stąpania. Maclise wstał, oparł się plecami o ścianę, macając nerwowo palcami broń. Spojrzenie skierowane miał na schody.

— Ręce do góry!

Zapomniał o otworze schodów. Spojrzawszy w górę mógł rozróżnić mglisty kształt. Głupiec, głupiec, że nie zatrzasnął klapy...

— Ręce do góry, podły wężu!

Podniósł wolno ręce, skupiając całą wolę na znalezieniu jakiejś możliwości ucieczki. Za późno. Zamierzał zabić Regana, gdy tylko ten wejdzie. A tymczasem ta przekłeta klapa...

Regan był już na dole. Dosięgnął rękami Maclise'a i wyrwawszy mu z ręki broń, rzucił ją Mike'owi.

— Możesz opuścić ręce! Daję ci pięć minut na powiedzenie tego, co masz na swoją obronę.

Teraz, kiedy napięcie minęło, Maclise znów odzyskał zimną krew. Znalazłszy się bezpośrednio wobec niebezpieczeństwa, potrafił się opanować i ukryć swe obawy pod maską zuchwalstwa, odpowiadając pogardą i kłamstwem na oskarżenia. Wytrzymał wzrok Regana, po czym odwrócił się w stronę Vivian, wyglądającej ślicznie i chłopięco w swej kurtce i bryczesach. Była zarumieniona i na jej widok serce Maclise'a znów zabiło żywiej.

— Co masz do powiedzenia? — zaatakował go Regan. — Odważyłeś się na brudny kawał. Nie dzięki tobie jesteśmy tu żywi i bezpieczni. Zdradziłeś nas!

— Nie.

— Kłamstwo! Mike widział cię wchodzącego do domu gubernatora. Sam Latour powiedział nam o tym. Masz czelność zaprzeczyć?

— Nie może tego zrobić — odezwał się Mike, dołączając swój chłopięcy głos do szorstkiego głosu Regana. — Ale mamy do zawdzięczenia Julii to, że poszedłem za nim.

— Tak. Powiedziała mi o tym — potwierdził Regan. — Więc, Maclise, masz coś do powiedzenia?

— Nie. Strzelaj.

— Ty głupcze, nie myślisz chyba, że będę strzelał do człowieka nie posiadającego broni. Zwiążę cię i będę trzymał w luku, dopóki nie opuścimy Rapuhi.

— A później?

— Wyrzucę cię za burtę. Możesz dopłynąć do lądu.

Regan podszedł bliżej. Chwycił Maclise'a za ramiona i odwrócił ku światłu.

— Co masz na koszuli?

Maclise spojrział na poplamioną koszulę. Boże, zapomniał o tych plamach!

— To jest krew! — powiedział Regan ostro. — Skąd się wzięła? Patrzcie tu... i tutaj.

— Jakoś się zaciąłem. To głupstwo. Zdejmij ze mnie swe parszywe łapy!

— Skąd się wzięła tutaj?

— Nie wiem, powtarzam przecież.

Vivian otworzyła usta, aby zaczerpnąć powietrza. Wystąpiła naprzód i nawet w tej chwili Maclise poczuł jak gdyby ukłucie sztyletem, na widok piękna, które już nigdy nie będzie należało do niego. Miał nieprzepartą ochotę pobiec do niej, ukryć głowę w jej chłodnych dłoniach i prosić, by go wysłuchała, zrozumiała, przebaczyła.

— Gdzie jest Julia? — spytała Vivian z rosnącą zgrozą. Mike momentalnie zaczął działać. Razem z Vivian wołał Julię,

a ich zaniepokojonym głosom odpowiadało echo głosu Perouse'a na pokładzie. Nie było odpowiedzi. W naprężonej ciszy, pełnej napięcia, nie słyszało się innego dźwięku prócz gwizdu wiatru w olinowaniu.

— Julio!

Maclise przełknął ślinę. Nie mógł znieść tego dłużej. Skoro tak ją wołają, to może... może... Julia wróci.

— Przestańcie — rzekł. — Nie wołajcie! Jej tu nie ma.

— Co to znaczy: jej tu nie ma?

— Pojechała na ląd — mruknął Maclise. — Tak, zawołałem katamaran i Julia pojechała na ląd. Nie wołajcie.

— Po co miałyby jechać na łód? Na pewno jest gdzieś tutaj.

Vivian spytała:

— Co pan jej zrobił?

Teraz stała tuż przy nim. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby jej dotknąć. Mike gwałtownie otwierał i zamykał drzwi. Perouse zszedł na dół i stał u stóp schodów z bronią w ręku. Regan chwycił Maclise'a za ramiona.

— Gdzie jest Julia?

— Nie wiem? Nie wiem!

— Przestań kłamać! — krzyczał Regan i uderzył go grzbietem dłoni w usta. Pośpieszne, gorączkowe poszukiwania trwały. Maclise nie zwracał uwagi na ból. Kiedy ją znajdą? Co uczynią? Jego zrozpaczone, rozbiegane oczy kierowały się we wszystkie strony, szukając pomocy. Skok na schody? Cios w brzuch zadany Reganowi?

— Julio!... Julio!... Julio!...

Głos Vivian łączył się z głosem Mike'a. Szukali razem, zaniepokojeni, zatrwożeni. Obojgu ta śmiertelna cisza podsunęła tę samą myśl. Żadne nie odważyło się jej wypowiedzieć.

— Julio! Ju...

Skrzypnęły odsuwane drzwi. Maclise wiedział, że teraz ją znaleźli. Dał się słyszeć przeciągły szloch i Perouse powiedział:

— Boże, co to jest?

Ktoś, zataczając się, wszedł do mesy. To była Vivian.

— Idźcie do niego — szepnęła, ledwie mogąc wydobyć głos. — Idźcie do niego! Oo, idźcie — prędzej!

Perouse przemknął obok niej. Usłyszeli jego okrzyki, gdy zobaczył to, co już widziała Vivian.

Regan nie zmienił swej pozycji. Wcisnął palce głębiej w ramię Maclise'a.

— Co jest? — zwrócił się do Vivian.

— Ona nie żyje — odrzekła Vivian bezdźwięcznie. — Leży na koi Maclise'a, martwa.

Zakryła twarz rękami.

— Mike ją widział — mówiła stłumionym głosem. — Mike ją kochał. A ona nie żyje. Och, czy nie możesz go stamtąd zabrać? Jest bliski obłędu.

— Zabiłeś ją! — wrzasnął Regan. — Zabiłeś ją, Maclise!...

Maclise stracił panowanie nad sobą.

— Tak! — krzyknął. — Zrobiłem to. Nienawidziła mnie. Pragnęła mojej śmierci. Nasłała na mnie Mike'a. Wszystko z powodu Vivian... Wiedziała. I nienawidziła mnie za to. Na wyspie... to był Mike... i ona go posłała. Wszyscy byliście przeciwko mnie. Wszyscy sprzysięgliście się przeciw mnie. Zabiłeś Shottery'ego. Tak, doniosłem Latourowi i prosiłem Boga, żebyście wpadli. Wszyscy! Nigdy nie miałem szczęścia. Nawet Julia... a przecież kochała mnie kiedyś. Nie chciałem jej zabić. Chciałem się tylko zemścić. Poniosło mnie. Zatrzymał się, dysząc ciężko. Koszula rozchyliła mu się i widać było, jak pierś jego wznosiła się, jak gdyby miała pęknąć. Wokół ust pokazały się drobne krople potu.

— Jazda! — drwił z Regana. — Nie jestem uzbrojony.

W odpowiedzi Regan wyjął nóż i cisnął go w maszt, który wznosił się od podłogi w górę, poprzez pokład. Nóż utknął w drzewie.

— Możemy rozegrać tę grę uczciwie — wyzwiał go Regan. — Jeden z nas dosięgnie pierwszy tego noża.

Raz już ich wzajemna nienawiść wybuchła we wściekłej bójce. Ale tym razem arbitrem była śmierć. Wiedzieli o tym, kiedy zaczęli swe powolne krążenie. Vivian przykucnęła na schodach, utkwivszy wzrok w Reganie. Poruszali się jak dwa wilki, każdy starał się uprzedzić drugiego. Maclise udanym ciosem dosięgnął Regana. Ten odparował cios i odpowiedział uderzeniem, od którego przeciwnik się zachwiał. Regan nie nacierał do chwili, kiedy Maclise posunął się za daleko; wtedy zadał mu cios w szczękę. Zapalali się coraz bardziej i Maclise walił w potężną pierś Regana tak długo, dopóki skóra nie pękła. Poczuvszy krew, Regan zaczął tłuc, z początku na ślepo, potem przebiegle, dosięgając Maclise'a ciężkimi jak młot uderzeniami po ramionach. Maclise walczył o życie. Wyrzwał Regana w brodę tak, że ten zachwiał się, a Vivian krzyknęła ze strachu. Odzyskał jednak równowagę, porwał Maclise'a w ramiona, starając się go przewrócić. Piersią w pierś kołysali się, każdy czuł na twarzy gorący oddech przeciwnika, przy czym jasne włosy mieszały się z ciemnymi.

Przysunęli się do stołu, który był wbudowany w podstawę masztu. Przed nimi błyszczał nóż, który Regan wbił w maszt. Zbliżali się coraz bardziej i bardziej. Maclise spróbował starego

kawału z podstawianiem kolan, ale nie udało mu się przewrócić Regana. Zaczął słabnąć. Jednakże, im się czuł słabszy, tym rozpaczliwiej walczył. Nóż! Maclise strząsnął krew zalewającą mu oczy i parł w stronę masztu, zmuszając Regana do cofnięcia się. Regan dostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo i zadał Maclise'owi cios pięścią, od którego ten zatoczył się. Ale znów się zerwał na nogi, wpił się paznokciami w drewno stołu, odskakując w celu uniknięcia tych niebezpiecznych rąk, sięgających mu teraz do gardła. Przykucnął i spróbował pchnięcia. Regan krzyknął i zwinął się z bólu. Maclise w mgnieniu oka skoczył i wyrwał nóż z masztu.

— Teraz cię mam! — warknął ochryplym głosem. — Teraz cię mam, Regan! Tryumf bił z jego oczu. Regan cofnął się. Znów krążyli, coraz wolniej, coraz słabiej, w koszulach podartych na strzępy, ociekający krwią. Zwarli się znowu. Maclise jak szalony sieknął Regana po twarzy. Wtem poczuł, że przegub jego prawej ręki został mocno ujęty i wykręcony. Ryknął z bólu, ale nie puszczał noża, dopóki żelazny chwyt nie zmusił go do tego.

Kiedy ostrze dotknęło podłogi, obaj schylili się, szarpiąc się wzajemnie, usiłując zawładnąć nim za wszelką cenę. Palce Maclise'a zacisnęły się na rękojeści. Ale jego tryumf trwał krótko. Kiedy wili się i walczyli, Regan wykonał zwinny ruch i przygniótł Maclise'a do podłogi. Nacierał całym ciężarem, przytłaczając Maclise'a. Rozciągnął się na nim i schwycił rękę trzymającą nóż. Maclise na wpół uduszony, z przygniecionymi żebrami, z sercem walącym jak młot usiłował zadać cios. Ale daremnie. Palce Regana zacisnęły się na jego przegubie. Na próżno starał się walczyć, jego kości kruszyły się pod naciskiem ciężaru Regana. Nie mógł już nawet krzyczeć. Był skończony. Całe ciało miał zmaltretowane. W uszach miał szum, jak gdyby szum morza w wietrzny dzień. Nóż błysnął w podniesionej ręce Regana. Maclise zadrżał, gdy ostrze wbiło mu się w ciało. Potem leżał bardzo cicho, wpatrując się w ciemne oczy, które spoglądały nań z góry. Teraz była dlań na całym świecie tylko jedna twarz — twarz, która zasłaniała niebo i przeklętą ziemię — ostatnia twarz, jaką widział — twarz Regana.

I Julia, która powiedziała, że będzie leżała spokojnie tej nocy, gdy Maclise umrze — Julia istotnie spoczywała spokojnie.

XX

1

Vivian leżała na swej koi i obserwowała, jak światło wślizgiwało się do kątów małej kajuty, zajmowanej kiedyś przez jej ojca. Jacy dziwni byli mężczyźni, że przynosili życie pełne niebezpieczeństw ponad życie w spokoju.

Przypomniała sobie żywotność Dżentelmena Charlesa, jego niecierpliwy niepokój, odwagę, przedsiębiorczość. Kochał życie. Dlaczego ryzykował je w tej przygodzie, która skończyła się tak źle dla niego, dla Maclise'a, dla Julii? Nie mogła znieść myśli o Julii. To cudowne ciało nie obroniło jej przed gniewem człowieka, który ją niegdyś tak kochał. Miłość... Czy Maclise kochał kiedykolwiek w życiu? Czy nie był to raczej brutalny samiec, którego żądza ubarwiała wszystkie jego stosunki z kobietami, z nią również.

Vivian usiadła i zaczęła wodzić ręką po falistych włosach. Przez otwarty iluminator mogła obserwować wschód słońca. W pobliżu pływał rekin. Jego błyszczący tułów migotał w słabych jeszcze promieniach muskających wodę. Z wyspy dochodziło oddalone gruchanie sennych gołębi. W spokojnym powietrzu dźwięk ten rozbrzmiewał ostro i jasno.

Vivian zaczęła się ubierać. W jednym kącie stało umocowane wiadro. Vivian tak już przywykła do życia okrętowego, że umyła się w nim nie myśląc — jak to bywało z początku —

o wykładanej kafelkami łazience w New Yorku. To były wspomnienia z innego życia. Trudno było uwierzyć, że teraz była tą samą młodą dziewczyną, która kiedyś oczekiwała oświadczyn Rodneya Beringera. Biedny Rodney! Co teraz robił? Ubrała się pośpiesznie i wyszła na pokład, z twarzą rozgrzaną jeszcze snem pomimo obmycia jej w zimnej wodzie.

Wspaniała jutrzienka nad Pacyfikiem zalewała niebo. Przez chwilę Vivian z zapartym oddechem śledziła ten cud, powtarzający się od wieków. Rapuhi leżała wśród podnoszących się mgieł, jak wyspa z sennego marzenia. Wiatr ustał przed świtem

i morze wyglądało jak lustro, w którym odbijały się wszystkie stojące w porcie statki. Na wybrzeżu palmy pochylały się nad uśpionym lasem. Rozległ się wystrzał armatni, sygnał dla wyspy, że w porcie zaczął się dzień.

Ktoś siedział skurczony na dziobie statku. Vivian widziała, że

to skurczone ciało należało do Mike'a. Co powinno się z nim zrobić? Jak ona lub ktokolwiek mógł go pocieszyć? Nieśmiało, cichutko zaczęła się ku niemu skradać po pokładzie. Może się na nią rozgniewać. Ale, bez względu na to, nie można zostawić go w tym stanie. Stała za nim i widziała, jak podciągnął kolana aż do brody i wpatrywał się w rozjaśnione niebo.

— Mike — przemówiła miękko. Nie odwrócił głowy.

— Mike — powtórzyła. Należało go wyrwać z tego stanu odrętwienia, który nastąpił po dzikim wybuchu wczorajszego wieczoru.

— Co? — spytał. — Jestem pani potrzebny? Usiadła przy nim tak, że ich ramiona stykały się. Położyła

swą przyjazną dłoń na jego ręce. Przez pewien czas nic nie mówili.

— W nocy... — zaczęła Vivian i zamilkła.

— Tak — potwierdził ciągle tym samym, tępym, bezbarwnym głosem. — Tak, wyszliśmy w morze. Myślałem, że pani nie śpi. Domyśliła się pani, naturalnie. Regan nie chciał pani niepokoić. Zajęło to nam dwie godziny. Tak, już ich nie ma.

Więc stało się tak, jak przypuszczała? Vivian wiedziała, że nikt nie będzie z nią mówił o tej potajemnej wyprawie. Musi sobie sama wyobrazić śpieszące się ręce, pracujące przy obszy-waniu obciążonego worka z płótna żaglowego. Nikt nie powie jej o modlitwach, które Perouse wymamrotał nad tym, co razem z Kapeke spuścili w głębinę. Ani Regan, ani Mike nigdy nie będą mówili o tym strasliwym pluśnięciu, które nastąpiło po słowie Perouse'a: „Opuścić!”

— Nie mogę pana pocieszać. Powinnam mówić o rezygnacji i tym podobnych rzeczach. Ale nie powiem tego. Chciałabym tylko, ażeby pan wiedział, że strasznie mi żal...

Skinął głową.

— To... ładnie z pani strony. Może kiedyś później będziemy mogli o tym mówić. Ale... nie mogę teraz.

Mike podniósł się i patrzył na Vivian z góry. Jego usta przybrały nowy wyraz, w oczach pojawiło się surowe spojrzenie. Patrzyła, jak odchodził, i łzy nabiegły jej do oczu. To był prawdziwy dramat. Oto był ten, który zapłacił najdrożej za swój udział w tym kotle miłości i nienawiści. Z tych trojga, kto stracił najwięcej? Nie Maclise, który wziął od życia wszystko,

zanim się z nim rozstał. Nie Julia, która zaznała spełnienia swych serdecznych pragnień.

Vivian wstała, żeby pójść za Mike'em, lecz zatrzymała się. Nie było sensu. Nikt nie był w stanie teraz go pocieszyć. Wolno zeszła na dół, żeby przynaglic Kapeke do podawania śniadania. Trzeba przecież jeść. Dzień powszedni, codzienne życie ma swoje wymagania. Vivian otarła łzy i zaczęła łąjać Kanaka, dając w ten sposób upust swemu wzruszeniu.

— Jeżeli kawa jest tak samo zimna jak ostatnio — powiedziała do Kapeke, ująwszy się pod boki, z gniewnym ogniem w oczach — to Regan cię tak samo zbije. Ty wielki leniuch, ty Kanaka chłopiec. Ty niedobry kucharz. Musi znaleźć innego, dobrego chłopca zrobić kucharzem.

I tak dalej, tak długo, dopóki Kanak nie pobiegł do kambuza i nie zaczął wyczyniać straszliwego hałasu patelniami i rondlami, żeby wykazać swe najlepsze chęci. Vivian podeszła do stołu, gdzie znalazła brudną szklanę, i nieszczęsny chłopiec musiał wysłuchać nowej serii gróźb i łąjań. Podczas tej awantury Vivian usłyszała ciężkie kroki i podniósłszy oczy, zobaczyła Perouse'a stojącego w drzwiach.

— Należy mu się — zaśmiał się. — Cieszę się, że pani nabrała słusznego pojęcia o nich. Większość kobiet, które tu przybywają, traktuje ich łagodnie. Pewna dama, która wyszła za mąż za Boba Stowe w Degas, tak postępowała, bo jej powiedziano, że Kanakowie to chrześcijanie. Chrześcijanie! Raczej zbóje. Ale ona mówiła do nich „proszę”, „przepraszam”, „czy mogę was trudzić” i tak dalej. Naturalnie, że była idiotką. Po prostu układali się w cieniu i spali. A ona chodziła z załamanymi rękami i zachodziła w głowę, jak, u diabła, zdąży sprzątnąć dom i przygotować posiłek. — Zakasłał. — Właśnie ładowaliśmy i przechodziłem obok bungalowu i słyszałem, jak im schlebiała „Chodźcie teraz — mówi. — Dobrzy z was chłopcy. Proszę bardzo, zróbcie to a to”. Wtem spostrzegła mnie. — „Panie... panie... — mówi. — Czy może im pan wytłumaczyć moje żądanie? Chciałabym, ażeby przynieśli wody i zaczęli szorowanie”. Wszystko takim wykwintnym głosikiem. No, powiadam wam, nigdy nie widzieliście chłopców uwijających się prędzej niż tamci, kiedy krzyknąłem na nich. Dama była naprawdę zadowolona. — „Oto jak pani musi przemawiać do nich, madame — mówię. — Och nie, nie mogłabym, nigdy przedtem nie słyszałam tych słów. Czy to

jest tutejszy dialekt?" Dialekt! Ale zachowałem poważną minę, usiadłem i zacząłem ją uczyć tego, co powiedziałem, i jeszcze trochę więcej, tak długo, póki nie powtórzyła bez błędu. — „I powinna pani krzyżeć na nich” — mówię uroczyście. „To właśnie wymaga krzyku. Rozumie pani?” Weszli do mesy, a Perouse jeszcze chichotał.

— Następnym razem, kiedy znaleźliśmy się w Degas, zapytałem o nią. Było to w barze i — mój Boże, czego mi tam nie naopowiadali! Wychwalali ją pod niebiosa i mówili, że tak przytarła rogów swoim chłopcom, iż jedzą jej z ręki. Stary Danny Maker powiada do mnie: — „Mówią, że to córka pastora, która zawsze mieszkała na wsi. Więc chodź ze mną na dół, Perouse, i posłuchaj tylko tego wymyślania; takiego nie słyszałeś, póki żyjesz. Nie dziwię się, że kiedy krzyknie na Kanaków, pędzą jak szaleni”. Myślicie, że się zdradziłem? O nie!

Regan oczekiwał ich. W milczeniu zasiedli do stołu i czekali, aż Kapeke wejdzie z kawą. Perouse rozejrzał się.

— Gdzie Mike?

— Na pokładzie. Kapeke, powiedz Mike'owi, że jedzenie na stole.

Kapeke zniknął. Po trzech minutach wrócił sam.

— On mówić, nie przyjdzie — wyjaśnił. Regan postawił swą filiżankę.

— Głupi młokos! Przyprawdzą go! Vivian wyciągnęła rękę, chcąc go powstrzymać.

— O, proszę, zostaw go w spokoju.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Nie rozumiesz? Przecież odchodzi prawie od zmysłów.

— Ze zmartwienia, sądzę?

— Nie bądź szorstki. Chłopak cierpi. Jest młody i nie umie nie okazywać swego bólu.

— Nigdy już nie będzie młody. Zabili w nim młodość.

— Więc zostawisz go, prawda?

— Nie. Musi się nauczyć panowania nad sobą.

— Jesteś okrutny — rozzłościła się. — Co ci to szkodzi, że tam zostanie, gdzie jest?

— Nie będę się z tobą kłócił — odpowiedział Regan. — Będzie tak, jak powiedziałem. Powiedziałem, że ma zejść na dół, zjeść swą porcję. I tak zrobi.

Poszedł na górę.

— Niech mu się pani nie sprzeciwia — odezwał się Perouse, który przysłuchiwał się tej rozmowie. — Niech mu się pani nie sprzeciwia, Vivian. On tego nie znosi. Wybrała pani porządnego człowieka, ale takiego, który całe życie będzie szedł własną drogą. Co do Mike'a — ma słuszość. Niedobrze dla chłopca pozostawiać go jego bólowi.

Dały się słyszeć podniesione głosy. Potem pośpieszne kroki. Mike zjechał ze schodów na plecach i toczył się jeszcze po podłodze, zanim nie zatrzymał się o nogi Perouse'a.

— Hej, ty, trzymaj się! — wymamrotał Perouse, który akurat był w trakcie picia. — Jak Boga kocham, nie jesteś niezręczny, mój chłopcze. Tylko tak sobie żartujesz. Spójrz na moje białe spodnie.

Z żalem spoglądał na splamione ubranie.

— Były czyste — zaczął naprawiać szkodę, wycierając plamę czerwoną chustką.

Regan zbiegł szybko po schodach i chwycił Mike'a za kark, stawiając na nogi.

— Posłano po ciebie. Kanak był wysłany z poleceniem, żebyś zszedł na dół.

Dlaczego nie przyszedłeś?

— Chciałem być sam — odrzekł Mike, blady i drżący. — Pozwólcie mi odejść. Nie chcę śniadania.

— A ja mówię, do diabła, że będziesz jadł.

— Nie chcę! Nie mogę jeść!

— Zrobisz to, co ci każę — krzyknął Regan. — Myślisz, że ci pozwolę jęczeć jak zakochanej dziewczynie? Doznałeś wstrząsu. Wiemy to wszyscy.

Otrzymałeś potężny cios. To prawda. Ale jeżeli myślisz, że usiądziemy i będziemy cię trzymać za rączki, mylisz się. Zjesz śniadanie albo wezmę na ciebie sznur.

Popchnął chłopca na krzesło.

— Kapeke, przynieś *toafe*. Perouse, ukrój mu kawałek pieczeni. Szczeniak! Pamiętaj, że jestem kapitanem na tym statku.

Wygrał. Ponuro, z opuszczonym wzrokiem, chłopiec łykał jedzenie. Twarz zaczęła nabierać żywszej barwy i traciła wyraz skrajnego zmęczenia i wyczerpania. Mike machinalnie podsuwał Perouse'owi talerz, a ten nakładał coraz więcej pieczeni, nie mówiąc ani słowa. Inni zaczęli mówić o rzeczach obojętnych — o połowie pereł przy brzegach Taukura, o szansach powstania w Rapuhi, o możliwości pozostania tam przez osiem lub

dziewięć dni, aż „Spindrift” zostanie wyremontowany. Nagle Perouse zapytał:

— A kiedy zawieziemy te skrzynie na ląd? Dziś rano?

— Tak. Teraz. Zrobimy tylko jeden kurs *dinghy*.

— Czy jeden wystarczy?

— Tak. Osiem małych skrzynek i trzy inne.

— Jakie inne?

— Są jeszcze trzy stare z ładowni. Może znajdziemy coś, co można by w nie włożyć.

Perouse zachichotał, uderzył się po udach.

— Słusznie, kapitanie. To dopiero stary Piet wybałuszy gały. Chodź, Mike. Kapeke!

Wszyscy trzej wyszli, a Regan odezwał się do Vivian:

— Jedziemy na brzeg. Będziesz musiała pozostać sama przez godzinę lub dwie. Nie gniewasz się o to? Nie mamy zbyt wielu ludzi, żeby ktoś mógł zostać z tobą.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Ani trochę.

Sięgnął przez stół do jej ręki i trzymał ją mocno. Oczy jego miały teraz wyraz pokory.

— Omal nie pokłóciliśmy się o Mike'a, Vivian. Ale musiałem tak postąpić. Widzisz, ja go znam. Gdybym przemawiał do niego łagodniej, dostałby ataku hysterii, może nawet skoczyłby do wody. Widzisz, ja go znam doskonale. Mike jest przeczulony. Prawda, że dostał porządny cios. Widzisz, Vivian, nie powinnaś się wtrącać do tego, co mówię, jeżeli chodzi o Mike'a lub kogokolwiek z załogi.

Policzki Vivian były rozpalone.

— Przykro mi. Mam nadzieję, Regan, że będziemy się zgadzali, kiedy zostaniemy małżeństwem. Zawsze byłam samowolna i robiłam, co mi się podobało. Dlatego jest mi tak trudno... komuś się podporządkować.

— To nawet nie będzie potrzebne — zapewnił ją poważnie.

— Tak — odrzekła natychmiast. — Myślisz, że wyszłabym za ciebie, gdybym nie wiedziała, że będziesz mną rządził? Zdradzam kobiety, ale powiem ci coś. Lubimy, żeby nami komenderować. Tak. Zdaje mi się, iż pożałuję pewnego dnia, że ci to powiedziałam. Ale to prawda. Pogardzamy mężczyzną, którym możemy kierować! Jest to resztką pierwotności, jaka w nas jeszcze żyje. Coś, co pozostało z tych czasów, kiedy mąż walił po głowie maczugą dokuczliwą babę.

Regan się oburzył.

— Myślisz, że ośmieliłbym się kiedykolwiek...

— Prawie zrobiłeś to kiedyś — przypomniała mu. — Tego wieczoru, kiedy zaniósłeś mnie do kabiny i rzuciłeś na ziemię. Potrząsałeś mną także. Miałam siniaki przez wiele dni.

Regan obszedł stół i objął ją. Teraz jego dotknięcie było delikatne. Była to niezdarna delikatność człowieka, który obawia się, że przez nieodpowiednie obchodzenie się stłucze jakiś cenny przedmiot. Nieśmiałość i strach, które go więziły od chwili, gdy poznał miłość, trwały w dalszym ciągu. Nie było mowy o łatwych pieszczotach, przypadkowych uściskach, które z miłości robią zabawę.

Vivian uniosła głowę.

— Czy wiesz, że mnie jeszcze nie pocałowałeś?

— Myślisz, że nie chciałem? — odrzekł. — Ale gdybym cię pocałował, nie skończyłoby się na tym. Nie mógłbym się już powstrzymać. Pragnę cię tak bardzo! Jeżeli dotknę twych ust... rozumiesz mnie, Vivian?

Rozumiała. Wysunęła się łagodnie z jego objęć.

— Tak.

— Jesteś tu sama. Teraz, gdy Julia odeszła, nie ma już żadnej kobiety, która by się tobą opiekowała. Gdy dostanę się na ląd, poszukam księdza.

Spojrzał na nią. Obleciał go nagły strach, że może odmówi, cofnie się, będzie się wymawiała. Uśmiechnęła się do niego.

— Tak, poszukaj. Perouse woła.

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się. Należało załatwić interes. Czekala go męska praca, kobieta musiała czekać. Postanowił dostarczyć broń Maartensowi bez względu na ryzyko. Zobowiązanie było przyjęte. Musi dotrzymać swej umowy. Kapeke i Mike już ładowali skrzynie na *dinghy*. Jedna po drugiej, skrzynie zostały spuszczone do łodzi. Na końcu wsiedli mężczyźni i wzięli się do wiosł. Vivian obserwowała ich z pokładu, po czym zeszła na dół sprzątnąć ze stołu. Kiedy znów wyszła na pokład z mokrym obrusem w ręce, *dinghy* kołysała się przy molo, a stos skrzyń widniał wśród palm.

Regan zawołał kilku Kanaków próżnujących na brzegu i ofiarował im pałeczki tytoniu za odniesienie ładunku do Pieta Maartensa. Zgodzili się, uśmiechając się na widok obiecanej nagrody, jak dzieci. Pełni najlepszych chęci, załadowali sobie

skrzynie na brązowe, błyszczące plecy. Ludzie na wybrzeżu nie są wrogo usposobieni do swych białych zwycięzców; przeciwnie niż szczepy żyjące w głębi kraju.

Słońce znajdowało się już wysoko. Było bardzo gorąco i pot spływał po twarzy Mike'a, idącego za Perouse'em. Skrzynia wrzynała się w ramię, ale przyjmował ten ból z zadowoleniem, jak wszystko, co mogło odwrócić uwagę od bólu, jaki czuł w sercu. Regan włożył się obok niego i Mike rzucił mu szybkie spojrzenie, które tamten pochwycił i zrozumiał. Mówiło ono tak jasno, jak słowa: „Miałeś słuszość. Muszę to znieść”. Regan skinął głową w odpowiedzi na tę nie wypowiedzianą uwagę i zaczął rozmowę o zwykłych, codziennych sprawach, oraz

o możliwości znalezienia w Rapuhi księdza. Szli tak coraz dalej, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby poprawić ciężar. Kilku żołnierzy szło drogą z fertycznym oficerkiem na czele. Regan kazał zatrzymać się swym tragarzom. Postawili na ziemi ciężary, zaś Regan skłonił się czerwonicemu oficerowi.

— Czy monsieur życzy sobie otworzyć nasze skrzynie? —

1 roześmiał się, gdy oddziałek wojska minął go, nie spojrzawszy nań.

— Dwa razy nie będzie robił z siebie głupca — zakpił Perouse i znów wzięli na ramiona swe brzemie.

Tak doszli do Pieta Maartensa, który wyszedł, zdziwiony, powitać ich. Jego chytre małe oczka przesunęły się po skrzyniach i zatrzymały na trzech starych pakach, bardzo dużych, bardzo ciężkich, z których każdą niosło czterech Kanaków.

— Ach! — wlepił wzrok w graty, które wydawały się źle zabite gwoździami i związane kawałkami starych sznurków.

Wzrok Regana spotkał się z jego wzrokiem.

— Przynieśliśmy to, czego nie mogliśmy przynieść wczoraj wieczorem — wyjaśnił. — W tych ciężkich skrzyniach są... maszyny do szycia. Maszyny do szycia... tak.

— Tak — potwierdził Piet entuzjastycznie. — Maszyny do szycia.

Rozumiem. A... bawełna do maszyn, czy jest także?

— Tak. I to jest ostatnia partia, jaką przyniosą — dodał Regan znacząco. Piet uniósł brwi.

— Tak? Może to ostatnia, jaka będzie nam potrzebna. Poprowadził ich do składu.

Za zamkniętymi drzwiami rozpakowano trzy wielkie skrzy-

nie. Piet uśmiechał się, przyciskając ukrytą sprężynę i umieszczając zawartość pak w miejscu, którego Latour nie mógł znaleźć.

2

Angielski pastor na Rapuhi był wysuszonym człowiekiem o twarzy łagodnej łasicy. Od piętnastu lat mieszkał na wyspie, pocąc się nad utrzymaniem w porządku swego blaszanego kościółka i dusz oddanych sobie pod opiekę. Grał świetnie w pokera, mówił ze znanstwem o whisky i znany był na wyspach pod przydomkiem „Króliczek”.

Udzielił ślubu Reganowi i Vivian w sposób odpowiednio uroczysty, cedząc słowa, które brzmiały tak dziwnie w kraju łatwych związków miłosnych. Vivian wydostała z jednego ze swych kufrów białą suknię. Wyglądała jak róża, myślał Regan, onieśmielony nieoczekiwanym bogactwem koronek i ozdób. On sam stał wcześniej nad Kapeke, podczas gdy ten krochmalił mu koszulę, krochmalem kupionym specjalnie w tym celu. Później trzeba było zbiorowego wysiłku całej załogi, żeby mógł ją włożyć. Czuł się marnie w tym uniformie i uświadamiał sobie, że kołnierzyk wpija mu się w szyję z lewej strony pod uchem. Ale zapomniał o tym wszystkim w trakcie uroczystości. Okna były otwarte. Z plantacji wanilii wietrzyk przywiewał słodki zapach. Poprzez błękitną plamę nieba widzianego przez okno śmignęła papuga, tworząc jaskrawą, zielono-szkarłatną smugę. Regan spojrział na smukłą postać u swego boku i poczuł szaloną ochotę, aby krzyknąć na cały głos.

Opanował się i słuchał jak we śnie, dopóki nie skończono mówić tego wszystkiego, co musiało być powiedziane. Perouse zdając sobie sprawę ze swych obowiązków pierwszego drużby, cały w pąsach — niezdarnie szukał pieniędzy przygotowanych dla pastora.

Sam „Króliczek” tarł sobie uszy i uśmiechał się do Vivian. Nieczęsto zdarzało się na Rapuhi widzieć ładną kobietę. A w tej dziewczynie była jakaś świeżość i czystość, która przywodziła mu na myśl dawne czasy.

— Czy w porządku? — spytał Perouse, pocąc się. — Lepiej niech pan przeliczy.

„Króliczek” liczył sumiennie, biegle przerzucając banknoty.

— W porządku. Jak długo zostajecie w porcie? Och, repera-

cje! Więc będziecie tu jeszcze w niedzielę. Spodziewam się, że przyjdziecie do kościoła?

Mówił do Perouse'a, ale patrzył na Vivian, która nieśmiało skinęła głową.

— Naturalnie, przyjdziemy.

Twarz mu się rozpromieniła, a Regan potwierdził.

— Tak, przyjdziemy.

Nagle Perouse zaczął wypychać ich z kościoła.

— Idźcie, idźcie. Muszę jeszcze coś załatwić z wielebnym. Nie, Mike, nie czekaj.

Prawie że wyganiał ich z wąskiej nawy. Potem wrócił do prezbiterium, gdzie „Króliczek” jeszcze czekał.

— Chce pan ze mną mówić, panie Perouse? Perouse niespokojnie poprawiał kołnierzyk.

— Rzecz ma się tak. Ten kościółek... kosztuje pewnie coś niecoś. Mam tu drobnostkę na ten cel, jeżeli ksiądz przyjmie.

Zaczął grzebać w kieszeni.

— To ode mnie i Mike'a. Myśleliśmy, że może ksiądz zechce coś dla nas uczynić.

— Co takiego? — dopomógł mu pastor.

— Czy zechce ksiądz czasem wyrzeć na morze i zmówić pacierz za dwie osoby, które tam leżą?

— Ich nazwiska? — spytał pastor poważnie.

— Julia Lamotte i Roger Maclise. Nie mam prawa mówić o tym. Ale Maclise ma to, na co zasłużył.

Nieśmiało wyjął pieniądze, które przed dwiema godzinami obliczyli z Mike'em. Pastor potrząsnął głową.

— Nie mogliście oszczędzić tego wszystkiego. Wezmę tylko jedną monetę. A co do waszej prośby...

Spojrzał w zaniepokojoną, pooraną twarz.

— Dobrze, pomodłę się — uśmiechnął się, spoglądając w ślad za Perouse'em, który wychodził z kościoła na palcach.

To był zwyczaj „Króliczka”. Nigdy nie zadawał pytań, na które było trudno odpowiedzieć.

*

Słońce zapadło w morze i szybki zmierzch zaczął wychodzić ze wszystkich kątów świata. Na maszcie „Spindrifta” białe światełko mrugało ku gwiazdom.

Vivian stała na pokładzie i obserwowała, jak morze zmieniło się z płomiennozłotego na głęboko purpurowe, znamienne dla wieczorów nad Pacyfikiem. Na wyspie ukazywały się światła w domach skupionych wokół zatoki. Poza miastem wznosił się tajemniczy pagórkowaty kraj, gdzie wrogo usposobione plemiona czaiły się w swych obozach. Od nadbrzeżnych ognisk dochodziły dźwięki pieśni. Wiatr wiał od strony brzegu, jak zwykle zaraz po zachodzie słońca. Przynosił zapach korzeni, który mieszał się ze słonym smakiem morza.

Zrobiło się chłodno i Vivian drżała w swym lekkim ubraniu. Miała na sobie jeszcze tę białą suknię, którą włożyła do kościoła. Ze sposobu, w jaki Regan patrzył na nią, domyślała się, że ten kobiecy strój onieśmiela go. Jednak cieszyła się raczej z tego. Świadomość, że może spokojnie na widok jej postaci, dodawała jej pewności siebie. W ciągu tych pierwszych chwil ciemności doznawała dziwnego uczucia trwogi. Ostatecznie kim on był, ten zawadiaka, który opanował całe jej jestestwo? Jak długo znała go? Co będzie, jeżeli popełniła fatalną omyłkę, ukrywając się w jego ramionach ze strachu przed Maclise'em?

Prawda! Ojciec jej ufał Reganowi. Ale przecież kiedyś ufał także Maclise'owi.

Vivian zaczęła chodzić niespokojnie po pokładzie. Cienka obrączka na lewej ręce zdawała się być z płomienia. Vivian zdusiła jednak strach podchodzący jej do gardła. Czy siła, którą uwielbiała w Reganie, da jej powód do tego, by żałowała swego kroku? Namietność długo była w nim uspiona. Kto może powiedzieć, w jakiej formie się zbudzi?

Na odgłos kroków zatrzymała się, była blada, ręce miała lodowate. Nad wszystkimi innymi górowała jedna myśl — chęć ucieczki. Na oślep zawróciła i zaczęła iść pośpiesznie, sama nie wiedząc dokąd, ale drogę zagroziły jej ramiona wyłaniające się z ciemności i mocno ją przytrzymały.

— Co się stało? Dokąd biegiesz? Przełknęła nerwowo ślinę.

— N... n... nigdzie.

— Więc zostań tutaj. Perouse i Mike spędzą dzisiejszą noc na lądzie.

Będziemy sami.

Stwierdził, że drżała, ale nie zrobił żadnej uwagi. Jego wzrok, spoczywający na jej pochylonej głowie, był pełen czułości. Regan zaczął mówić o rzeczach codziennych.

— Po dokonaniu naprawy „Spindrifta” wrócimy do Degas. Trzeba tam załatwić kilka spraw twego ojca. Nie zabierze to dużo czasu. Dokąd chciałybyś udać się później, Vivian?

— Wszystko mi jedno.

— Ale mnie — nie. Myślałem o próbie połowu pereł przy Taukura. Może się zdarzyć, że znajdziemy skarb. Perły! Białe, gładkie, lśniące. Co ludzi skłania do poszukiwania ich? To jest ryzykowne. Często nie znajduje się ani jednej wartościowej. Rynek nie jest już tym, czym był. A jednak...

— To dlatego, że tak trudno je zdobyć — stwierdziła Vivian.

— Tak. Jeżeli się dla czegoś ryzykowało życie, to rzecz ta staje się bardzo cenna.

Spoza oddalonych wzgórz wyłoniła się latarnia Boga — okrągła, złota, gładka. Od strony zatoki dochodził przeciągły szum fal, rozbijających się o brzegi Rapuhi. Słysząc też było stłumione dźwięki bębna, których rytm wydawał się parze stojącej na pokładzie — biciem ich własnych serc.

Nagle Regan opuścił ręce. Głos miał dziwnie drżący, gdy przemówił:

— Boisz się... widzę to. Wszystko to, co się zdarzyło ostatnio... jeszcze jest za wcześnie... Nie jesteś przygotowana. Powinienem zostawić ci więcej czasu.

Nie odpowiedziała.

Uderzenia ukrytego bębna na wyspie stawały się coraz częstsze, coraz szybsze, a serce Vivian wtórowało im. Regan nie rzekł nic więcej. Odwrócił się, w rozterce między pożądaniem a czułością. Nie był Maclise'em, żeby brać ją bez względu na to, czy chce, czy nie chce. Niechaj przyjdzie do niego sama. Będzie czekał — mimo że czekanie to nie będzie łatwe. Stojąc opodal niego wyglądała tak mała, tak bezbronna, że zduślił chęć porwania jej w ramiona i rzekł mrukliwie:

— Zejdź lepiej na dół. Tutaj robi się chłodno.

Ale Vivian nie mogła znieść tego zawiedzionego, niepocieszonego wyrazu jego twarzy. W sercu jej zbudziło się coś, co było silniejsze od strachu, coś co uspokajało i kołysało, a jednocześnie tak pobudzało, że każdy nerw był w napięciu, każde włókienko jej pięknego ciała drżało.

— Regan!

Zawrócił i ujrzał jej rozpostarte ramiona, jej twarz podobną do bladej róży w świetle wschodzącego księżyca. Nie mógł

odpowiedzieć, nie mógł się poruszyć, gdy szła ku niemu. Ach, teraz była blisko, tak blisko, czuł, że puls bije mu jak młot, gdy zarzuciła mu ręce na szyję...

— Wiesz, że nigdy mnie jeszcze nie pocałowałaś? — szepnęła.

— Tak.

— Wyjaśniłeś mi dziś rano dlaczego.

Jej szczupłe ramiona obejmowały go coraz mocniej i przyciągały jego twarz ku jej twarzy.

— Pocałuj mnie teraz — powiedziała.